

Patricia Werner

W huraganie uczuć

Prolog

Windman, Człowiek-Wiatr, tak go nazwano po pewnym naukowym wieczorze w szkole średniej. Przedstawiony przez niego eksperyment, polegający na parowaniu wrzątku z rondla napełnionego słoną wodą, nie był niczym niezwykłym. Jednak nagrzane powietrze uniosło się i pokryło parą szklane ścianki niewielkiego akwarium. Wiatraczek na szczycie wypchał powietrze wyżej. Szkło schłodzono lodem, co spowodowało ostudzenie powietrza, w wyniku czego utworzyły się krople, a te ponownie opadły do naczynia.

Drugi wiatraczek przez otwory wycięte w boku akwarium wdmuchiwał powietrze, powodując jego zawirowania. Chłopiec nie potrafił odtworzyć ruchu obrotowego ziemi, nie miało to jednak większego znaczenia. I tak spowodował bowiem niewielkie tornado.

Ochrzczono go zatem Windmanem i przezwisko to do niego przylgnęło. Wiele lat minęło od tego dzieciennego eksperymentu, jego zaś wciąż nurtowały te same pytania, pogłębione jeszcze innymi problemami, związanymi z pogodą. Dlaczego powstają huragany? Dlaczego niektóre z nich są gwałtowniejsze, a inne tylko trochę poszumiają? Dlaczego tak kapryśnie się zachowują? W przypadku ostatniego pytania nie potrafił oprzeć się dreszczykowi dumy.

Aby rozładować nieco nerwowe ożywienie, podszedł do oszklonej szafki i wyjął pękata koniakówkę. Potem otworzył nową butelkę ulubionego trunku i głośno nastawił na odtwarzaczu stereo „Cztery pory roku” Vivaldiego. Przez panoramiczne okno spojrzął na bijącą o ziemię ścianę deszczu.

W oddali ledwie widoczne były małe punkciki światła, migocący rząddek, który, jak wiedział, lśnił w niezmiernie gładkim rządowym budynku w bazie Sił Powietrznych. Ktoś tam jeszcze pracował.

- Głupcy - mruknął. Potem uniósł kieliszek, by pozdrowić nadciągający od lądu tropikalny niż, przyczynę ulewy.

Niebawem, dzięki pogodzie, stanie się bardzo zamożnym człowiekiem.

Rozdział 1

Kelly Tucker swój drugi dzień w Centrum Huraganów Gulf Coast zaczęła od rozmyślania o Rossie Kingu. Doprawdy, nie powinna być aż tak bardzo zdziwiona, kiedy ujrzała go tutaj ubiegłego wieczora. Mimo to widok wysokiego, ciemnowłosego, pewnego siebie komputerowca od symulacji pogody wywołał w niej uczucie palącej niechęci.

Z jakiego powodu w tym zespole potrzebowano równie bezwzględnego łowcy burz w rodzaju Kinga? Dawny asystent jej nieżyjącego ojca zawsze ją drażnił. A ona nie była jeszcze przygotowana na to, by rozdrapywać stare rany, jakie zadała jej śmierć ojca. Wszakże trudno będzie zapobiec kontaktom z Rossem, kiedy pracuje się w tym samym zespole. Mimo wszystko, dołoży wszelkich starań, aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji. Zależało jej na tym stanowisku, toteż nie mogła pozwolić starym uprzedzeniom, aby zagroziły pracy nad otrzymanym właśnie zadaniem.

Kelly odgarnęła długie, proste, ciemnoblonde włosy za uszy i nachyliła swoje wysokie, szczupłe ciało nad krzesłem przed komputerem. Dyskretnie rozejrzała się na boki. Przyczyna jej przezorności ubiegłego wieczoru czekała na nią dokładnie na tym samym obrotowym krześle. Złożona, biała kartka, na której wypisano drukowanymi literami:

***WRACAJ DO SWOJEGO BOULDER.
NIE JESTEŚ TU MILE WIDZIANA***

Napisano to zwyczajnym długopisem, takim, jakim mógł posługiwać się każdy z członków zespołu.

Kiedy sobie to przypomniała, poczuła w żołądku paskudny skurcz lęku. Nikomu nie powiedziała o anonimie, wsunęła go tylko do szarej, metalowej szuflady. Teraz zajrzała tam i upewniła się, że kartka leży dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją wczoraj zostawiła.

Jeżeli widok niegdyśszego rywala Rossa Kinga, wyprowadził ją z równowagi, stało się tak prawdopodobnie dlatego, że dzień fatalnie się dla niej zaczął. Ktokolwiek napisał anonim, przypuszczalnie chciał, by się zdenerwowała i poskarżyła dyrektorowi. Ale ona zachowała się tak, jakby się nic nie zdarzyło. Naj-

prawdopodobniej musiało wprowadzić to w błąd autora, który chyba pomyślał, że pewnie nawet nie przeczytała liściku. Albo zlekceważyła go jako rzecz bez znaczenia.

Dyrektor i bez tego miał mnóstwo kłopotów na głowie. Kiedy przyjmował ją wczorajszego dnia, przyznał, że zaczął się wszystkich zanadto czepiać. Jakieś popsute komputerowe pliki przyczyniły się do opracowania błędnej prognozy pogody, a czegoś takiego w Centrum Huraganów nie można było tolerować.

Kelly, upewniwszy się, że w ciągu nocy nie pojawił się następny wrogi anonim, minęła inne stanowiska komputerowe, ustawione w kształcie wielkiej podkowy, i skierowała się do sali odpraw. Było to duże pomieszczenie, a na ścianie na wprost drzwi zawieszono białe, ujęte w aluminiowe ramy tablice do rysowania. Na dzisiejszą odprawę ściągnięto w dół zwijaną mapę. Długie stoły ustawiono w trzech rzędach, tam zasiadała załoga samolotu. Salę spowijał półmrok, choć Kelly wchodząc zapaliła górne światła.

Zerknęła przez znajdujące się na piętrze okno skromnego rządowego budynku bazy Sił Powietrznych MacDill. W Tampa, na Florydzie, wstał ponury ranek. Ulewny deszcz prawie uniemożliwiał obejrzenie czterosilnikowego turbośmigłowca, który niebawem uniesie Kelly i załogę naukowców, specjalizujących się w meteorologii, ku huraganowi. Prosto w jego jądro.

Na samą tę myśl kobieta poczuła, że skacze jej poziom adrenaliny — mimo tylu miesięcy przygotowań. Gdy stała przy oknie, czuła, jak naelektryzowane koniuszki jej włosów przyklejają się do wełnianego kombinezonu, a po krzyżu przechodzą ciarki.

- Nie wygląda to zbyt zachęcająco, prawda? - odezwał się czyjś gęboki, dźwięczny głos.

Obróciła się jak rażona piorunem, by ujrzeć ostatnią osobę, z którą chciałyby się spotkać Rossa Kinga w całej swojej muskularnej, liczącej sześć stóp okazałości.

Zasuwał właśnie zamek niebieskiego kombinezonu, wciągniętego na biały podkoszulek i spodnie w kolorze khaki. Uśmiechał się tym samym nieskazitelnym, złośliwym uśmiechem, na jaki natknęła się właśnie tutaj wczoraj wieczorem.

Łomot wiatru, deszczu i hałas maszynierii na dworze przeszyły ją lekkim dreszczem. Podobnie jak wszystkie tłumione uczucia, które gromadziła wobec tego mężczyzny od chwili, kiedy ujrzała go po raz ostatni sześć lat temu na pogrzebie ojca.

- Co wydaje ci się bardziej zniechęcające: pogoda czy P-3? - spytała z lekka ochryplym jak co rano głosem, kiedy Ross zbliżył się i stanął obok.

Latające laboratorium, na którym mieli się znaleźć za chwilę, nie było zwyczajnym samolotem. Podwozie WP-3 Oriona wyposażono w radar, ogon zaś w

potężną sondę. Wiatromierz umieszczono w sondzie, wystającej z szarego dziobu. Na kadłubie wymalowano imię: „Herkules”.

Wokół samolotu krzątała się załoga naziemna w jednakowych żółtych kombinezonach, dokonując ostatnich przygotowań. Jednakże uwagę Kelly rozpraszała obecność Rossa.

Minęło sześć lat, a przecież napotkała te same czujne, intensywnie brązowe oczy, których uwadze nic nie mogło umknąć. Teraz mocno zaciskał wargi nad równymi zębami. Rysy twarzy wciąż były diabelnie pociągające, zdolne omamić Bogu ducha winne osoby postronne. A w złocistych iskierkach oczu wciąż palił się ten sam wewnętrzny nieposkromiony ogień. Urok Rossa wstrząsnął nią i jednocześnie rozżłościł. Powinna trzymać się od niego z daleka - z wielu powodów.

- Mam wrażenie, że głosowałbym za pogodą - odezwał się miękko, wyglądając przez okno. - I to nas tutaj przywiodło. Zapewniono mnie, że nasz drugi dom to najbezpieczniejszy samolot do prowadzenia obserwacji meteorologicznych, jakim kiedykolwiek dysponowała ta baza.

Zwrócił iskrzący wzrok ku dziewczynie, ona zaś znowu poczuła niepokojący skurcz w żołądku:

- Hank Jessup jest zahartowanym w boju pilotem.
- Prawda.

Rzeczywiście, Hank był jednym z najbardziej doświadczonych pilotów, jacy lataли podczas huraganów, by dokonywać koniecznych pomiarów. Referencje pozostałej części załogi były równie olśniewające. Nazywano ich łowcami huraganów. A teraz i ona należała do tej grupy. Czowała dumę pomieszaną z lękiem. Tata byłby z niej dumny.

Ross opierał się o framugę okna, najwyraźniej przyglądał się obłudze naziemnej, uwijającej się przy samolocie. Gęste brązowe, jedwabiste włosy miał krótko ostrzyżone, lecz tak wymodelowane, że opadały na czoło. Nikt nie zaprzeczyłby, że jest wyjątkowo przystojny, co jeszcze podkreślał kombinezon. Wyglądał teraz bardziej dojrzałe i męsko niż absolwent uczelni sprzed sześciu lat. Dałaby głowę, że minione lata nie ugasiły w nim pretensjonalnego, ryzykanckiego ducha. To on zawsze musiał odgrywać rolę bohatera. Cóż, jednak zawiódł tamtego dnia, w którym zginaj jej ojciec.

Z trudem skierowała myśli ku prowadzonej teraz rozmowie.

- Urodziłam się podczas tornado - stwierdziła przypatrując się deszczowi. - A w Boulder badałam wiatry, wiejące z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Ale to huragany są takie... - Zawahała się szukając właściwego słowa. - ...takie nieobliczalne.

Kiwnął potakująco głową, przestał zaciskać wargi, wciąż spoglądał przez okno

na załogę samolotu.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Człowiek nigdy nie jest na nie przygotowany.

W jego głosie, podobnie jak w głosie dziewczyny, dały się słyszeć miękkie nutki akcentu ludzi pochodzących z Południa. Wypowiadany słowom nadawał rytm, który współbrzmiał z jej głosem, przeciągającym wyrazy, mimo że wszystkie ubiegłe lata spędziła z dala od Oklahomy. Ściągnęła brwi, ponownie usiłowała skupić się na sprawach służbowych.

Kelly pochodziła z niewielkiego miasteczka nieopodal Tulsy, z rodziny od zawsze blisko związanej z ziemią. Byli to prości, poczciwi ludzie, ich życie zależało od pogody. Dorastała w pragnieniu, by dostarczać farmerom informacje, które pozwoliłyby im z powodzeniem uprawiać zboże, a także, by móc zawczasu ich ostrzegać, co umożliwiłoby im ocalenie życia. Dlatego też z ochotą podejmowała ryzyko, z jakim niekiedy wiązała się jej praca, nawet jeśli czasami bywała przerażona.

Z tych właśnie powodów Kelly opuściła dom rodzinny i przyjechała tutaj, do Tamy, oddelegowana z Państwowego Centrum do Badań nad Zjawiskami Meteorologicznymi w Boulder w Kolorado. Musiała się wiele nauczyć. Poinformowano ją, że zdobędzie tu ostrogi. Potem będą się o nią ubiegać wszyscy prominentni pracodawcy.

- Odwiedzałam już jako naukowiec inne stacje meteorologiczne - powiedziała powoli. - Lecz dopiero tutaj po raz pierwszy będę leciała prosto w huragan.

Nie była pewna, czy może się zwierzyć Rossowi ze swoich obaw.

- Przypuszczam, że twój tata byłby dumny z nas obojga - zauważył Ross. Mówił spokojnie, nie czuło się, że lęka się poruszyć nurtujący ich oboje temat. Badał grunt.

Boleśnie zakłuło ją wspomnienie. Przecież któreś z nich musiało dotknąć tej sprawy. Ross spojrzał na dziewczynę, na jego twarzy malowała się głęboka troska.

- Kelly, naprawdę dobrze sobie radzisz?

- Znakomicie.

Odpowiedź padła automatycznie, Kelly uniosła brodę. Wiedziała, o co pyta, a w przeciwieństwie do niego nie była gotowa do tej rozmowy. Jak sobie radziła od chwili, w której ojciec zostawił ją samą z Annie? Czy wybaczyła Rossowi, że nie zapobiegł wypadkowi ojca? Czy wybaczyła sobie, że nie było jej przy nim owego dnia?

Ona, Ross i jej ojciec mieli wspólną płaszczyznę porozumienia. Teraz ona z Rossem powinni podjąć wspólnie badania nad prognozowaniem pogody. Robione przez niego komputerowe symulacje miały pomóc naukowcom z Centrum Huraganów przewidywać, w jakim kierunku przesuną się wiatry i jak przybiorą na

sile. Jednakże między dwójgim młodych ludzi zbyt wiele zdarzyło się w przeszłości. Gdyby wiedziała, że i on należy do tej ekipy, prawdopodobnie wcale by tutaj nie przyjechała.

Szmer rozmów zapowiedział zjawienie się w sali odpraw reszty odzianych w kombinezony meteorologów i członków załogi samolotu. Rozmawiali w grupkach, niektórzy opierali się o ściany, inni przysiedli na krawędzi stołu. Do środka wmaszerował dyrektor Centrum Huraganów Gulf Coast.

- Proszę o uwagę - odezwał się Wilson Quindry. Był to muskularny mężczyzna średniego wzrostu, miał okulary w drucianych oprawkach i nieco nazbyt wydatną szczękę. Ubrany był w koszulkę z krótkimi rękawami i szorty w kolorze khaki.

Nie tracił czasu, lecz chwycił wskazówkę o gumowym nosku i popukał w rozłożoną mapę, obejmującą południowo-wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, Zatokę Meksykańską i basen Atlantyku. Pstryknął w kontakt na ścianie i mapa lekko uniosła się w górę.

- Tropikalny sztorm Isaac godzinę temu zmienił się w huragan na zero-sześć-sto - oznajmił.

Kelly przesunęła się na bok zgromadzenia, by lepiej widzieć ponad barczystymi ramionami niektórych męskich członków ekipy. Choć trudno byłoby ją zaliczyć do niskich osób, gdyż mierzyła pięć stóp dziewięć cali, jednak większość potężnych członków załogi łatającej i badaczy cieszyła się słusznym wzrostem. Zastanawiała się już, czy któryś z nich byłby zdolny do zostawienia jej tego nieprzyjemnego liściku. Ale z jakiego powodu? Przecież nie miało to sensu. Z tego, co się orientowała, nie nastąpiła tutaj nikomu na odcisk. Kiedy przesunęła wzrokiem po twarzach kolegów, poczuła ucisk w piersiach. Anonim zionął nienawiścią. Teraz jednak nie było czasu, by doszukiwać się przyczyn.

Ross stanął z jej prawej strony, założył ramiona, szeroko rozstawił nogi. Nie mogła zaprzeczyć, że otacza go aura męskości, taka, w jakiej chętnie zatopiłaby się większość kobiet. Gna jednak się do nich nie zaliczała. Nie wtedy, nie teraz, nigdy.

Jednocześnie wyczuwała narastające w sali napięcie. Nadeszła chwila wyruszenia w samo jądro szalejącego huraganu. Niczym liść targany wichurą, jak brzmiało zasłyszane niegdyś przez nią powiedzenie.

Kiedy Wilson powitał ją ubiegłego dnia, zapewnił, że loty w burze są na tyle bezpieczne, na ile to tylko możliwe. Jednak bardziej zaprzętała go troska, by do bazy nie przesyłano dalszych błędnych danych. Kontynuował odprawę:

- Na podstawie odczytów Dopplera i zdjęć satelitarnych, które wszyscy oglądaliście, wiemy, że huragan Isaac kieruje się na północ z północnego-wschodu pod kątem dziesięciu stopni. To oznacza, że dotrze tutaj w ciągu dziewięciu godzin. Musimy szybko nad nim popracować.

Wilson przez lata zaliczał się do serdecznych przyjaciół ojca Kelly, wiedziała więc, że za szorstkim głosem kryje się nieklamana troska o kolegów i ich pracę.

Popukał w mapę.

- Napotkanie huragan w ciągu niecałych dwóch godzin i wejście w południowo-zachodni kwadrant. Dane, jakie zbierzecie, będą rozstrzygające dla przybrzeżnych służb ostrzegawczych.

Kelly zdawała sobie sprawę, jak Wilson ciężko pracuje nad danymi dostarczonymi przez misje obserwacyjne. Do niego bowiem należała decyzja, czy zalecać, czy nie, ewakuację określonych terenów nadbrzeżnych, znajdujących się na drodze huraganu. Dlatego też przewidywania Centrum Huraganów powinny być możliwie jak najdokładniejsze. Wilson przechowywał listę osób, które zginęły podczas huraganów. Miała przypominać mu, że tutaj w grę wchodzi życie ludzkie. Praca meteorologów jest ogromnie odpowiedzialna.

Wymieniła spojrzenia z Rossem, a dreszcz, jaki przebiegł jej po plecach, uświadomił, że i on myśli o tym samym. Jednakże trwała w przekonaniu, że ich wspólna, nieszczęśliwa przeszłość stanowi raczej barierę niż pozwala na nawiązanie nici porozumienia. W takim razie, dlaczego zauważała, jak pewny siebie, skupiony i atrakcyjny jest w kombinezonie lotniczym?

Wilson patrzył na nich z poważną miną, potem jego niebieskie oczy, schowane za drucianymi okularami, przesunęły się kolejno po wszystkich członkach ekipy.

- Nie muszę wam powtarzać, że każde z was ma do odegrania istotną rolę. Musimy dowiedzieć się, co dzieje się z tymi huraganami, kiedy znajdują się jeszcze daleko nad morzem. Wykonajcie porządnie swoje zadania, a ocaleni zostaną ludzie.

Zaczął wydawać ostatnie polecenia. Kiedy zwrócił się do Kelly, jego twarz złagodniała, a potem przybrał minę pełną dumy.

- Jak wiecie, na ten lot zabierze się z wami Kelly Tucker. Jeżeli ta młoda dama choć trochę przypomina ojca, to dobrze zna się na swojej robocie.

Kelly uśmiechnęła się pewnie i lekko wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Dziękuję - odezwała się, speszona, że wszyscy na nią patrzą. - Cieszę się, że mogę być tutaj.

Prawda, że była dumna, iż jest córką Shermana Tuckera. Zyskał sobie sławę na Uniwersytecie Oklahoma, tropiąc po równinach tornada, by zgromadzić ważne dla meteorologii dane. Wszyscy w tej sali znali jego osiągnięcia. I właśnie ta pasja go zabiła.

Do dziewczyny podszedł Hank Jessup. Pilot był potężnie zbudowany, wzrostu Rossa, jakieś dziesięć lat starszy od trzydziestoletniego kolegi. Gęste, ciemnoblonde włosy zaczesywał do tyłu z wysokiego czoła, w kącikach orzechowych oczu i wokół

ust czały się zmarszczki, które tylko podkreślały jego dojrzałość. Mocno uściśnęli sobie z Rossem dłonie. Hank mrugnął do Kelly i odezwał się, leniwie przeciągając głoski:

- Wiesz, ludzie powiadają, że wszyscy jesteśmy szaleni. Loty podczas paskudnej pogody to moja specjalność, ale tacy, jak wy dwoje, wykonujący swoje zadania w czasie takiej przejażdżki... hm, przypuszczam, że musicie mieć swoje powody.

- Jasne, że mamy - odparła Kelly. Starła się, by zabrzmiało to beztrusko, chociaż każde z nich wiedziało, że sprawa jest poważniejsza, niż którekolwiek z nich by przyznało. - Matka natura wydaje się naszą ostatnią granicą do pokonania.

- Każdy huragan jest inny - ostrzegł Hank. - Nigdy nie możemy przewidzieć, na co się natkniemy, kiedy znajdziemy się już w środku. Ta misja jest niezła. Daj nam znać, jeżeli cokolwiek ci będzie potrzebne.

Pilot, drugi pilot i reszta załogi ruszyli korytarzem, za nimi Ross obok Kelly stąpali pewnym krokiem. Przy przeszklonych drzwiach prowadzących na dwór nałożyli peleryny, chroniące przed deszczem, uderzającym o nawierzchnię drogi, i poczekali, aż załoga samolotu zniknie we wnętrzu maszyny. Pozostali dwaj meteorolodzy-obszernicy wciąż przebywali z Wilsonem w sali odpraw, toteż Kelly ponownie znalazła się sam na sam z Rossem. Miała napięte nerwy, on zaś wcale nie ułatwiał jej zadania.

Wysunął się przed nią, położył dłoń na drzwiach, gotów je otworzyć.

- Boisz się?

Mimo obaw poczuła iszkierkę podniecenia. Popatrzyła w szybę, ujrzała niewyraźne odbicie swojej twarzy. Nadeszła pora, by zyskać ostrogi.

- Od dawna czekałam na coś takiego - przyznała. - Jednak byłabym głupia, gdybym nie dostrzegąa niebezpieczeństwa. - Na dodatek ten anonim, wołała jednak o nim nie wspominać, zwłaszcza Rossowi.

Zadartą głowę, ponownie ją wyprostowała i badawczo spojrzęła na Rossa.

- A jak z tobą? Czy ty kiedykolwiek się boisz? Wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

Na tyle długo nie odrywał wzroku od jej twarzy, że poczuła się nieswojo. Wiedziała, o czym on myśli. Że jest córką swojego ojca.

- Gotowa do wyjścia? - spytał łagodnie. Kiwnęła potakująco głową. Pchnął ramieniem drzwi,

otworzyły się, potem oboje popędzili przez wilgoć. Puścił ją przodem, kiedy dotarli do metalowych schodków trapu, za chwilę znaleźli się pod bezpieczną osłoną kadłuba samolotu.

Kiedy tylko zdjęli i schowali peleryny, ustąpili miejsca dwóm pozostałym

członkom ekipy meteorologów, którzy hałaśliwie wspinali się za nimi po schodkach.

W tyle kabiny nie było foteli, natomiast zastawiono ją sprzętem pomiarowym. Trzy systemy radarowe i cztery komputery umieszczono na stalowych kołyskach amortyzujących wstrząsy. Członkowie załogi zaciskali pasy, mocujące wszystko na swoich miejscach, a Kelly z Rossem utorowali sobie drogę między metalowymi skrzyniami, starając się nie potknąć o zwinięte przewody.

Ich stanowiska znajdowały się z prawej, burty samolotu, tuż przy skrzydle. Migające na zewnątrz światełka punktowały myśli Kelly. Wreszcie spełnia się jej niebezpieczne marzenie. Jej ojciec tropił tornada na ziemi. Ona zaś pod niebem zmierzała w stronę huraganu. Po przeciwnej stronie przejścia siedział nawigator-meteorolog. Gadatliwy, ciemnowłosy Enrico DeMarcos uśmiechnął się i skłonił im ze swego ciasnego miejsca.

- Witamy w naszej skromnej podniebnej siedzibie. Mam nadzieję, że dzisiaj dobrze cię potraktuje - odezwał się z włoskim akcentem.

- Dziękuję, Enrico - odparła Kelly z niezobowiązującym uśmiechem.

Jego południowy uśmiech sprawił, że poczuła, jakby wsiadła raczej do gondoli na przejażdżkę po weneckim kanale niż na pokład naukowego statku powietrznego, którym miała polecieć, aby dokonywać obserwacji i pomiarów. Ukradkiem przyjrzała się Enricowi. Z pewnością człowiek o tak słonecznym uroku nie potrafiłby żywić zapiekłej nienawiści, jaka pchnęła kogoś do napisania anonimu z pogrozkami.

Ross przechylił się ponad nią, by wyrzeć przez iluminator. Kiedy opadł z powrotem na fotel, miał bardziej zafrasowaną minę. Poszła jego śladem i zobaczyła przed sobą przerażające kłębowisko chmur. Wiedziała, że Ross musi myśleć o wspólnym ściganiu burz wraz z jej ojcem. Z wysiłkiem spróbowała rozładować napięcie, spowodowane tym, iż niespodziewanie znaleźli się w takiej sytuacji.

- To coś innego, prawda? Uśmiechnął się do niej kpiąco.

- Zgadza się. Dziesięć tysięcy stóp wysokości to jednak różnica.

Dołączył do nich meteorolog Max Omari, obdarzył ich poważnym skinieniem głowy i usiadłszy obok Enrica po lewej stronie kabiny zajął się swoim stanowiskiem pracy. Omari był emigrantem z Niemiec i również dawniejszym kolegą ojca Kelly. Nie mogła doczekać się chwili, w której porozmawia z nim o czasach, kiedy dziesięć lat temu we dwóch dokonywali pionierskich badań nad burzami na równinach Oklahomy. Czy to on mógłby napisać wczoraj anonim? A jeśli tak, to dlaczego? Nie widziała go od przeszło sześciu lat.

Podszedł do nich Enrico DeMarcos.

- Kontrolka systemu nawigacyjnego GPS - powiedział podając Kelly niewielką, czarną skrzynkę.

- Dziękuję.

Wzięła od niego skrzyneczkę i otworzyła ją. Ten przyrząd pomiarowy zapewniał bardziej precyzyjne, trójwymiarowe pomiary pozycji burzy i większą dokładność w ustaleniu jej wysokości. Właśnie nauczyła się je obsługiwać po dwudniowym słęczeniu nad zawitą instrukcją.

- Nie powinnaś mieć żadnych problemów. Kiedy powiem ci, byś namierzyła pozycję huraganu, przeniesiemy to na nasz pokładowy system nawigacyjny.

Wszystko jasne? - W jego ciemnych oczach pojawił się błysk, zaakceptował ją jako równą sobie.

- Jasne.

Wraz z Rossem przystąpili do sprawdzania przyrządów pomiarowych, wreszcie wygodniej rozparli się w fotelach. Kelly usiłowała nie patrzeć na bok, bo kiedy to robiła, musiała zauważać stanowczy podbródek Rossa, wydatne kości policzkowe i kształtne, pełne wargi. Emanował seksowną pewnością siebie, która wytrącała ją z równowagi. Całym sobą ucieleśniał zalety i sukces. Dawniej miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że nieodmiennie dostawał to, czego chciał. Zakładała, że i teraz jest tak samo.

Zamknęła skrzynkę z instrumentami i przypięła się mocniej pasami, gdyż maszyna zaczęła kołować. Przez chwilę za iluminatorami nie widać było nic, poza mżawką. Wróciła myślami do anonimu, który wczoraj znalazła na swoim krześle i starała się zastanowić nad pozostałymi członkami ekipy. Niestety, nie było to łatwe, kiedy Ross King siedział u jej boku. Nie potrafiła zapomnieć o jego iskrzącej bliskości. Przypominała sobie, że nienawidzi seksownych, czarujących mężczyzn. A ten tutaj nigdy nie wytłumaczył się ze swoich poczynań w dniu, w którym zginął jej ojciec.

Kiedy samolot odrywał się od pasa startowego, Ross pokazał jej uniesione w górę kciuki. Nie odezwali się do siebie, póki nie znaleźli się w powietrzu.

W chmurach zaczęło samolotem rzucać. Ross pilnie przyglądał się ciasnej kabinie i znajdującym się w niej osobom. Wiatr dął z lewej burty, lecieli jak najwyżej, aby uniknąć turbulencji.

- Wszystko w porządku, bracia i siostry - dobiegł ich przez interkom głos Hanka. - Możecie się wyprząc.

Ross i Kelly odpięli pasy, blokujące ramiona i tułowia, odwiesili na uchwyty metalowe klamry. Pasy przydadzą się później, kiedy wejdą w huragan, teraz jednak mieli mniej więcej godzinę, by swobodnie poruszać się po kabinie.

- Chyba dokonam paru pomiarów. - Ross nachylił się i bacznie przyjrzał

wskaznikom i tarczom instrumentów.

Niesione wiatrem chmury przerzedziły się nieco, więc znowu przechylił się nad Kelly i wyrzał przez iluminator. Lecieli nad Sanibel Island, gdzie wciąż widać było ślady zniszczeń wyrządzonych przez huragan Gordon w 1994 roku.

Kelly za jego plecami potrzęsnęła głową. Lśniące, płowe włosy związała wcześniej z tyłu głowy i wepchnęła pod kombinezon. Wyładowania atmosferyczne sprawiały, że niektóre z nich wymknęły się i powiewały niczym włosy anielskie. Instynktownie chciała je przygładzić, jednak nawet nie ruszyła ręką.

Ross, kiedy go tutaj po raz pierwszy spotkała, odczytał w jej oczach niechęć i błysk bólu. Nie mogła wiedzieć, że dzieli jej ból. Że nigdy nie zapomni dnia, w którym straciła ojca. Usiłował wtedy przekonać Shermana, że zbliżyli się do tornada na niebezpieczną odległość. Jednak nie potrafił wpłynąć na zmianę decyzji mistrza. Tak samo, jak nie potrafił zmienić uczuć, jakie Kelly żywiła wobec niego. Ani zmienić faktu, że musieli ze sobą walczyć o względy jej ojca. Z pewnością brakowało mu staruszka. Teraz jednak musi skupić się na teraźniejszości. Ciężko było mu znowu mieć obok siebie Kelly. Pragnął wyciągnąć dłoń i jej dotknąć, żeby nawzajem dodali sobie otuchy, ale czuł, że ona wcale tego nie chce. Była zbyt niezależna, aby na coś takiego pozwolić. W jej mniemaniu Ross miał udział w tamtym straszliwym dniu. Gdy go ponownie spotkała, poczuła się boleśnie zraniona.

Zmarszczyła brwi, w skupieniu wyglądając przez iluminator.

- Każda szkoda jest straszna - skomentowała. Ross poważnie skinął głową.
- Owszem, tak. Im lepsze prognozowanie, tym więcej ocalonych ludzi.

Jako pilot myśliwca bojowego zbyt często stykał się ze śmiercią. Po wojnie o Zatokę postanowił wykorzystać swoje umiejętności w sytuacjach, które zapobiegałyby klęskom żywiołowym. Skończył studia na Uniwersytecie Oklahoma i nauczył się pracować z komputerem, aż stał się specjalistą od symulacji burz.

Rozmyślał o pozostałych członkach ekipy, dumając o różnych drogach, jakie ich wszystkich, w tym Kelly, przywiodły aż tutaj. Co kierowało nią, kiedy podejmowała tę pracę?

Przelecieli nad wyspą i gdy turbośmigłowe silniki pochłaniały wiatr, Kelly dokonała paru obliczeń na swoich przyrządach. Musiała wyczuć, że Ross się jej przygląda i uniosła głowę. Zaraz oboje odwrócili wzrok. Dziewczyna wciąż była taką samą klasyczną piękną. Ciemnoblonde brwi, długi zgrabny nosek, pełne, zmysłowe usta. A w głosie jej i teraz dźwięczały te same, lekko ochryple nuty. Trochę się wypełniła, lecz wciąż pozostała szczupła i zwinna. Kiedy nie patrzyła na niego, uśmiechnął się do niej, potem spojrzał w inną stronę. Nie chciał, by pomyślała, że porównuje jej wygląd z tym sprzed sześciu lat. Robił to jednak, a dziewczyna prezentowała się znakomicie.

- Czy kiedykolwiek leciałeś w oko huraganu? -spytała.

Baczenie utkwiała w nim przepastne zielone oczy, okolone ciemnoblond rzęsami.

- Nie, to pierwszy raz. - Na chwilę wrócił do przeszłości. - Ale da się to porównać z napięciem, jakie czujesz tuż przed lotem bojowym.

- Tak jak podczas twoich lotów nad Zatokę. Najwyraźniej powiedziała to bez niechęci. Kiedyś

zwykła potępiać jego brawurę. Wściekły pies, tak go nazywała. Cóż, obecnie nie podejmowałby już niepotrzebnego ryzyka. Tylko takie wykalkulowane. Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- A co porabiałeś od czasów, jak opuściłeś uniwersytet?

- Kiedy obroniłem magisterium, ruszyłem na wschód. Po prostu zająłem się pracą, robiłem komputerowe symulacje burz.

Najwyraźniej nie dostrzegła, jak wymijające są jego wyjaśnienia, kiwnęła tylko głową, wyglądając przez iluminator.

- Wciąż usiłujesz znaleźć odpowiedź na wszelkie wątpliwości...

Nie był pewien, czy ma na to jakoś zareagować.

Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, warstwa chmur stawiała się coraz gęstsza. Mógł dostrzec tylko czubek skrzydła, ale niewiele więcej. Wtedy poczuli silny wstrząs i chwycili pasy w tej samej chwili, gdy zapaliło się światło, nakazujące ich zapięcie.

- Dobra, chłopaki - z interkomu rozległ się głos Hanka. - Pora, by sprawdzić przyrządy. Upewnijcie się, że wszystko jest dobrze umocowane. - Pilot wyłączył interkom.

Niebo pomroczało. Morze w dole było ciemnozielone, wzburzone, czterdziestostopowe białe grzywy fal biły o siebie.

- Nie sądzę, byśmy chcieli tam dzisiaj wodować -odezwał się Enrico z przeciwnej strony kabiny.

Przeszli szkolenie na wypadek przymusowego wodowania, jednak kto dałby się na to nabrać? - pomyślał Ross. Doskonale zdawali sobie sprawę, jak mizerne mieliby szanse przetrwania na oceanie targanym wicherą wiejącą z prędkością od 90 do 150 mil na godzinę.

Przypięli się mocniej pasami, mocującymi piersi i obejmującymi talię. Mimo to mogli sięgnąć do wbudowanych w fotele kontrolek. Ross, nie bacząc na silną turbulencję, skoncentrował się na odczytach. Kelly pospiesznie odnotowywała prędkość wiatru, wilgotność, temperaturę i ciśnienie powietrza. Ross dostrzegł grymas determinacji na jej wysokich policzkach, w zaciśniętych ustach i mocno zarysowanym podbródku, kiedy usiłowała pisać w miotanej wstrząsami maszynie.

Kilka chwil później samolot znalazł się w gęstej warstwie chmur, widoczność

spadła do zera, znaleźli się na granicy burzy. Wokół nich strzelały błyskawice, wycie wichury dołączyło się do ryku silników i nagle samolot zaczął tracić wysokość.

Wtedy silny podmuch uderzył w brzuch maszyny. Ross odruchowo chwycił dłoń Kelly i mocno ją uściśnął. Trzy sekundy później potężny wiatr pchnął samolot w stronę wzburzonego oceanu.

Kelly nie odezwała się ani słowem, tylko z jej twarzy odptynęła cała krew.

Lewe skrzydło opadło, Ross miał wrażenie, że żołądek skoczył mu do gardła. Jedynie pasom bezpieczeństwa zawdzięczali, że nie rzuciło nimi po całym pokładzie niby kulami bilardowymi. Nawet dla doświadczonych pilotów było to ciężkie przeżycie.

Sekundę później silniki znowu zaczęły pracować i Hank zdołał poderwać w górę dziób maszyny. W kabinie rozległ się szmer ulgi. Ross rozluźnił uścisk na dłoni Kelly i zerknął na dziewczynę, by upewnić się, że nic jej nie jest. Spojrzał na znajdujące się przed nim przyrządy pomiarowe, które wskazywały, że wzbili się na ściskającą trzewia wysokość 1200 stóp. Jego wewnętrzny kalkulator potwierdzał to.

Niespodziewanie Kelly zaczęła szarpać się z pasami, a przerażony Ross spostrzegł, że te, mocujące ramiona, luźno znalazły się w jej dłoniach. Okrągłymi z przerażenia oczami wpatrywała się w końce, które powinny być przytwierdzone do siedzenia za jej głową. Ujrzał, że rozdarły się i trzymały ledwie na kilku nitkach. Szarpnięcie samolotu i je urwało.

Fala gniewu ścisnęła mu żołądek. Jakim cudem załoga naziemna nie odkryła, że pasy są obluzowane? Kiedy samolot znowu zboczy z kursu, dziewczyna może doznać poważnych obrażeń.

- Trzymaj się mnie - polecił. Turbulencja jeszcze się nie skończyła.

Rozdział 2

Ross objął ją prawym ramieniem przez pierś i chwycił mocno metalową krawędź stanowiska pomiarowego, tym samym przyciskając dziewczynę do oparcia fotela. Zastosowała się do polecenia i mocno przywarła do jego ramienia. Zacisnęła wargi tuż przed tym, jak poryw wiatru szarpnął samolotem w górę. Wpiła palce w rękaw Rossa, by nie wylecieć z miejsca. Znaleźli się przy ścianie oka cyklonu, gdzie kolumny wiatru wznosiły się w górę z szybkością ponad trzydziestu mil na godzinę.

Trzy razy poczuła przeciążenie, kiedy całe jej ciało zostało wciśnięte w fotel. Samolot opadał i zbaczał z kursu, rzucało nim tak bardzo, że Kelly była przekonana, iż śmierć jest już blisko. Strach ścisnął jej gardło, kiedy kurczowo trzymała się muskularnego ramienia Rossa. To normalne, usiłowała przekonywać samą siebie. Hank wie, co robi.

A jednak nie była przypięta.

Za chwilę będzie po wszystkim, starała się sobie wmawiać, modląc się o bezpieczeństwo.

Potem przedarli się przez gęste chmury i znaleźli wśród jaśniejszych. Przez nie przebił się promień słońca, następnie kabinę zalało światło, oślepiając dziewczynę. Samolot przestał wibrować. Przez iluminator dostrzegła wysoką ścianę białych cumulusów, otaczającą kolistą, bezchmurną przestrzeń wewnątrz. Interkom zaskrzypiał, głos Hanka oświadczył:

- Jesteśmy w oku.

Teraz samolot leciał pewnie, Kelly drżała jednak cała.

- Dobrze się czujesz? - spytał Ross.

Usiłowała skinąć potakująco, zdobyła się na nieporadny dźwięk, który miał znaczyć „tak”. Nieco zakłopotana uwolniła ramię, a on powoli się odsunął. Ale ręka zatrzymała się, a jego ciepłe dłonie uściśniły lodowate ciało dziewczyny, co pomogło jej odzyskać równowagę.

- Jak tylko wrócimy, zameldujemy Wilsonowi o pasach - odezwał się gniewnie. - Takie coś nie powinno nigdy się zdarzyć.

Serce zabiło jej mocniej, tak z przerażenia, jak i z wdzięczności za okazywaną troskę. W niewiarygodny sposób uświadamiała sobie jego bliskość, kiedy ochraniał ją ramieniem. Zupełnie tak, jakby mu rzeczywiście na niej zależało. Zacisnęła usta. Kiedy upewniła się, że odzyskała miarowy oddech, odezwała się cichym głosem:

- Teraz już wszystko w porządku - powiedziała, usiłując przybrać taką minę, aby go tym przekonać. - Lepiej nie róbmy wrzawy, póki nie wrócimy do bazy.

W jego przejrzystych, piwnych oczach można było dostrzec cień wątpliwości, a ona poczuła, jak serce zaczyna jej bić mocniej z całkiem innych już przyczyn. Jego stanowcza, pewna siebie postawa w obliczu niebezpieczeństwa sprawiła, że dziewczyna zaczęła drzeć z pragnienia, by znaleźć się w jego ramionach. Bez wątplenia była to tylko nadmierna reakcja na niespodziewane przerażenie.

Uspokój się, starała się sobie nakazać.

- Awaryjne sprzętu niekiedy się zdarzają - stwierdziła, usiłując powiedzieć to lekkim tonem, choć czuła coś wręcz przeciwnego. - Teraz już raczej nie przywiązywałabym do tego większej wagi.

- Skoro tak uważasz.

Wciąż nachylał się ku niej ze zmarszczonym czołem, jak gdyby jej bezpieczeństwo było o wiele ważniejszego od faktu, że obecnie lecieli wewnątrz huraganu.

- Jasne.

Na wpół świadomie wysunęła dłoń z uścisku Rossa i schyliła się w stronę iluminatora, by wyrzeć na zewnątrz i tym samym uspokoić drżenie serca. Ściana wokół oka cyklonu otaczała ich tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć wzrokiem, wicher przesuwiał ją w szalonych podmuchach. Niebezpieczeństwo minęło. Tutaj właśnie był cel ich lotu.

- Spójrz na to - odezwała się, zerkając w górę. Wysoko ponad nimi ujrziała błękitne niebo. Było to jeszcze bardziej zdumiewające, niż się spodziewała. Nowa, bolesna myśl targnęła jej wzburzonymi nerwami.

- Tata byłby zachwycony - nie mogła powstrzymać się, by nie powiedzieć tego głośno.

- Zgadzam się - odparł Ross, który nachylił się, aby wyrzeć przez okno. - Ale popatrz tam.

Daleko w dole wzburzone morze wciąż przypominało zieloną, wijącą się bestię z załamującymi się ogromnymi falami, których szczyty wspinały się i toczyły w dal niczym białe kipiące płachty.

Kelly speszyła się czując, jak do oczu napływają jej łzy - może, była to opóźniona reakcja na strach wywołany pękniętymi pasami, a może groza z powodu tego niewiarygodnego przeżycia.

Naukowcy i załoga wstali i zgromadzili się w kabinie, porównywali notatki. Ross poklepał dziewczynę po dłoniach.

- Teraz, kiedy znaleźliśmy się w oku, lot będzie przebiegał gładko. Rozprostujmy kości i rozejrzyjmy się. Dobrze jest się podnieść.

Strach już minął, a Kelly niemal rozbawił jedwabisty, kojący ton Rossa. Na widok troski, jaką wyrażały jego przepastne oczy, każdej innej kobiecie ugięłyby się nogi, tylko że ona miała wątpliwości, czy teraz nogi w ogóle są w stanie ją unieść. Poza tym nie była jakąś tam inną kobietą.

- Hank nie włącza świateł nakazujących zapięcie pasów, póki nie ma rzeczywistej konieczności - odezwał się Ross, jego wesoły ton rozładował napięcie. Odwzajemniła uśmiech wargami bardziej zeszywniałymi niż jego.

- Sądzę, że jeszcze chwilkę posiedzę.

Ross wstał i poszedł porozmawiać z pilotami.

Zostawiona sama sobie, zmusiła się do myślenia, przygotowywała się do zebrania pomiarów z globalnego systemu nawigacyjnego GPS. Powinna zyskać dokładny odczyt wysokości, szerokości i długości geograficznej, jeżeli weźmie dwa punkty na horyzoncie i jeden z satelity, krążącego nad równikiem.

Opanowała drżenie dłoni, wyjęła z futerału przyrządy i ułożyła je na blacie przed monitorami. Potem przekręciła gałkę „włączone”, tak jak powinna to uczynić.

Lecz zamiast czerwonego światełka i bezszelestnego poruszania się wskazówki po tarczy, z czarnego pudełka dobył się trzask, który zaświdrował jej w uszach. Konferujący w przejściu za jej plecami Max i Enrico obrócili się i wlepili w nią wzrok.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Enrico, podnosząc dłonie, by przestonić uszy.

Pokręciła głową i wyłączyła urządzenie.

- Przykro mi, nie mam pojęcia. Zwyczajnie włączyłam je, a ono zaczęło trzeszczeć.

Zaczęła manipulować przy innych przyrządach, doskonale zdając sobie sprawę, że to, co wywołało owe trzaski, nie mogło być spowodowane czynnikami zewnętrznymi. Jednak musi spróbować raz jeszcze.

Zerknęła na Enrica i Maxa, którzy nie spuszczaali z niej wzroku. Max ze zmarszczonym czołem popatrzył na instrumenty, okulary w drucianych oprawkach okalały małe szare oczy na pobrużdżonej twarzy osoby w wieku średnim.

- Znowu to samo.

Kelly przekręciła gałkę i tym razem przenikliwy dźwięk rozległ się po całej kabinie.

- Dostyc - krzyknął Enrico, zatykając uszy dłońmi, póki nie wyłączyła urządzenia.

Nie ulegało wątpliwości, że przy akompaniamencie tego przenikliwego dźwięku nie będzie mogła dokonać żadnych odczytów. GPS będzie musiał poczekać. Zaczęło ogarniać ją uczucie zawodu. Najpierw anonim, potem urwane pasy, a teraz

to. Jej pierwsza misja okazywała się fiaskiem!

Ross wracał, a pozostali naukowcy ustępowali mu drogi, aż jego muskularny tors w kombinezonie wypełnił przejście.

- Powinnaś pójść i zobaczyć widok z kabiny pilotów - poradził z uśmiechem. - Jest naprawdę widowiskowo.

Popatrzył na nią błyszczącymi oczami, a serce dziewczyny zakotałało, że tak wyjątkowo się o nią troszczy. Rzecz jasna, działo się tak tylko dlatego, że oboje związani byli z jej ojcem. I to wszystko. Kiedy będzie miała sposobność porozmawiania z nim na osobności, powinna mu jasno wytłumaczyć, że wcale nie musi tak postępować.

Wciąż wytrącona z równowagi wadliwym funkcjonowaniem GPS i po koszmarnym locie bez pasów, niepewnie popatrzyła przed siebie.

- Jak długo będziemy w oku?
- Dostatecznie długo, byś mogła sobie je popodziwiać. Ja tutaj zostanę.
- To najwyraźniej nie chce działać. - W jej głosie rozbrzmiała irytacja, zmarszczywszy brwi spojrzała na czarną skrzynkę ze wskaźnikami i tarczami. - Piszcz, kiedy tylko ją włączę.

- Słyszałem.

Dostrzegła, że krzywi się, rozglądając po kabinie, jak gdyby szukał winnego.

Odczekał, aż Kelly z trudem dźwignęła się z fotela. Pomieszczenie było tak ciasne, że musiała precyzyjnie przesuwać się obok Rossa, by dostać się do przejścia. Odwróciła głowę, żeby uniknąć skrępowania, spowodowanego jego przytłaczającą bliskością. Czuła bijące od niego ciepło. To, że dotknął jej łokcia, oznaczało zaledwie, że pragnął służyć pomocą, ona jednak poczuła wyraźnie, jak przeszył ją dreszcz, kiedy chwyciła się wiszącej u sufitu pętli, by uzyskać równowagę.

Potem przesunęła się i przeszła do kokpitu, gdzie mocne szklane iluminatory oferowały zapierający dech w piersiach widok na cały horyzont. Hank wraz z drugim pilotem, przepasani wokół klatek piersiowych i wokół talii, siedzieli między instrumentami. Hełmofony łączyły ich z radiostacją. W zasięgu ich rąk, na szerokiej konsoli, mrugały małe czerwone lampki. Było tam zaledwie tyle miejsca, że mogła przysiąść między nimi na rozkładanym krzesełku.

- Cześć, Kelly! - zawołał Gray Worther, drugi pilot, przekrzykując ryk silników.
- Witaj, Gray.

Był żyłasty, łysiał, miał zapadnięte policzki. Przyjacielski uśmiech odstonił poplamione nikotyną zęby.

Panorama wewnątrz oka cyklonu zaparła dziewczynie dech w piersiach. Było to miejsce o nieprawdopodobnym wręcz spokoju i pięknie, doskonale ukształtowane, puszyste i białe. Wysokie, kłębiące się cumulusy mierzyły około trzydziestu stóp.

- Całkiem niebrzydkie, co? - odezwał się Gray podniesionym głosem, używanym w kabinie.

- Bez wątpienia! - odkrzyknęła.

Potem zauważyła stado ptaków kołujących wewnątrz oka cyklonu. Wskazała je:

- Skąd się tutaj wzięły?

- Przyniosły je poddmuchy burzy - wyjaśnił Gray. - Pewnie je zwiąło, a instynkt podpowiedział im, aby nie próbowały walczyć. Ptaki z Florydy niekiedy lądują aż w New Jersey.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się na widok nieszczęsnych stworzeń, przeniesionych tak daleko od gniazd.

W kokpicie została kwadrans piloci odpowiadali na jej pytania. Wreszcie Hank poprosił, by wróciła na swoje miejsce.

- Przedrzemy się przez zachodnią ścianę, jak tylko Ross z Maxem spuszcza sondę nawigacyjną - poinformował ją, mówiąc o instrumencie, który pożegluje ku ziemi na spadochronie i będzie wysyłał sygnały z powrotem do samolotu. - Może nas trochę pokotysać.

Grube niedomówienie, pomyślała Kelly. Mała igielka wzruszenia przeszła jej serce. Niebezpiecznie czy nie, przecież po to tu właśnie przyleciała. Ile osób mogło lecieć prosto w oko cyklonu? Poczwała na ciele gęsią skórkę.

Jestem tutaj, tatusiu, powiedziała do siebie, na moment przymykając oczy. Miała uczucie, że on wie, że się tutaj znalazła.

Nim wyszła z kokpitu, już miała się przyznać do zerwanych pasów, jednak zawahała się. Teraz nie jest na to odpowiednia pora. Powie o tym Hankowi i Wilsonowi, kiedy wrócą do bazy. Wtedy będzie czas, by coś z tym zrobić.

Ross poszedł z Maxem Omarim na tył wyładowanego samolotu, by opuścić sondę, która będzie nadawać dane o temperaturze burzy, prędkości wiatru, jego kierunku i inne sygnały z powrotem do samolotu. Max, średniego wzrostu, po pięćdziesiątce, ostrożnie torował sobie drogę. Ich kroki dudniły o metalową podłogę ładowni, a Ross błogostawił kombinezony lotnicze. Temperatura w samolocie była niejednolita, na rufie panował ziąb.

Po opuszczeniu sondy Enrico otrzyma pomiary na swoim stanowisku nasłuchowym, potem przekaze je Johannowi Amundsenowi, oficerowi od spraw pogody. Johann zaś przekaze informacje dalej do Centrum Huraganów, gdzie sporządzona zostanie prognoza.

Z interkomu przytwierdzonego do wręgi dobiegi głos Hanka:

- Dobra, panowie, spuszczaście ją.

Ross pstryknął włącznik interkomu i odpowiedział:

- Przyjąłem.

Asystował Maxowi, kiedy ten wkładał sondę do tuby, potem tubę do komory próżniowej, a następnie zatrzasnął wieko. Max pokręcił korbą, która zamykała sondę, potem skinął głową na Rossa. Małomówny facet, pomyślał Ross.

Max wskazał na kontakt na kontrolce i ponownie skinął głową. Ross przekręcił kontakt, podczas gdy Max przycisnął dźwignię obok komory próżniowej. Usłyszeli głucho stuknięcie i tuba oderwała się od kadłuba samolotu. Za kilka minut, kiedy maszyna zawróci, zobaczą otwarty jaskrawoczerwono-pomarańczowy spadochron, który umożliwi sondzie podróż w kierunku oceanu.

- Ile czasu jej zajmie dotarcie do powierzchni wody? - spytał Ross, wyglądając przez iluminator.

- Jakies trzydzieści minut - wyjaśnił Max. - Zależy od warunków.

Postępował się precyzyjnymi określeniami, typowymi dla kogoś, dla kogo angielski był językiem wyuczonym. Ross wiedział z przeczytanych przez siebie raportów, że Max wraz z rodzicami przybył do Ameryki po drugiej wojnie światowej.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się z uznaniem.

Po wykonaniu zadania Max zatarł dłonie, dając sygnał, że tutaj już skończyli. Ruszyli z powrotem.

Przez następne czterdzieści pięć minut zajęli się odczytywaniem i porównywaniem obserwacji. Huragan został opisany, wreszcie mogli opuścić oko cyklonu. Ross uparł się, że zamieni się z Kelly na fotele. Chciał mieć pewność, że będzie bezpiecznie przypięta pasami, gdyż on ma większe szanse utrzymania się.

- Ależ... - usiłowała protestować, nie potrafiła jednak znaleźć żadnego argumentu.

Wreszcie niechętnie zgodziła się i uniosła tak, by Ross mógł się pierwszy wśliznąć na siedzenie. Przynajmniej pas, obejmujący w talii, był w porządku. Oboje spojrzeli na ten zerwany i wymienili spojrzenia.

Zabezpieczyła się na swoim fotelu i obdarzyła Rossa pełnym wdzięczności uśmiechem. Pasy bezpieczeństwa otuliły jej ciało, kiedy wśliznęła się na siedzenie. Ross pomógł jej zacisnąć zapięcia, wcale nie dlatego, by potrzebowała pomocy, ale cieszyła go jej bliskość. Zaczynało mu się podobać, iż ponownie zetknął się z Kelly Tucker. Jakaś struna w sercu podpowiadała mu, że pewną kwestię należy doprowadzić do końca, że coś powinien wy badać.

- Dziękuję - odezwała się Kelly. - Teraz ty się przypnij. Uśmiechnął się do niej szeroko, kiedy opasywał się w talii swoim pasem. Przynajmniej zapobieże to natychmiastowemu wypadnięciu z fotela, gdy ponownie wpadną w turbulencję.

- Nic się nie martw - zażartował. - Nie zamierzam opuszczać twojego boku. Zachodnia ściana oka wcale nie okazała się łagodniejsza.

- Hank Jessup zaliczył ponad dwieście lotów w głąb oka cyklonu - ciągnął Ross. - Doskonale wie, co robi.

- Rozumiem.

Ponownie wymienili z Kelly spojrzenia, następnie przycisnęli głowy do miękkich oparc w oczekiwaniu na to, co za chwilę miało nastąpić. Lot samolotu sprawił, że żołądek wciąż podchodził mu do gardła, a potem wpychał go w siedzenie. Jednak Ross mocno trzymał się metalowej poręczy, chroniąc się przed uderzeniem w głowę. A lot zaczął przebiegać spokojniej.

Kelly utkwiała wzrok przed sobą w określonym punkcie na tablicy z instrumentami, kiedy zaczęło podrzucać samolotem. Wreszcie turbulencja zelżała, a chmury przestały być takie groźne. Opady za iluminatorami zaczęły być sporadyczne. I tym razem luźne pasma włosów Kelly wirowały, tworząc burzę wokół jej głowy, Ross zaś przytapał się na tym, że nie może oderwać od niej wzroku. Chciał po prostu napawać się jej widokiem, cieszyć się każdym rysem, każdym kształtem jej silnego, niewieściego ciała. Wyobrażał sobie, jak bardzo musiała się zmienić w ciągu tych lat, jakie minęły od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni.

Przez chwilę lecieli w gęstej warstwie chmur, następnie ponownie znaleźli się nad oceanem. Ross usłyszał, że Enrico kontaktuje się z dowództwem.

- „Hercules” do bazy - zabrzmiał jego głos.

Z bardzo daleka dobiegł ich głos Wilsona: - Słyszę cię „Hercules”. Odbiór.

Enrico podał dane i odsłuchiwał skrzypiącej odpowiedzi szefa.

- Mam je. Transmisja przebiegła bez zakłóceń - mówił Wilson. - Świetna robota.

Enrico znowu przełączył się na nadawanie.

- Dzięki, szefie. Isaac zawraca na wschód pod kątem piętnastu stopni.

- Przyjąłem - odparł Wilson po chwili zwłoki. - Mamy już wasze odczyty.

Możecie wracać do bazy.

- Przyjąłem - powiedział Enrico. - Zobaczymy się za parę godzin.

Wyłączył nadajnik i zanotował parę słów w księdze pokładowej. Już nad Atlantykiem sztorm powoli się oddalał. Zdaniem pasażerów „Herculesa” lot przebiegał teraz w komfortowych warunkach. Wszyscy odprężyli się, ucinając sobie spokojnie pogawędkę przy szumie silników maszyny.

Wszyscy prócz Rossa, obserwującego tych, których miał w zasięgu wzroku, i wsłuchującego się w stłumiona przez warkot samolotu głosy pozostałych.

Enrico przechylił się przez przejście i szeroko do nich uśmiechnął.

- I co teraz myśli o huraganie córka tropiciela burz?

Kelly nieco nerwowo odpowiedziała mu uśmiechem.

- Jestem pod dużym wrażeniem.

Kelly i Enrico porozmawiali chwilę, a Ross oparł głowę o fotel i zdawało się, że jest pogrążony we własnych myślach.

Musiał się zdrzemnąć.

Ocknął się na dźwięk danych z radarowego ekranu. Neil Devlin, piaskowozłoty specjalista od radarów i przyjaciel, nachylał się nad swoim stanowiskiem akurat na wprost Rossa. Odczytywał przez hełmofon pozycję dla Hanka w kokpicie.

Pocierając palcem brodę, Ross zmarszczył brwi na widok głębokiej białej masy na ekranie, wywołanej przez pobliskie zniekształcenie sygnału. A potem powiedział Kelly, że musi rozprostować kości, więc uniosła się, przepuszczając go. Przeszedł na drugą stronę kabiny i stanął obok Neila, mocno zapierając się na szeroko rozstawionych nogach, jedną dłoń przytrzymując się oparcia fotela, drugą zaś chwytając za wiszącą nad głową rączkę.

- Co jest, u diabła? - warknął Ross.

- Huragan zmienił kierunek - wyjaśnił Neil napiętym głosem.

Wlepili wzrok w wirującą białą masę, powoli zwracającą się na północ pod kątem dziesięciu stopni, jak wskazywał radar. Oko cyklonu, w którym lecieli przedtem, widoczne było w samym środku tego kłębowiska niczym dziurka w pączku.

Ross nachylił się i wskazał ekran.

- Czyżby naprawdę przesuwiał się w tym kierunku?

- Cholera, nie mylisz się - odparł Neil. Tym razem nie ulegało wątpliwości, co się dzieje.

Neil chrapliwym głosem ponownie przekazał informacje Enricowi, który chwycił hełmofon i pstryknął w wyłącznik nadajnika.

- „Hercules” do bazy. Odezwiście się. - Brzmiało to niczym wykrzyczany rozkaz.

Ross mocniej uchwycił się oparcia fotela Neila, wpatrując się w wirujące wskaźniki na monitorze radaru.

- „Hercules”, tu baza - odezwał się głos Wilsona. - Słyszemy cię.

- Podaję zmienioną pozycję Isaaca, sir - mówił Enrico.

Przekazał nową pozycję huraganu, prędkość, z jaką się porusza, kierunek i prędkość wiatru, przekazane przez Neila.

Czekali, zapadła chwila ciszy.

- Przyjąłem, „Hercules”. Radar naziemny potwierdza wasze dane.

- On zmienia kierunek - ciągnął Enrico. - Chyba potężnieje i zdąża naszym śladem.

- To zabierajcie się stamtąd do diabła - warknął Wilson. - I to najszybciej, jak

zdołacie.

- Nie mogę wprost uwierzyć - mruknął Neil, kiedy ponownie zaczęło nimi trząść.
- Hank, masz dane? - krzyknął do pilota.
- Potwierdzam. Mam dane - głos Hanka przebił się przez warkot silników.
- To wydostań nas z tego - zawołał Neil.

Ross zdawał sobie sprawę, że prawdziwy huragan może ich dopaść za jakąś godzinę, ale silna wichura, poprzedzająca burzę, wcześniej potrafi wyrządzić poważne szkody.

Pospiesznie wrócił do swojego fotela obok Kelly, gdzie luźno zwiślał pas bezpieczeństwa. Kelly przesunęła się i pytająco uniosła jasne brwi, kiedy przypiął ją, próbując nie okazywać niepokoju.

Zakłopotanie, w jakie wprawiła go zmiana kierunku huraganu, z pewnością odbijała się na jego twarzy, jednak mimo to starał się dodać dziewczynie otuchy spojrzeniem.

- Zdołamy wydostać się z burzy, prawda? - spytała miękkiem głosem mieszkanki Oklahomy, głosem, który przypominał mu dom.
- Powinniśmy -zapewnił.

Pomyślał, że ona przecież jest naukowcem. Lepiej więc mówić z nią szczerze.

- Mamy czołowy wiatr ze wschodu, huragan natomiast nadciąga z północnego-wschodu.
- Ciekawe, co sprawiło, że zmienił kierunek - mruknęła, przekrzywiając na bok głowę i wpatrując się w znajdujące się przed nimi instrumenty. Lekko wydeła dolną wargę, rozważając ten problem. - Chyba że nasze poprzednie odczyty były błędne.

Potem spojrzała na Rossa, jej zielone oczy rozszerzyły się.

- Nic mi nie będzie - zapewnił, czytając w jej myślach. Nie ma czasu na naprawianie zerwanych pasów. Będzie musiał trzymać się z całych sił, jeżeli wpadną w turbulencję.
- Trzymajcie się wszyscy - rozkazał Hank przez interkom. - Nabieramy większej wysokości.

Zdołali znaleźć dobrą wysokość do lotu i Hank z najwyższą prędkością umykał przed huraganem. Ross wyczuwał spokojną koncentrację całej załogi, gdy wykonywali swoją robotę, prowadząc samolot przez deszcz i chmury. Jednym okiem spoglądał na monitor radaru Neila. Nigdy dotąd nie zetknął się z tak błyskawicznie nadciągającą burzą. W jego głowie jedna myśl goniła drugą. Czy było coś nie w porządku z pierwotnymi przewidywaniami? Stacje meteo na oceanie powinny przekazywać odczyty później niż „Hercules”. Wilson powinien być w stanie porównać wyniki dla sprawdzenia ich wiarygodności.

Kątem oka spoglądał również na instrumenty Kelly, która systematycznie notowała temperaturę, wilgotność i ciśnienie. W każdym calu profesjonalistka, ocenił ją w myślach. Uśmiechnął się do siebie z podziwem. Jak jej tata.

Wkrótce potem musieli zejść w dół i kiedy osiągnęli wysokość dziewiętnastu tysięcy stóp, deszcz zmienił się w deszcz ze śniegiem. Ross ze swojego miejsca dostrzegł, że za zachlapanymi i zabrudzonymi iluminatorami panuje zerowa widoczność. Teraz kontrolowali lot wyłącznie za pomocą przyrządów pokładowych.

Kilka razy nimi rzuciło. Ross przywarł do metalowej poręczy, jednocześnie uśmiechając się do Kelly, by dać jej znać, iż wcale się nie niepokoi.

Kiedy wreszcie przedarli się przez warstwę chmur, morze pieńiło się pod nimi, gdyż wiatr burzył szczyty fal. Zbliżali się do bazy i Hank wysunął podwozie, żeby zminimalizować turbulencję. Ross poczuł wstrząs i samolot wyrównał lot pod niską chmurą warstwową.

- Dobrze się czujesz? - spytał Kelly.

Obróciła głowę, by wyjrzeć przez okno, i skinęła potakująco głową. Determinacja w jej zielonych oczach sprawiła, iż zrozumiał, że dziewczyna nie spocznie, póki nie dowie się, co jest nie tak z przyrządami pomiarowymi i dlaczego zerwał się pas bezpieczeństwa.

I dlaczego byli ścigani przez huragan, który wedle ich przewidywań powinien obrać inny kierunek.

Rozdział 3

W Centrum Huraganów personel Wilsona Quindry'ego szybko przeanalizował dane i opublikował niezbędne ostrzeżenia. Mieszkańcom wybrzeża nakazano zabezpieczyć dobytek. Najgorszy huragan przejdzie nad krańcami Florydy i nie powinien dotrzeć dalej na północ, w głąb lądu.

Godzinę później wszyscy, już w cywilnych ubraniach, znaleźli się w gabinecie Wilsona. Na jego biurku znajdował się otwarty system nawigacyjny GPS. Enrico DeMarcos wyjął instrument ze skrzynki i sprawdzał wzorcowanie w świetle zielonego blasku osłoniętej lampy w rogu blatu.

Stojący za Enrico Neil Devlin również nachylił jasną głowę, z zainteresowaniem obserwując całą operację. Ross rozparł się na obrotowym drewnianym krześle, ustawionym przed długim, zastanym papierami stołem pod tablicą z komunikatami. Wsparł łokcie na muskularnych udach, nachylił się i przypatrując założył ramiona.

Enrico odczepił dwa zaciski od przewodów, które testował, i skrzywiony patrzył na płytkę z obwodami.

Wykorzystał ołówek jako wskazówkę. Reszta podeszła bliżej, by obejrzeć to, o czym mówił.

Kelly powiodła wzrokiem za czubkiem ołówka i przyglądała się, jak Enrico dźga układ scalony. Był luźny.

- Zerwane połączenie. Wilson krzyknął z irytacją:
- Twierdzisz, że ten układ nie został właściwie przylutowany?

Enrico zmarszczył czoło, brwi zbiegły mu się na jego zazwyczaj pogodnej twarzy południowca.

- Właśnie na to mi wygląda, sir. Jednak nie potrafię tego wytłumaczyć. Sprawdzam starannie ten instrument, nim wsiedliśmy na pokład samolotu.

- I kiedy oglądałeś to wcześniej, układ tkwił mocno na miejscu? - dociekała Kelly.

- Tak, stanowczo tak.

Kelly stała z założonymi ramionami, wracając myślami do lotu. W pokoju wyczuwało się panujące napięcie. Musieli rozwikłać tę zagadkę i powinni zrobić to szybko. Skrzywiona mina Wilsona nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, że takie pomyłki nie są do zaakceptowania w Centrum Huraganów Gulf Coast.

- Czy to nie mogło się stać za sprawą turbulencji? - rzucił Ross z miejsca, w

którym siedział, ciemny grymas wykrzywił jego przystojną twarz. - Nawet jeśli skrzynka była przywiązana, płytka mogła ulec wstrząsowi, co spowodowało poluzowanie układu.

- Nie sądzę - odparł Enrico.

Zademonstrował im, jak ściśle płytka przylega do skrzynki. Kelly zgodziła się z nim. Układ scalony nie mógłby się obluźnić, chyba że od początku wadliwie go umocowano.

Nadeszła pora, aby rozważyć możliwość sabotażu.

Spojrzała na Enrica, na Neila, którzy podnieśli głowy w milczącym zdumieniu, a następnie na Wilsona.

- Ktoś musiał obluźować ten układ, a następnie ponownie umieścić płytkę w skrzynce - stwierdziła pośpiesznie.

Zastanawiała się z niepokojem, czy może była to ta sama osoba, która podrzuciła jej anonim? Zmrużyła oczy. Pominąwszy Wilsona, któremu bezgranicznie ufała, każdy członek ekipy mógł manipulować przy instrumencie, nie wykluczając tych trzech, przebywających w gabinecie.

Odrzuciła włosy przez ramię i uniosła brodę.

- Chciałabym, jeśli można, porozmawiać z dyrektorem na osobności.

Odczekała chwilę, żeby trzech członkowie ekipy pojęli, że prosi ich, by wyszli. Obserwowała, jak Ross rozprostowuje się i wstaje. Denerwowało ją, że w białej, bawełnianej koszuli i spodniach w kolorze khaki wygląda równie pociągająco, jak w kombinezonie lotniczym. Przez minutę jego mina wskazywała, że wcale nie zamierza wyjść. Ona jednak uparcie wysunęła brodę, dając do zrozumienia, że nie żartuje.

- Dzięki, Enrico - odezwała się, kiedy ten odłożył instrument na biurko.

Potem spróbowała ogarnąć Rossa spokojnym i szacującym spojrzeniem, zorientowała się jednak, jak trudno jej wytrzymać jego mroczny wzrok. Dostrzegła, że jest wściekły, gdy wszyscy trzech mężczyźni opuszczali gabinet.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Kelly wyjęła z kieszeni anonim.

- Znalazłam to wczoraj na moim krześle.

Wilson wlepił wzrok w kartkę, następnie uniosł krzaczaste, siwe brwi.

- To nie do zniesienia - wybuchnął - Kto to napisał?

- Ty mi powiedz. Ich oczy spotkały się.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie mówiłam dosłownie. Jestem przekonana, że podobnie jak ja nie masz pojęcia.

- Dlaczego nie poinformowałaś mnie od razu, kiedy to się zdarzyło?

Napotkała władcze niebieskie oczy, świdrujące ją zza okularów.

- Miałaś dziś rano i tak dość na głowie, pamiętasz?

Uniosta ręce w szerokim geście i zaczęła krążyć po pokoju.

- Huragan zagrażający Florydzie. Należało podjąć odpowiednie decyzje, żeby ratować życie ludzkie.

Opuściła ramiona i zaapelowała do niego:

- Sądziłam, że ta nikczemna groźba może poczekać.

Wilson pokręcił głową i wszedł za swoje metalowe biurko. Huragan odsuwał się, zabierając ze sobą zagrożenie nad morze, wciąż jednak padał ulewny deszcz. Zerknęła ponownie na anonim i podrapała się po głowie, z niezadowoleniem wydymając wargi.

- Osobiście przeprowadzę śledztwo - powiedział ostro.

- Wolalabym, żebyś tego nie robił. Poderwał głowę.

- A to dlaczego?

Usiadła na rogu biurka i wzdrygnęła się nieco pod wpływem przejmującej wilgoci.

- Ponieważ ten ktoś, kimkolwiek jest, nie powinien wiedzieć, że się z tym do ciebie zwróciłam. Może nie podoba się mu fakt, że córka twojego przyjaciela zyskała tę lukratywną posadę. Sama nie wiem. Wiedziała, że w jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie, odetchnęła więc głęboko, aby to opanować. Nie chciała, by Wilson się o nią martwił.

- Tak... ale co to znaczy? - mruknął.

- To, że będę mieć oczy i uszy otwarte, Wilson. Zamierzam jednak zachowywać się tak, jakby się nic nie stało.

Zacisnęła wargi, po chwili przemówiła znowu:

- Muszę utrzymać tę pracę. Muszę myśleć o Annie.

Na wzmiankę o jej siedmioletniej siostrzenicy Wilson wziął głęboki oddech. Wiedziała, że i on troszczy się o wnuczkę starego przyjaciela i nie dopuściłby do jakiegokolwiek niebezpieczeństwa grożącego dziewczynce.

Kelly na chwilę w zadumie zacisnęła wargi. Potem zmierzyła go poważnym wzrokiem.

- Sądziłam, że powinieneś o tym wiedzieć. Na wypadek gdyby w tym naprawdę coś było, masz dowód.

- Kelly, jesteś pewna, że trzeba tak właśnie postąpić? Nie mogę pozwolić, aby cokolwiek stało się tobie albo Annie.

Powoli pokiwała głową.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Groźby nie są wycelowane w Annie. Bardziej wygląda to na zawodową zawiść. Potrafię poradzić sobie z taką pasją.

Wilson zdjął okulary i potarł grzbiet nosa, nakładając z powrotem okulary gestem, który Kelly wydał się długoletnim nawykiem. Wypuścił powietrze przez

wydęte wargi.

- Sądzisz, że poluzowany układ scalony w przyrządzie pomiarowym ma z tym związek? - spytał energicznie.

- A ty nie? A do tego jeszcze pasy bezpieczeństwa. Jego czoło pobruździły głębokie zmarszczki.

- Załoga naziemna właśnie to sprawdza. Ktoś ciężko zapłaci za tę usterkę. To może być zbieg okoliczności. Lecz jeśli nie, znajdujesz się w jakimś niebezpieczeństwie, Kelly. Twój ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdyby...

Przerwała mu skinieniem dłoni.

- Nie, nie wybaczyłby. Tylko że mnie się nic nie stanie. Przypuszczam, że temu komuś chodziło o sprawdzenie, co z tym zrobię. Może nie podoba mu się, że w zespole pracuje kobieta. Kiedy jednak będę mieć oczy i uszy szeroko otwarte, odkryję to.

Spróbowała się roześmiać, jednak bardziej przypominało to drwiące chrząknięcie.

- Nie proszono mnie, bym zrezygnowała z wyprawy. Może tą osobą chciała przekonać się, czy mam jaja.

Parsknął.

- Coś w rodzaju próby ogniowej.

Kiwnęła głową z większym entuzjazmem, niż czuła w istocie.

- Tak jakby.

Westchnął głęboko, w jego wzroku mogła odczytać troskę i przywiązanie.

- No dobrze - poddał się wreszcie. - Jeśli chcesz osobiście dociekać prawdy, masz moją zgodę. Ale, młoda damo, jeżeli zdarzy się jeszcze coś dziwnego, natychmiast dasz mi znać. Dotarło?

Wstała, niemal gotowa uśmiechnąć się.

- Przyrzekam.

Pragnęła uściskać starego przyjaciela, zdawała sobie jednak sprawę, że nie znajdują się na prywatnym gruncie. Zameldowała mu o sprawie i chociaż wiedziała, że Wilson uczyni wszystko dla jej rodziny, musiała mu także okazać swój profesjonalizm. Wyciągnęła dłoń, mocno ucisnęła mu rękę i uśmiechnęła się uspokajająco.

- Zabieram się zatem do pracy - odezwała się. Udzielił jej milczącego przyzwolenia, mimo iż zauważyła w jego wzroku błysk niepewności. Podeszła do drzwi i otworzył je przed nią.

Na zewnątrz, w pokoju operacyjnym, jej koledzy pochylali się nad mapami rozłożonym na wielkim stole, oświetlonym padającym z góry miękkim światłem fluorescencyjnym. Niewielka grupka osób przerwała rozmowę i podniosła głowy w

kierunku Kelly i Wilsona, opuszczających dyrektorski gabinet. Ale ona zacisnęła wargi w wąską kreskę, zachowując neutralną postawę.

Napotkała wzrok Rossa. Podniósł głowę znad miejsca, w którym stał, opierając się obu dłońmi o blat stołu. Jego spojrzenie sprawiło, że jeszcze bardziej wyprostowała plecy, lecz przeniosła gdzie indziej wzrok i pomaszerowała przed siebie.

Nie zamierzała nikomu okazać, że jeszcze przed chwilą miała nerwy napięte do granic wytrzymałości.

Kelly wsunęła swój identyfikator w czytnik przy biurku ochroniarza, aby system otrzymał informację, że wychodzi z budynku. Strażnik w mundurze podniósł wzrok i skinął głową, zapisując jej nazwisko w księdze wyjść.

Deszcz ustał, pozostawiając po sobie wielkie kałuże na parkingu i szare niebo nad głową. Kelly już prawie wsiadła do samochodu, kiedy usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu. Między rzędem samochodów spieszył Ross, stawiając potężne kroki, i znalazł się przy niej, gdy właśnie otwierała drzwiczki. Przesunęła dłońią po swoich prostych, miękkich włosach i odwróciła się w jego stronę.

- Cześć - odezwał się.
- Cześć.

Miała za sobą ciężki dzień, toteż jedyne, czego pragnęła, to wrócić do domu, zobaczyć Annie i wyciągnąć się na kanapie. Opuściła wzrok na pierś Rossa, usiłując nie zwracać uwagi na wewnętrzne drżenie. Wciąż dostrzegała w Rossie cechy, których przecież wołałaby nie widzieć. Na przykład to, jak bardzo stał się męski i pociągający.

Jednakże jego uporczywy wzrok zmusił ją do podniesienia głowy i spojrzenia mu w oczy. Determinacja, malująca się na jego stanowczym podbródku, powiedziała jej, że zamierza coś na niej wymóc, a serce drgnęło jej na myśl o tym, co to takiego mogłoby być. Cholera! Nigdy o to nie prosiła. Wydawałoby się jej zdradą, gdyby okazała się seksualnie atrakcyjna w oczach człowieka, odpowiedzialnego za śmierć jej ojca. Nie! Nigdy do tego nie dopuści.

- Chciałem tylko upewnić się, że się dobrze czujesz.

Wyciągnął dłoń i odgarnął mokry kosmyk z jej czoła. Odsunęła się, patrząc w dół na tylne siedzenie swojej granatowej Mazdy Protege.

- Jasne, nic mi nie jest. Dzięki za troskę. Bawiła się kluczykami, czekając, aż odejdzie.

Ale on wcale nie miał takiego zamiaru. Zastawiał muskularnym ciałem samochód, wspierając rękę o dach. Kiedy Kelly podniosła wzrok, on spoglądał gdzieś w dal, jak gdyby oceniał, gdzie przesunął się huragan. Na wybrzeżu prawdopodobnie powstały jakieś szkody. Burza jednak nie dotarła w głąb lądu,

ona zaś nie miała już dzisiaj ochoty na rozmowę na tematy zawodowe.

- Po prostu muszę trochę odpocząć - przyznała wreszcie. Znowu zwrócił ku niej przenikliwe spojrzenie.

- Posłuchaj, rozumiem, że jesteś zmęczona. Jednakże zastanawiałem się... czy mógłbym wpaść na jakiś obiad. Chciałbym zobaczyć Annie.

Kelly zmarszczyła czoło. Mimo zmęczenia iskierka sentymentu sprawiła, że zawahała się przed daniem Rossowi odprawy.

- Byłoby jej bardzo miło.

- Ona nie może mnie pamiętać. Była szkrabem, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Tak.

Pałący smutek przepętnił jej serce. Czy to wszystko było pomyłką? W jakiś sposób wspomnienia o ojcu stały się silniejsze, od kiedy tutaj przybyła. Annie musiała zamieszkać z Shermanem, gdyż jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Starsza córka Shermana, Noelle, była przyrodnią siostrą Kelly z poprzedniego małżeństwa jej ojca. W kilka lat po narodzeniu Noelle rozwiódł się z Helen i poślubił matkę Kelly.

Helen wciąż żyła, jednak czuła się zbyt stara na wychowywanie dziecka. Tak więc to Kelly zajęła się Annie. Nie było łatwo, Kelly czuła jednak wyjątkową więź, łączącą ją z siostrzenicą. Jej własna matka zmarła, kiedy dziewczynka miała ledwie pięć lat, tak że większość życia spędziła u boku ojca. Zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, by Annie czuła się bezpieczna i kochana i to zawsze było jej naczelnym celem. Helen odwiedzała je na Boże Narodzenie i często się z nimi kontaktowała. Tak było lepiej niż w ogóle nie mieć rodziny.

- Dobrze, zgoda. Możesz wpaść, jeśli masz na to ochotę.

Jego oczy pojaśniały, a Kelly przytępiła się na tym, że odpowiada na jego pełen oczekiwania uśmiech. Co się z nią dzieje? Potrzebowała spokojnego wieczoru w domu, żeby wszystko przemyśleć. A nie kilku godzin przebywania w towarzystwie Rossa i niepokojących uczuć, jakie w niej wzbudzał. Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech, wsiadając do samochodu, zanim zmieni zdanie.

- Annie lubi chińskie jedzenie - rzuciła Rossowi przed zamknięciem drzwiczek.

Odjeżdżając widziała, jak tkwi w miejscu z rękami w kieszeniach, moknąc na mgle, która przechodziła w kolejną mżawkę. Mamrotała do siebie myśląc, że przede wszystkim powinna go była trzymać na dystans. Wciąż miał ten sam co dawniej diabelski urok. Może jednak jest mu coś winna za to, że się dzisiaj nią zaopiekował. W końcu to tylko smaczny obiad, odwiedziny u Annie i na tym koniec. Potem zaś będą się widywać wyłącznie na gruncie zawodowym. Przede wszystkim musiała odkryć, co się tutaj dzieje i kto się chce jej pozbyć. Może to

nawet Ross, chociaż w tej chwili jej zmęczony umysł nie potrafił sobie tego wyobrazić. Może i jest szaleńcem, ale czy jest równocześnie podstępny i fałszywy? Nie, to nie w stylu Rossa Kinga. Absolutnie nie. Ross nie zwracał uwagi na deszcz, patrząc za odjeżdżającą Kelly. Żar, jaki wzbudziła w jego ciele, wystarczył, by rozgrzać mu krew. Spodobał mu się sposób, w jaki do niego przyłgnęła przerażona. Skręcał go z wściekłości fakt, że ktoś usiłował ją skrzywdzić, a to sprawiło, że postanowił za wszelką cenę trwać przy niej i chronić ją.

I to wcale nie dlatego, że Kelly Tucker sądziła, by potrzebna jej była pomoc. Nigdy nie spotkał dzielniejszej młodej kobiety. Ulepiona została z tej samej gliny co jej starsuszek, chociaż by się do tego nie przyznała.

Zaklął pod nosem, nim uruchomił samochód. W jej wspaniałych zielonych oczach wyczytał pogardę i ból. Nie spodobało się jej, że go tutaj spotkała. Przypominał jej o zbyt wielu rzeczach. Jemu także o tym jak zawsze była pociągająca, jak bardzo pragnął, by wróciła, gdy była córką jego nietuzinkowego profesora.

Poczuł, jak przyptyw oczekiwania ogarnia jego lędźwie i spróbował się opanować. Sprawa do załatwienia, stary, upomniał się, wsuwając długie ciało do beżowego BMW. Skórzany zapach wnętrza był znajomy i uspokajający. Wciąż jednak myśl o całowaniu Kelly Tucker, o rozrzuceniu jej złocistych włosów po poduszce sprawiała, że mocniej bił mu puls.

A jednak ona go nie lubi. W jej oczach jest nikim innym, jak tylko popisującym się playboyem. Człowiekiem, który pozwolił, by zginął jej ojciec. Przymknął oczy, pozwalając silnikowi przez chwilę pracować na wolnych obrotach, wspominał dzień tamtego straszliwego tornada w Oklahomie. W jego głowie wyświetliła się scena, jak ustawili samochody rzędem przy drodze, filmując i robiąc pomiary, tak jak czynili to tysiące razy przedtem. Jednakże owego dnia wydawało się, że Sherman sam szukał śmierci. Przykazał pozostałym, aby ruszali, on jeszcze chciał zostać jakieś pięć minut na miejscu.

I w ten sposób obserwowali z furgonetki, jak Sherman wreszcie wsiada do samochodu i rusza drogą w ich kierunku. Obserwowali, jak tornado nabiera prędkości...

Otworzył oczy i potrząsnął głową. Odtwarzał sobie ten obraz tyle razy, że nie wiedział już, czy widzi go tak, jak to było naprawdę. Jeszcze mocniej pokręcił głową i wreszcie włączył wsteczny bieg. Nie należało tego rozpamiętywać. Ten człowiek zginął.

Chińską restaurację znalazł kilka przecznic od mieszkającej w eleganckim bloku Kelly. Torba wciąż była ciepła, kiedy zaparkował przed białymi, ozdobionymi stiukami apartamentami, minął żelazną bramę i wszedł na dziedziniec. Odszukał

klatkę schodową prowadzącą na piętro, potem rozejrzał się po balkonach. Wreszcie odnalazł numer 203.

Nim zapukał, zerknął w dół na balkon po drugiej stronie schodów. Poniżej leżał pusty dziedziniec. Zaniepokoił go brak ochrony. Kelly w tym miejscu była zanadto wystawiona na niebezpieczeństwo.

Otworzyła przy drugim pukaniu, uśmiechnął się. Przebrała się w miękki, biały podkoszulek, który atrakcyjnie otulał jej krągłe piersi. Powstrzymał się przed wlepianiem w to miejsce oczu. Poza tym i tak było wiele do podziwiania. Jej otwarta, uczciwa twarz, pełne, kuszące do pocałunku wargi. Minę miała nieco mniej zakłopotaną, włosy zaczesła do tyłu, koczek oplotła wstążką.

- Cześć - odezwała się swoim zmysłowym, ochryplym głosem.

Boże, co on ma począć przez cały ten wieczór? Ta kobieta sprawiała, że chciał cisnąć na bok jedzenie, w jednej chwili przyciągnąć ją do siebie i smakować jej wargi swoimi.

- Cześć - uśmiechnął się szeroko. A potem dodał w swój najbardziej czarujący sposób: - Dostawa jedzenia.

- Mmmmm - mruknęła, klepiąc się po płaskim brzuchu, przestoniętym luźnymi, różowymi szortami. - Jesteśmy głodne.

Wszedł do miękko oświetlonego pokoju i natychmiast poczuł się jak u siebie w domu. Sofa ze złotym wzorem i wyściełane krzesła zapraszały gościnnie, wielkie ciemnoczerwone i brązowe poduszki nadawały domowy wygląd temu, najprawdopodobniej pospiesznie urządzonego apartamentowi. Po lewej stronie ustawiono sięgający mu do pasa regał na książki.

Wielki rudy kocur o błyszczących zielonych oczach leżał na plecionym dywaniku z łapkami wtulonymi pod swoje krótkowłose ciało.

- To Stegmeier - przedstawiła Kelly, wskazując kota. - Przyjechał tu z nami z Boulder. Należy do rodziny.

- Rozumiem.

Ross przeszedł po drewnianej podłodze do części jadalnej i położył papierową torbę na szklanym blacie stołu. Otwarte okiennice wychodziły na Zatokę Old Tampa. Kelly bosymi stopami przeszła po białych kafelkach kuchennej podłogi i otworzyła parę szafek.

Ross wyjął pojemniki z jedzeniem, głośno wymieniając, co kupił. Kelly przyniosła plecione maty i srebrne sztucce.

- Brzmi to wspaniale - stwierdziła z półuśmiechem. - Zawołam Annie.

Sądząc po roztargnieniu słowa Rossa nawet do niej nie dotarły. Kiedy pobiegła po Annie, parsknęła w duchu śmiechem. Może niepokoiło ją to samo, co jego. Może iskrzyła między nimi nie tylko zadawniona uraza. Może było to coś całkiem innego.

Jednak, marszcząc czoło, usiłował wyrzucić ze swojej głowy pożądanie Musi zachować przytomność umysłu, jeżeli chce zapewnić jej bezpieczeństwo. Jak ma jednak tego dokonać, kiedy miękkie ruchy jej bioder, długie, gładkie opalone nogi sprawiały, że pragnął spleść z nią swoje.

- Później - szepnął do siebie, metodycznie otwierając białe pojemniki. Skoro nie potrafi całkowicie odrzucić od siebie myśli o kochaniu się z Kelly, musi przynajmniej odsunąć je na chwilę.

Kelly nie była przygotowana na widok męskiej sylwetki Rossa, stojącej przed jej progiem tak, jakby należał do tego miejsca. Odświeżył się, zielono-złoto-brązowa koszula i oliwkowe szorty z diagonalu podkreślały tylko jego opalone ciało, oślepiająco biały uśmiech i doskonale ostrzyżone ciemne włosy. Poczwała ucisk w piersiach, kiedy lekko omiótł ją wzrokiem i spodobało mu się to, co ujrzał. Trwało to zaledwie sekundę, lecz znowu poczęła drżeć.

I to był błąd.

Zastała Annie wyciągniętą na łóżku, ubraną w błękitne, dzinsowe ogrodniczki i różowo-biały podkoszulek z nadrukiem. Bawiła się pluszowymi zabawkami: konikiem i żółwiem. Piaskowowłosa siedmiolatka uniosła głowę.

- Czy on już jest? Przyniósł jedzenie? Kelly uśmiechnęła się szeroko.

- Na oba pytania odpowiedź brzmi tak. Opowiedziała już Kelly, że Ross jest dawnym przyjacielem, który kiedyś pracował z Shermanem.

Annie ześliznęła się z łóżka, starannie umieściła konika i żółwia w rzędzie podobnych wypchanych zwierzątek i dołączyła do Kelly. Ta nagle zastanowiła się, czy Ross dopatrzy się w małej dziewczynce jakiegoś podobieństwa do poważnego Shermana. Nawet piaskowe brwi nad orzechowymi oczami, prosty nosek i proste wargi należały do rodziny Tuckerów. Miała jednak gładką brzoskwiniową cerę dziecka i marzące spojrzenie.

Annie chwyciła Kelly za rękę i pomaszerowały razem korytarzem. Dziewczynka była nieśmiała, toteż przytuliła się do jej boku, gdy wchodziły do oświetlonej jadalni. Ross wyprostował się i uśmiechnął.

- Annie, to Ross King. Znał cię, kiedy byłaś małym szkrabem. Ross, to Annie.

Zamiast ruszyć ku niej, Ross usiadł i posłał małej pełen otuchy uśmiech. Kelly była wzruszona jego pełną wycucia reakcją na nieśmiałość małej.

- Witaj, Annie. Cieszę się, że cię widzę.

- Podejź, kochanie, podaj Rossowi rączkę - ponagliła ją Kelly. - Tak będzie dobrze.

Annie wiedziała, że nigdy nie rozmawia się z nieznajomymi, a zwłaszcza obawiała się mężczyzn. Toteż takie formalne powitanie było bardzo ważne.

Puściła Kelly i pomaszerowała do Rossa, wyciągnęła ramię i podała rączkę. Uścisnęli sobie dłonie. Ross uśmiechnął się.

- Ile masz lat, Annie?
- Siedem.
- Piękny wiek. Chodzisz do szkoły? Annie kiwnęła głową.
- Do drugiej klasy. Pani Watson odwozi mnie do domu.
- Pani Watson to nasza niania - wyjaśniła Kelly. - Ja odwożę Annie rano, ona

potem zabiera ją do domu i gotuje dla nas obiad.

Ross wyszczerzył zęby.

- Przypuszczam, że pani Watson ma dzisiaj wolne.
- Zawiadomiłam ją, że będziemy jadły kupny obiad, więc zabrała do domu to, co dla nas przygotowała.

Kiedy Kelly już przekonała się, że Annie i Ross dogadują się, dokończyła nakrywać do stołu. Stegmeier wskoczył na blat. Chciał zbadać zawartość ciepłej papierowej torby i został odprawiony ostrym krótkim:

- Nie!

Potem zabrali się do jedzenia, pałaszując z uznaniem wszystkie te smakołyki. Annie opychała się warzywami, ryżem, kurczakiem i krewetkami, nalała też sobie szczodrą porcję sosu z kaczki i wysmarowała nim policzki i brodę. Gdy skończyli, Stegmeier wylizał ich ustawione na kuchennej posadzce talerze.

Kiedy najedli się po uszy, Kelly zajęła się zmywaniem, Annie zaś umyła buzię, potem zabawiła Rossa paradą pluszowych zwierzątek, przedstawiając je po imieniu.

Zdawało się, że Ross doskonale radzi sobie z małą, a Kelly zastanawiała się, czy wcześniej miał dużo do czynienia z dziećmi. Usiłowała ożywić w sobie krytyczne myśli, zmywając w kuchni i odstawiając wszystko na miejsce. Jednakże szmer rozmów i śmiechy, dobiegające z salonu, nie podtrzymywały obrazu Rossa jako egoistycznego, buńczucznego kawalera, jakiego spodziewała się w nim widzieć.

- Małeńka, czas na odrobienie lekcji - przypomniała wracając do salonu. Ujęło ją za serce, że Annie tak świetnie się bawi. Niemal zabolęło, że musi im przerwać.

Ross zrobił żartobliwie poważną minę.

- O, o... jestem w kłopotcie, Annie. Uniemożliwiam ci odrobienie pracy domowej. Będę się bardzo gniewał, jeśli zaraz się do niej nie zabierzesz.

Annie zachichotała i przycisnęła kilka zwierzątek do piersi. Kelly odprowadziła siostrzenicę do jej pokoju, zabierając resztę zabawek.

Nim Annie wśliznęła się za swoje małe biurczko i wzięła tabliczkę, by ćwiczyć pisanie liter, spojrzała na Kelly okrągłymi oczami i odezwała się cicho:

- On jest w porządku.

- Owszem - potwierdziła Kelly, czując, że ściska ją w gardle. - Jest w porządku.

Scandalous

Rozdział 4

Kiedy wróciła do salonu, zastała Rossa wyciągniętego na sofie, oglądającego zasnuty deszczem widok za stołem jadalnym. Rudy kocur wskoczył mu na kolana i z przyjemnością poddawał się głaskaniu. Ross był zadumany, jednak wzrok jego zmiękł, gdy weszła do pokoju.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, zdumiona słowami, które wymknęły się z jej ust. Stała z rękami na biodrach, na lekko rozstawionych nogach, w pozycji bojowej.

Ogarnął wzrokiem jej sylwetkę, znów zagrażając jej wewnętrznemu oporowi. Teraz usiadł bardziej prosto, jedno ramię przerzucił przez oparcie sofy. Kot zeskoczył na podłogę.

- Wiem - odparł po prostu.

Omijając kuszące miejsca u jego boku, podeszła do bujanego fotela, stojącego przy stoliku z lampką. Miękki beżowy cień omiatał ją ciepłym światłem. Obok Rossa kolorowa lampa w stylu Tiffany'ego oświetlała jego jasnobarwną koszulę. Tworzyli takie przeciwieństwo: Ross ze swoją wyjątkową energią i odwagą, potrzebą, aby zapanować nad każdą sytuacją, i Kelly z pragnieniem, żeby po burzach prowadzić spokojne życie. Zwłaszcza dzisiaj.

- Od czego chcesz zacząć? - spytała.

Ściągnął ciemne brwi, wpatrując się w dziewczynę. Lecz tym razem nie było w jego wzroku nic z flirtu, nic z wiele znaczącego spojrzenia, na jakim przytapała go wcześniej. Teraz był bardziej poważny. Lecz ku jej zdumieniu, kiedy przemówił, nie nawiązywał do przeszłości

- Poszedłem do kabiny z załogą - powiedział. - Ten pas bez wątpienia został celowo uszkodzony.

Odwróciła oczy, speszona uciskiem w żołądku.

- Jesteś pewny, że się sam nie zerwał?

- Jestem pewny. Wilson potwierdza, jak starannie załoga wszystko sprawdza podwójnie przed i po każdym locie. Poza tym, sam widziałem ślady po przecięciu. Jeżeli mógłbym odszukać narzędzie, którym to zrobiono, przypuszczalnie na ostrzu znalazłbym ślady włókien. Każde laboratorium by to potwierdziło.

Wydeła usta w wymuszonym uśmiechu.

- Ale go nie odszukasz. Powoli pokręcił głową.

- Nie. Ktokolwiek to zrobił, dopilnował, by narzędzie zostało starannie ukryte.

Gdybyśmy wezwali policję, spłoszyłoby to przestępcę. Takie rozwiązanie byłoby prawdopodobnie najbezpieczniejsze.

Zdawała sobie sprawę, że chciałby schwytąć sabotażystę na gorącym uczynku i zażądać od niego zapłaty. Ona jednak, na ile to tylko możliwe, pragnęła nie ściągać na siebie uwagi.

Pokręciła przecząco głową.

- Wolalabym nie. Rozmawiałam także z Wilsonem. Ktoś chce mnie się stąd pozbyć, powodowany albo zazdrością, albo ze względu na moją płęć lub z jeszcze innej przyczyny. Mogę to znieść, jeżeli tylko w tym rzecz.

Zmrużył oczy, przyprawiając ją o lekki dreszcz.

- Jeżeli tylko w tym rzecz. Ponownie uniosła wzrok.

- A sądzisz, że to coś więcej?

Dostrzegła powściągliwy błysk w jego oczach, co sprawiło, że poczuła się nieswojo.

- Kelly, muszę dowiedzieć się czegoś, o czym ty wiesz, a co może się wiązać z tą sprawą. Wróc myślami do wszystkiego, co się tutaj wydarzyło od chwili twojego przyjazdu. Powoli to przeanalizujemy. Może wspólnie uda się nam coś wykombinować.

- Dlaczego? - rzuciła wyzywająco. - Dlaczego jesteś tym tak zainteresowany?

Ze zniecierpliwieniem wzruszył lekko ramionami, jak gdyby to ona powinna znać odpowiedź.

- Ponieważ ten idiota ciebie obrał za cel. Może stać się coś okropnego. Chcę pomóc.

- Ponieważ jesteś mi coś winien... za śmierć mojego ojca.

No tak, było to otwarte postawienie sprawy, a przynajmniej prawie. W jej żyłach podskoczył poziom adrenaliny, serce biło jak oszalałe. Konfrontacja nie była łatwa, wiedziała jednak, że muszą przez nią przebrnąć.

Nie przybrał miny osoby winnej, nie próbował też unikać jej wzroku. Tylko milczał przez chwilę, a jej się wydało, że nieco silniej zacisnął wargi i zęby. Wreszcie przemówił, starannie odmierzając słowa, w których dało się wyczuć drżenie kontrolowanych emocji.

- Byłem wściekły na siebie po śmierci twojego taty, Kelly. - Urwał, przełknął z trudem ślinę, potem ciągnął dalej: - Do tej pory nie potrafię wytłumaczyć, co się zdarzyło. Może nawalił mu samochód. Może po prostu stracił umiejętność właściwej oceny sytuacji, a potem już było za późno. Od tamtej pory jest mi ogromnie przykro.

Nachylił się, łokcie wsparł o kolana i powoli pokręcił głową.

- Przeżywałem na nowo ten dzień tak wiele razy, że zaczyna rozmazywać się

w mojej pamięci. Jednak uczciwie mówiąc nie sądzę, bym mógł ocalić mu życie. - Zaległa między nimi ciężka cisza, namacalna i przygnębiająca. - Zdaję sobie sprawę, że nie możesz mi wybaczyć.

Kelly uświadomiła sobie, że zacisnęła dłonie na wyścietanych poręczach fotela i spróbowała rozprężyć palce. Chciała zachować przewagę nad Rossem, lecz jego szczerłość zbiła ją z tropu.

- Nie obwiniam cię - powiedziała. Jednak szorstkość w jej głosie zdradzała coś przeciwnego.

- Nie? - Słyszała, że w to wątpi.

Jak wytłumaczyć uczucia, które pielęgnowała przez wszystkie te lata?

- Nie mogłeś nakazać tacie, co ma robić. Wiem to. Nie obwiniam cię - powtórzyła. - Pragnęłam tylko powiedzieć, że zachowałeś się nierozważnie.

Usiadł znowu, nie patrząc na nią.

- Bo byliśmy nierozważni.

Potem pochwycił jej spojrzenie, ciemne oczy przenikały głęboko jej duszę, sięgając miejsca, o którym nie sądziła, że jest dla kogokolwiek dostępne. Kiedy przemówił, zrobił to cicho, lecz jego słowa pokonały dzielący ich dystans, jak gdyby rozdzielało ich ledwie kilka cali.

- A nie nazwiesz tego, co robiliśmy dzisiaj, nierozważnym?

Wyzywająco wysunęła brodę.

- To była profesjonalna misja, to nie to samo.

- Daj spokój, Kelly - odparował. - Tylko w telewizji ściganie burz przypomina efektowne hobby. Tymczasem ludzie tacy jak twój ojciec gromadzili naukowe dane, które miały pozwolić na lepsze prognozowanie huraganów. Nikt nie wie, co dokładnie je wywołuje. Im więcej się dowiadujemy, tym lepiej przygotowujemy meteorologów. Robimy to po to, żeby ocalić życie ludzi i ich majątki. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę, inaczej nie wykonywałabyś swojej pracy.

Jej krew zawrzała na widok bezpośredniego wyzwania w jego przenikliwych, piwnych oczach. Nie zamierzał tak łatwo się poddać. Lecz ona odezwała się cicho, opanowanym głosem. Nie chciała, aby Annie usłyszała, że się kłóć.

- Zawsze chciałeś zostać bohaterem, prawda? Widzę, że to się nie zmieniło.

Przez chwilę ponad dywanem wpatrywali się w siebie rozwścieczeni, każde pewne swojej racji i żądające przyznania jej. On pierwszy ustąpił. Jego oczy złągodniały, zmarszczył czoło.

- Co się stało, to się nie odstanie. Oboje źle myślimy o tym, co się wydarzyło. Oboje uważamy, że mogliśmy temu zapobiec. Nie uczyniliśmy tego. Jednak życie toczy się dalej, Kelly. Wątpię, czy twój ojciec. chciałby, żebyśmy spędzili bite sześć lat na obwinianiu się. Jest praca do wykonania. Pragnąłby, byśmy się nią zajęli.

Odwróciła głowę na bok, chcąc uniknąć następnego przenikliwego spojrzenia.

- I zajmujemy się.
- Tak jest lepiej.

Dali sobie chwilę na złapanie oddechu, potem Ross zaczął od nowa:

- Zatem przeanalizujemy nasz bieżący problem. Chcę wiedzieć, kto jest sprawcą owych kłopotów. Wydają się wymierzone w ciebie, ale tego też nie wiemy jeszcze na pewno. Może ta osoba po prostu chciała, żeby cała misja zakończyła się fiaskiem.

Opuściła zrezygnowana ramiona i wstała.

- Zostań tutaj. Muszę coś przynieść.

Zajrzała do Annie, by upewnić się, że u małej wszystko w porządku, następnie przeszła korytarzem do swojej spowitej mrokiem sypialni. Za jasnymi drewnianymi okiennicami rozciągał się ten sam widok na zatokę, co z jadalni. Zamknęła je teraz, zapaliła małą nocną lampkę. Potem wyjęła kluczyk z torebki i otworzyła szufladkę w małym biurku o rozsuwanym blacie, stojącym w rogu pokoju. Wepchnęła anonim do kieszeni i wróciła do salonu. Rzuciła kartkę Rossowi, potem znów zajęła swoje miejsce. Kiedy ją przeczytał, otworzył w zdumieniu usta, a gdy uniósł głowę, jego twarz pociemniała. Święty gniew ukazał się w jego teraz prawie czarnych oczach.

- Kiedy to dostałaś? Gdzie?
- Leżało wczoraj na moim krześle.
- I nikomu o tym nie powiedziałaś? - prawie warknął.
- Wilsonowi. Dzisiaj po locie.

Zacisnął wargi w prostą, szarą kreskę. Drgał mu' mały muskuł w szczęce. Zdumiało ją takie okazywanie emocji. Zupełnie jakby miał osobisty interes w pochwyceniu winowajcy. Na to przypuszczenie dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

Patrzył na nią, orientowała się jednak, że umysł jego pracuje, rozważając możliwości. Zaczęła dalej wyjaśniać:

- Nie chciałam podnosić wrzawy. Wyobraziłam sobie, że ta szalona osoba pragnęła właśnie, abym poszła wyplakać się dyrektorowi.

- Wobec tego nadstawiałaś karku.
- Nie bardziej niż ty albo ktokolwiek inny - odparowała. - Wszyscy wiemy, że misja nieodłącznie wiąże się z niebezpieczeństwem.

Ledwie odrobinę odprężył ramiona, dalej jednak marszczył brwi.

- Wciąż mi się to nie podoba.
- Dlaczego? Sądzisz, że możesz mi pomóc za to, co stało się z moim ojcem?

Nie odpowiedział, a jej natychmiast zrobiło się przykro. W oczach Rossa błysnęła ból, zostawiając złote pasemka na ciemnobrązowej głębi.

- Przepraszam. Nie zamierzałam na ciebie naskoczyć. Wstał i przesiadł się na drugi koniec sofy, blisko jej fotela.

- W porządku. Jesteś zmęczona. Oboje jesteśmy nieco wyprowadzeni z równowagi. - Postarał się odrobinę polepszyć nastrój. - Niezbyt wielu ludziom jest dane zobaczyć to, co myśmy dzisiaj oglądali, prawda?

- Prawda.

Sięgnął po jej dłoń, którą zaczął gładzić uspokajająco, jakby zamierzał ukoić zdenerwowanie Kelly. Lecz ten kontakt tylko ją zelektryzował; wciąż coś między nimi dziwnie iskrzyło. Usiłowała wyszarpnąć rękę, ale on nie zwolnił uchwytu.

- Ross - odezwała się nieco bez tchu. - Może już lepiej pójdziesz.

- Tak - odparł, jego głos pulsował teraz namiętnością. - Może powinienem.

- My... - Z trudem dobierała słowa. - Nie powinniśmy razem spędzać czasu... to znaczy w ten sposób.

Przysunął się bliżej, jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy, jej policzki płonęły. Opuściła wzrok, lecz wciąż widziała kuszące, zapraszające wargi. Zakotłosała się w przód, poddając się majaczącej, opiekuńczej sile. Nagle przemknęło jej przez głowę, jak to jest mieć oparcie w takim mężczyźnie. Czyż każda kobieta nie marzyła o rycerzu, by walczył w lśniącej zbroi z potworami w jej życiu, by ją kochał i ochraniał?

Wielki Boże, o czym ona myśli? Sprawy przybierały zbyt intymny obrót. Kiedy ta myśl ledwie zaczęła rodzić się w jej głowie, Ross uniósł ją w ramionach. Potem oboje stanęli na dywanie, on trzymał jej twarz w dłoniach, palce zanurzył we włosy.

- W ten sposób, o to ci chodziło? - jęknął miękko, zakrywając ustami jej wargi.

Smakował tak mocno i męsko, że od stóp do głów przeszył ją dreszcz. Kiedy rozchylił ustami jej wargi, odpowiedziała na to, kolana się pod nią ugięły, przywarła do niego mocno. Namiętność, jaka ją ogarnęła, była tak zdumiewająca, że całkowicie wytrąciła ją z równowagi, A on ją przycisnął: do mocnego torsu, do muskularnych ud, do pożądania, które można było wyczuć przez ubranie.

Pocałunek był długi i głęboki, Kelly miała wrażenie, jakby przywierala do niego, jakby całe jej życie od tego zależało, aż wreszcie uniósł twarz i pozwolił jej zaczerpnąć oddechu. Potem, mimo zawrotu głowy, usiłowała przywołać rozsądek.

- Kelly Tucker - odezwał się. miękko, słodko. - Pragnąłem to uczynić od bardzo, bardzo dawna.

- Wcale nie - zaprzeczyła ochryple. Jakimś cudem musiała obronić się przed ogarniającą ją mgiełką pożądania.

Jego dłonie ześliznęły się z jej ramion ku rękom. Roztopiony uśmiech czał się w jego ciepłych piwnych oczach, a teraz mogła bliżej przyjrzeć się małym złocistym

plamkom. Płaskie kości policzkowe i mocne, zmysłowe wargi nadawały mu podwójnego czaru, sprawiając, że poczuła wirowanie w brzuchu.

- Nie kłamię. Chciałem cię pocałować od pierwszej chwili, kiedy się poznaliśmy. Sądziłem jednak, że to mogłoby się nie spodobać Shermanowi.

Na te słowa jej własne wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

- Z pewnością nie.

- A widzisz? Miałem rację.

Odsunęła się, wspierając o regał z książkami.

- I oczywiście obowiązki naukowe okazały się ważniejsze. - Uniosta wyzywająco brwi, nie było w tym już jednak złościwości.

Westchnął i uniósł obronnie ręce.

- Obawiam się, że tak. Poza tym potrzebowałem rekomendacji na stanowisko uczelnianego asystenta, jeżeli już miałem zostać na uczelni. Musiałem być po-słuszny.

- Uhu. - Nie była pewna, czy mu uwierzyła, lecz nie powinna go za to oskarżać.

Wciąż jednak kpiała:

- Cóż, mogłeś przecież przebierać wśród tylu innych ładnych dziewcząt.

Uniósł dłoń, by dotknąć jej policzka.

- Ładne dziewczęta, owszem. Ale nie wyjątkowe. Córka Shermana Tuckera była wyjątkowa. I wciąż jest.

Serce zatrzepotało jej w piersiach, pod wpływem czulej pieśczo-ty Rossa niemal zamknęła oczy. A jednak, kiedy oparła dłonie o jego pierś, delikatnie go odsunęła. Zdawała sobie sprawę, że jeśli tego natychmiast nie zrobi, może już być za późno. Namiętność iskrzyła między nimi, a ona musiała mieć czas na zastanowienie. I na odpoczynek.

- Lepiej już idź - poprosiła. - Znadto padam z nóg, by prowadzić dalszą rozmowę. Nie byłabym w stanie zebrać myśli, żeby dostatecznie jasno opowiedzieć ci, co się zdarzyło. Z pewnością tego wieczoru już nic więcej się nie zdarzy. Okazał zrozumienie.

- Zgoda, przypuszczalnie masz rację. Może po dobrze przespanej nocy. - Rozejrzał się z powątpiewaniem po apartamencie i zmarszczył czoło. - Nie jesteś tutaj najbezpieczniejsza.

- Blok ma całodobową ochronę.

Dostrzegła w jego zadumany-ym spojrzeniu, że wcale nie jest o tym przekonany.

- Mogę przespać się na kanapie - zaproponował.

- To nie jest konieczne.

Nie mogła mu się przyznać, że nie ufała sobie, gdyby został u niej na noc.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- Mam wrażenie, że potrzebuję trochę побыć sama. Podała mu kuchenny notes, by mógł zapisać swój numer" telefonu. Potem odprowadziła go do drzwi i patrzyła, jak schodzi w dół po schodach.

Wilgotne powietrze rozaczało zapach morskich wodorostów, naniesionych na pobliski brzeg. Niesamowite światło, rzucone przez zachodzące słońce, barwiło smugami niebo. Ujemne jony ożywiły jej ducha, sprawiając, że poczuła, jakby jej ciało traciło ciężar. Zrozumiała, że każdy jej nerw kończy się w ciele Rossa, jakby pocałunek połączył ich dusze. Nagle zastanowiła się, czy tej nocy w ogóle zmruży oczy.

Scandalous

Rozdział 5

Następny dzień w Centrum poświęcono ślęczeniu nad mapami, które przedstawiały trasę przemieszczania się huraganu. Zespół meteorologów analizował raporty o stratach i porównywał je ze swoimi prognozami. Pod koniec dnia Wilson Quindry wezwał ich wszystkich do sali odpraw. Kelly zauważyła, że każdy jest spięty. Ludzie rozmawiali cichym szeptem, jeżeli w ogóle się odzywali. Unikali bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Wiedzieli, po co ich wezwano.

Ich prognozy co do huraganu Isaac okazały się niezbyt trafne. To, że Isaac omiecie kraniec Florydy, było wiadome za późno. Jak dotąd, nie nadeszły żadne meldunki o stratach w ludziach. Jednak nieszczęścia uniknięto o włos. A szkody materialne okazały się poważne.

Wilson wkraczając do sali popatrzył groźnie, a wszyscy zamilkli. Kelly usiadła koło Enrica DeMarcosa i spostrzegła, że w jego oczach nie widać było wesołości. Ponuro wpatrywał się przed siebie.

Za Wilsonem wszedł Ross i zerknął w stronę Kelly. Łatwo wyobraziła sobie ślad irytacji w jego spojrzeniu, że nie ma przy niej wolnego miejsca. Z drugiego jej boku usiadł Johann Amundsen, który założył ramiona na piersiach i rozchylił kolana, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru się stąd ruszyć.

Tak więc Ross przeszedł przez pokój, obrócił krzesło tyłem i zasiadł na nim okrakiem, wspierając ramiona na oparciu. Ciemne brwi ściągnął w skupieniu w kreskę i tak wpatrywał się w Wilsona.

Wilson omiół ich po kolei zręcznym spojrzeniem. Ale kiedy przemówił, jego głos wcale nie okazał się nieprzyjazny, raczej nabrzmiały troską.

- Nie wiem, co wczoraj zdarzyło się tutaj, ostrzegam was jednak, że takie pomyłki nie będą tolerowane. Wolałbym wiedzieć, że znam ludzi, których zatrudniłem, choć przecież nie jestem nieomylny.

Urwał na chwilę, by jego słowa dobrze zapadły im w pamięć.

- Ktokolwiek nawalił, nieumyślnie czy celowo, zostanie wykryty. Nie zamierzam zasiewać w was ziarna podejrzliwości wobec kolegów z zespołu. W tej pracy musicie polegać jedno na drugim, niekiedy od tego zależy wasze życie. Jednak chodzi tutaj i o inne istnienia. Mamy sporządzać ściśle prognozy i mamy je błyskawicznie przekazywać. Muszę prosić każdego z was, by poczuł się odpowiedzialny za naprawienie tych pomyłek. Jeżeli ktokolwiek żywi jakiegokolwiek podejrzenia, choćby najłżejsze, nalegam, żeby natychmiast mi o tym zameldował.

Nasza rozmowa będzie poufna. Nie zostanie nagrana. Po prostu proszę, byście pomogli mi w ustaleniu, co jest źle, nim stanie się jeszcze gorsze. Zrozumiano?

Ze wszystkich stron dobiegły mruknięcia, skinęli głowami na znak zgody. Nawet jeden element wadliwie funkcjonującego wyposażenia w tej operacji jest nie do pomyślenia. Dwa są już wysoce podejrzane. Czyżby Wilson rozpoczął oficjalne dochodzenie? - zastanawiała się Kelly. Może zaalarmował władze, ale poprosił, by utrzymały to w tajemnicy. Chce wypłoszyć osobę, która groziła Kelly. Cóż, sama też by sobie tego życzyła.

Zerknęła szybko w bok sali i zauważyła błyskawiczną wymianę spojrzeń między celowo obojętnym, udającym niewiniątko Rossem a Wilsonem, w którego wzroku zabłysło... coś. Dwaj mężczyźni ledwie na siebie popatrzyli i odwrócili głowy. Coś jednak sobie przekazali.

Kelly w zadumie zmrużyła oczy. Czyżby Ross mógł po cichu pomagać Wilsonowi? Istniała taka możliwość. Lecz jeśli obaj czują się odpowiedzialni za nią, dlatego że byli związani z jej ojcem, to wołałaby o tym wiedzieć. Poczła się urażona. Nie potrzebowała niańczenia. Upierała się, by traktowano ją jak każdego innego członka zespołu. Jeżeli przeprowadzano prywatne śledztwo, to ona powinna w nim uczestniczyć. Czas, aby Ross i Wilson zagrali w otwarte karty.

Wilson zdjął okulary, przetarł je o koszulę i ponownie założył. Wszyscy poruszyli się na swoich miejscach.

- Nina przygotowała w domu coś na ząb - oznajmił. - Zapraszam was, byście do nas wpadli.

Kelly w zdumieniu uniosła brwi. Obok Enrico poklepał się po brzuchu.

- Cóż, przynajmniej ostatni kryzys nie położył szlabanu na co piątkową wyżerkę. To tradycja.

- Aha, Wilson rzeczywiście mówił mi, że jego żona co piątek gotuje dla całego zespołu. Sądzisz, że wszyscy przyjdą?

Enrico zmierzył ją zdumionym spojrzeniem. - Moja droga dziewczyno, gdzie jest żarcie, tam jest głodny człowiek.

Nie mogła opanować śmiechu.

- Ludzie chyba martwią się, iż Wilson jest wściekły, prawda?

- Enrico przesunął wzrokiem w kierunku drzwi.

- Staruszek jest całkiem bystry, nie uważasz? Jeśli ktokolwiek z nas się nie pojawi, wyda się podejrzany, co?

- Chyba że - odezwała się Kelly - sabotażysta ma nadzieję, iż tak pomyślimy i dlatego właśnie przyjdzie.

Usiłowała dopasować się do jego rozluźnionego tonu, lecz ku swojemu zdumieniu zorientowała się, że cała wesołość znikła z oczu Enrica. Czyżby poru-

szyła w nim jakąś strunę? Zerknęła w tył i zobaczyła, jak ponad jej ramieniem pochyła się Ross. Jego wzrok iskrzył, ona zaś poczuła, że ogarnia ją irytacja. Enrico popatrzył na jedno i na drugie, odchrząknął i zebrał się do wyjścia.

- Do zobaczenia wam - powiedział, unosząc dłoń na pożegnanie.

Kelly na tyle się wyspała, by sprawnie funkcjonować, jednak nie dostatecznie, by spokojnie przejść do porządku dziennego nad wszystkim tym, co ją nurtowało. A jedną z tych rzeczy był Ross. Zbyt szybko wkraczał w jej życie. Jak gdyby tam należał. I jak gdyby miał do tego prawo.

Hm, i doskonale zdając sobie sprawę, że jej ojciec takiego prawa mu nie dał. Zaczęła ją drażnić ta dominująca postawa Rossa. Musiała przywołać całą wiedzę, jaką dysponowała, by być pewną, że dobrze wykonuje swoją robotę. I w razie następnych kłopotów zachować czujność.

Dom Wilsona Quindry'ego położony był na zachodnim wybrzeżu Davis Islands, na małym cyplu, wchodzącym w Zatokę Hillsborough. Pomost z sekwoi prowadził na przystań, w której cumowały czterdziestostopowe jachty morskie i motorówki.

Kelly i Annie przechyliły się przez barierkę, podziwiając łodzie. Wielu właścicieli usuwało gałęzie i sprawdzało, jakie szkody poczyniła ulewa. Granatowe wody zatoki wciąż były wzburzone, po wczorajszym huraganie, a muł i wodorosty wyrzucone na powierzchnię nie opadły jeszcze na dno morza.

- Popłyniemy kiedyś łódką? - spytała Annie, wyglądając przez dolną barierkę na ruch na wybrzeżu poniżej.

Kelly pogładziła siostrzenicę po gładkich jasnych włosach.

- Mam nadzieję. Może zabierze nas ktoś z przyjaciół. Annie pytająco podniosła orzechowe oczy.

- A czy ci ludzie to nasi przyjaciele?

Pytanie to przeszło Kelly niczym mroczne ostrzeżenie. Impuls, by chronić Annie, był tak silny, jakby sama ją urodziła. Może tak bardzo je zbliżył wspólny instynkt przeżycia, tworząc ochronną tarczę przed światem, w którym zdarzały się wypadki i ludzie nagle tracili życie. Musiała zapewnić Annie bezpieczeństwo. A przecież nie chciała zasiewać w dziecku większego strachu. Po prostu pragnęła, by zachowywała się rozważnie.

- Ci ludzie nie są nieznajomymi, Annie - stwierdziła ostrożnie - lecz jeszcze nie znamy ich wszystkich zbyt dobrze. Wciąż musisz zachowywać się tak przezornie, jak cię uczyłam. Pamiętasz?

Annie poważnie skinęła głową.

- Tak. Mam nigdzie z nikim nie chodzić bez twojej wiedzy. Mam nie rozmawiać z nieznajomymi. Jeśli potrzebuję do ciebie zadzwonić, mam poprosić panią Watson albo nauczycielkę. Numer telefonu mam trzymać w pudełku z

drugim śniadaniem.

Kelly uśmiechnęła się.

- W porządku. - Zastanowiła się chwilę. - Poznałaś już pana Wilsona Quindry'ego, prawda? To jego dom.

Annie pokiwała głową.

- Panu Wilsonowi możesz ufać. To bardzo dobry przyjaciel naszej rodziny. Jeżeli kiedykolwiek zechcesz się ze mną skontaktować i nie zastaniesz mnie w biurze, zwróć się do Wilsona. Zapamiętasz?

- Zapamiętam.

- Świetnie.

Pojawiła się większość ekipy meteorologów i rozmowa toczyła się w przestronnej kuchni po lewej stronie jadalni za ich plecami. Nina Quindry podała mięso na zimno, świeże bułki, sosy i frytki, a teraz głodni mężczyźni je pochłaniali. Mimo kłopotów, nastrój podniósł się nieco i rozmowa toczyła się wartko.

Kelly pozostała na pomoście, unikając tłoku przy stole. Ross nie pojawił się jeszcze, choć wcześniej obiecywał podjechać po nią i po Annie. Kelly potrzebowała jednak własnego samochodu, żeby odjechać, kiedy już trzeba będzie położyć siostrzenicę do łóżka.

W tej chwili na pomoście pojawił się Wilson i podszedł do nich. Trzymał w dłoni butelkę piwa bezalkoholowego.

- A, tutaj jesteście. Dobrze się bawisz, Annie? -

Usiadł na leżaku, by rozmawiając móc patrzeć dziewczynce w oczy.

- Tak - zapewniła Annie. - Ciocia Kelly mówi, że jest pan przyjacielem naszej rodziny.

- Jasne, że tak - zgodził się Wilson. Uśmiechnął się do dziecka. - Oczywiście, jestem. Bardzo dobrze znałem twojego dziadka, a także twoją mamę.

Annie oparła się o jego kolano.

- W porządku, w takim razie mogę z panem rozmawiać.

Wilson uniósł pytająco brwi w stronę Kelly. Uśmiechnęła się, widziała, że pojął, o co chodzi. Delikatnie pogłaskał Annie wielką dłonią.

- Możesz liczyć na mnie jak na przyjaciela, gdybyś takiego kiedyś potrzebowała, Annie. Twoja ciocia Kelly należy do grona moich najlepszych pracowników.

- To dobrze - ucieszyła się Annie. - I dlatego tutaj jesteśmy, prawda? Bo powiedział pan, że ciocia Kelly może tutaj pracować.

Annie kręciła się na boki, recytując to, co pojęła.

- Ona czasem leci samolotem i pomaga przewidywać pogodę.

Wilson parsknął śmiechem.

- Zgadza się.

Umilkł, a Kelly wydało się, iż odczytała w jego twarzy, że pragnie zmienić temat rozmowy. Jeżeli Annie wie, że jej dziadek zginął w czasie tornada, nie należy podsuwać małej myśli, iż Kelly może znaleźć się w podobnym niebezpieczeństwie.

- Powiedz, czy kiedy już coś zjesz, zechciałabyś obejrzeć mój bilard? Chcę cię nauczyć, jak w to się gra.

Annie uniosła głowę, wpatrując się bacznie w jego okrągłą, przyjacielską twarz.

- Nie wiem. Czy to coś jak bierki?

- Hm, nie. Ale jeśli Kelly się zgodzi, pokażę ci po jedzeniu.

Nina, żona Wilsona, rozsunęła przeszklone drzwi i wyszła na pomost. Była atrakcyjną kobietą parę lat po czterdziestce, miała zielone, jedwabne spodnie i rustykalną bluzkę, które pasowały do jej figury. Średniej długości złotosiwe włosy upięta w kok, obwiązawszy go mieniącą się, zieloną wstążką, i opuściła nisko na szyję. Skromna złota biżuteria podkreślała jej opalony dekolt, nadgarstki i uszy.

- Annie, kochanie, czy przygotować ci kanapkę? Annie spojrzała na Kelly.

- Jestem już głodna.

- Idź wobec tego z Niną - zgodziła się Kelly. - Poczekam tutaj jeszcze chwilę.

- Czekasz na kogoś? - zaciekała się Annie. Kelly poczuła, jak czerwieni się z zakłopotania.

Wcale nie czekała na Rossa, po prostu nie rozumiała, dlaczego się jeszcze nie zjawił.

- Nie. Ale podoba mi się ten widok.

Czuła niemal zadowolenie, że Rossa do tej pory nie ma. Jednym z powodów, dla których przyszła, była chęć bliższego przyjrzenia się członkom ekipy meteorologów-badaczy, z którymi pracowała. Musi istnieć jakiś powód, dla którego jeden z nich jej nie lubił. Naukowcy ci mają wymieniać między sobą informacje, a zbyt dobrze wiedziała, jak konkurencyjna jest nauka - rozgłos, lukratywne posady, stypendia badawcze zależały od indywidualnych osiągnięć.

Tutaj jednak wszyscy musieli pracować zespołowo, aby Centrum Huraganów mogło wypełniać swoje zadania. Za pomyłki drogo się płaciło.

Chwilę później na długim doku, biegnącym wzdłuż wybrzeża, łączącego mola aż po horyzont, pojawił się Max Omari. Z nabrzeża ku domom, podobnie jak ten zbudowanym na niewielkim wzniesieniu, prowadziły zwietrzałe schodki.

Pochylone palmy i powykręcane wierzby płaczące porastały brzeg. Wyżej na zboczu sosny i dęby ocieniały domostwa. Zdawało się, że mieszka tu stara, lecz wpływowa społeczność. Kelly wiedziała, że Wilson i Nina kupili swój dom mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy Wilson otrzymał posadę wykładowcy na Uniwersytecie Tampa.

Omari skręcił już ku schodkom, wiodącym do domu. Wilson wskazał ręką i powiedział:

- Tam cumuje jacht Maxa, „Angelina”. Możesz stąd zobaczyć to imię.

Kelly zmrużywszy oczy, popatrzyła w tamtym kierunku i ujrzała chyba czterdziestostopowy motorowy jacht z granatowym kadłubem i o tekowym pokładzie. Na rufie była duża kabina z otwartymi, wielkimi bulajami. Przed nią sterówka. Wzdłuż kadłuba koło rufy białymi literami wymalowano imię „Angelina”.

- Byłeś kiedyś na nim? - spytała Wilsona.

- Uhm. Parę razy. Omari nie jest zbyt gościnny.

- Nie wiedziałam, że jesteście sąsiadami.

- Max mieszka w bungalowu tam w górze. Zza drzew ledwie go widać.

Rzeczywiście, dom był całkiem odizolowany. Na moło prowadziła z niego ścieżka, jednak Kelly nie widziała śladu barierki, wskazującej jakiegokolwiek schody.

Kiedy Omari pojawił się na szczycie schodów, Wilson ruszył, by go powitać. Kelly wiedziała, że Omari pracował z jej tatą na Uniwersytecie Oklahoma. Postanowiła odnowić starą znajomość.

Tok jej myśli zakłóciło powitanie ze strony sekretarki i asystentki Wilsona, Jean Bradshaw. Kiedy Jean ujrzała, że jej szef rozmawia z Omarim, a Kelly została sama, podeszła, by jej dotrzymać towarzystwa. Szeroki uśmiech pojawił się na piegowatej, owalnej twarzy. Jean była kilkanaście cali niższa od Kelly, nosiła długie do ramion, kręcone, jasnobrązowe włosy. W Centrum Huraganów Jean zachowywała się przyjacielsko i kompetentnie, piegowaty nos trzymała niemal zagrzebany w papierach albo w komputerowej robocie. Teraz uśmiechała się serdecznie, jej piwne oczy lśniły.

- Dzięki Bogu już piątek, co? - zagadnęła.

- Tak, to był ciężki tydzień.

Jean wsparła się o barierkę. Jej pełną figurę podkreślała obcista bluzeczka w biało-czerwone pasy o krótkich rękawach i czerwone, dzinsowe szorty. Z pewnością nie miała najmniejszych obiekcji przed odkrywaniem swoich kobiecych wdzięków temu, składającemu się głównie z mężczyzn gronu. Kelly poczuła przyływ ciekawości, na którego z nich Jean zagięta parol. Przekonywała siebie, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby Jean ubiegała się o względy Rossa. Czyżby ona sama nie postanowiła utrzymywać Rossa na większy dystans?

Usiłowała zdusić te nieprzychylnie myśli, wdając się z Jean w pogawędkę. Nie mogła nie lubić tej dziewczyny. Jean wymogła na Kelly przyrzeczenie, że ta do niej zadzwoni, jeśli będzie potrzebowała po wprowadzeniu się pomocy w rozpakowywaniu rzeczy. Hm, może teraz jej pomoże, choć w inny sposób. Jeżeli ktokolwiek zna jakieś pikantne szczegóły o ludziach zatrudnianych przez Wilsona,

to tylko jego sekretarka.

- Jak długo pracujesz dla Wilsona? - spytała Kelly.

- Niech się zastanowię. Już jakieś trzy lata. Zaczęłam, kiedy jeszcze studiowałam na uniwersytecie. To miejsce okazało się fascynujące, więc zostałam.

- A z czego robiłaś specjalizację?

- Z angielskiego. - Jean zmarszczyła nos. - Co ja wiem na temat nauk ścisłych?

Ale od Wilsona i od innych sporo się nauczyłam.

Kelly obróciła się i oparła, łokciami o barierkę. Była na tyle wysoka, że z łatwością mogła to uczynić. Jej długie ciało stało na pomoście. Z pewnym rozbawieniem porównała swój wygląd z wyglądem Jean. Ona nałożyła zbyt obszerne białe spodnie, a białe tenisówki wyraźnie kontrastowały z seksownymi czerwonymi sandałkami na bosych stopach Jean. Jednak Kelly celowo ubrała się skromnie. Nie życzyła sobie, by omiatały ją pożądliwe spojrzenia mężczyzn, odprężonych po pracy, z których ten i ów raczył się jednym lub dwoma piwkami.

- Nie miałaś ambicji, by zrobić dyplom?

Jean ponownie zmarszczyła nos i pokręciła przecząco głową. Potem popatrzyła na Kelly konspiracyjnie i odezwała się gardłowym tonem:

- Moje ambicje idą w innym kierunku, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. - Jej szelmowski uśmiech nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: Kelly odwzajemniła uśmiech.

- To na którego z naszych facetów masz oko? Opalona twarz Jean odrobinę poróżwiała.

- Na Neila. Byliśmy na kilku randkach. Ma przed sobą przyszłość. Jako operator od radarów zawsze znajdzie robotę.

- Ach. A on, czy zdaje sobie sprawę, jakie masz wobec niego plany?

Jean parsknęła i odwróciła się, również opierając ramię o sekwojową barierkę;

- Och, przekonamy się. Skoro ja zdecydowałam, że to ma być on, nie będzie trudno zmusić go, by mi się oświadczył.

- A nie niepokoi cię, że wykonuje tak niebezpieczną pracę?

Jean wzdrygnęła się.

- Cóż, denerwuję się, kiedy jest w powietrzu. Chyba jednak w jakiś sposób do tego przywykłam, pomagając Wilsonowi, kiedy oni tropią huragan. Jakbym czuła, że i ja w tym uczestniczę. Wiesz, wszyscy tworzymy zespół i to wszystko.

- Hm. Tak, wiem. Mam wrażenie, że wasza grupa jest bardzo ze sobą zgrana.

- Większość z nas.

- To znaczy? Są i tacy, którzy są trudni we współpracy? Zachowują się z rezerwą?

Jean nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Och, sama nie wiem. Takie mam zdanie i tyle. Jednak powinnam pozwolić ci, żebyś wyrobiła sobie własne zdanie, prawda?

- Może.

Jean zerknęła na Kelly.

- Zauważyłam wczoraj, jak Ross King poszedł za tobą na parking. Czy między wami, rozumiesz, coś się kręci? - Puściła oko.

Kelly poczuła, że się rumieni i zmusiła się, by odpowiedzieć spokojnie:

- Nie. My po prostu od dawna się znamy. Był studentem mojego ojca.

- Och, tak, wiem o tym wszystko.

- Wiesz?

- Neil mi opowiedział. Ross i Neil przedtem latali razem. Nie wiedziałaś? W Zatoce.

- Nie wiedziałam. Oczywiście, wiadomo mi było, że Ross był pilotem, nim podjął studia meteorologiczne. Jednak nie słyszałam nic o Neilu.

- Neil był tam nawigatorem. Tak dokładnie to nie wiem, co tam robili. To tajemnica. Neil mi nie zdradzi.

- Tajemnica? Sądziłam, że Ross latał na myśliwcach.

- Och, w tym było coś więcej. Cokolwiek to było, jest utajnione. - Przybrała konspiracyjną minę. - Najwyższa klauzula tajności.

Rozdział 6

Odważny pilot myśliwca we własnej osobie wkroczył do jadalni tuż po tym, jak Kelly i Jean nałożyły sobie na talerze stos sandwichów. Koledzy głośno powitali Rossa, on pozdrowił ich kiwnięciem ręki. Potem wsunął się za stół obok Kelly.

- Hm, wyglądają smacznie. Mam nadzieję, że kilka mi zostawisz.
- Każdy dba o siebie - odpaliła.

Poczuła delikatne drzenie, kiedy jego oddech owionął jej kark. Włosy miał wciąż wilgotne, pachniał świeżo i czysto. Wytrącał ją z równowagi, zwłaszcza kiedy chciała jeść. Musiała się odsunąć i usiąść, by przestało ją łaskotać w brzuchu.

- Wygląda mi na to, że to raczej każda dba o siebie - droczył się Ross.

Przez chwilę wydawało się jej, że musiał zauważyć kuszący wygląd Jean, kiedy jednak na niego zerknęła, oczy miał utkwione w jej pełnym talerzu. Kiwnął Jean głową na powitanie i całą uwagę skupił na Kelly. Wbrew sobie poczuła przenikającą ją satysfakcję.

Ross nachylił się bliżej, ramieniem objął ją w pasie.

- Idź, znajdź jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli usiąść. Dołączę do ciebie, jak tylko nałożę sobie na talerz.

Kelly rozejrzała się i sprawdziła, że Annie wraz z dwójką innych dzieci siedzi przy małym kuchennym stoliku po przeciwnej stronie wysokiego po pas baru, który oddzielał kuchnię od jadalni. Otworzono całe piętro domu, łagodne zakręty prowadziły od jednego przytulnego zakątka do drugiego. Za nimi jeden stopień wiódł do wystanego dywanem salonu z oknami od podłogi po sufit, wychodzącymi na pomost z widokiem na zatoczkę.

Kelly podążyła za Jean do salonu, jednak biorąc Rossa za słowo, skierowała się ku wyscietanej niszy okiennej w przeciwległym końcu pokoju. Odsunięte dębowe okiennice odsłaniały szyby wychodzące na gęstwinę zarośli i drzew z boku posiadłości Wilsona. Wraz z zapadnięciem zmroku Nina zapaliła latarnie na pomoście, by rozświetlić podwórze, ale większość gości znalazła sobie miejsca w salonie, na podłodze albo na kanapach i fotelach.

Jean wcisnęła się między Neila a Johanna Amundsena. Śmiała się i żartowała z oboma, przekręciła się odrobinę tak, że kiedy się nachylała, jej piersi muskały ramię Neila. Sądząc z zadowolonej, lekko spłonionej miny operatora radarowego, absolutnie nie miał, nic przeciwko temu.

Ross przepchnął się między tłumem gości i usiadł obok Kelly. Było dosyć

miejsca dla obojga, mogli więc zwrócić się do siebie twarzami i odłożyć napitki na parapet za plecami.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwał się Ross. - Mam nadzieję, że dobrze się bawisz.

- Świetnie.

Pragnęła spytać go, co robił, ale się powstrzymała. Tak wiele spraw było jeszcze między nimi zagmatwanych, że nie miała prawa wypytywać go o jego czas. Ani o żadną z tajemnic. Jednak to, o czym dowiedziała się od Jean, zdumiało ją. Może gdyby byli sami, mogłaby go spytać. Musiała pamiętać o celu, z jakim tu dzisiaj przyszła aby zebrać jak najwięcej informacji o każdym z tutaj zgromadzonych, które mogłyby pomóc jej w lepszym zrozumieniu ich indywidualnych motywów.

- Właśnie rozmawiałam z Jean - powiedziała obojętnym tonem, pałaszując kanapkę z pieczoną wołowiną, by zaspokoić pierwszy głód.

- Plotkowałyście, bez wątpienia.

- Mniej więcej.

Spojrzał na nią poważniej, w dłoni miał własną kanapkę, gotów Ugryźć potężny kęs.

- Uważaj bardziej, z kim się zaprzyjaźniasz - ostrzegł. - Zwłaszcza teraz.

Potem wgrzył się w ogromnego sandwicza.

Milczała, lecz doskonale rozumiała, o co mu chodzi. Po zaspokojeniu pierwszego głodu, już wolniej kończyła posiłek. Jak mogłaby się z kimkolwiek zaprzyjaźnić, skoro nie wiedziała, komu ufać? I dlaczego Ross za wszelką cenę postanowił odgrywać rolę jej protektora?

Skończyli sandwicze i wrócili do stołu po deser. Nina wniosła apetycznie wyglądający placek wiśniowy. I może takim by był, gdyby Kelly nie miała ściśniętego żołądka. Jednak odkroiła kawałek, by zanieść siedzącej przy kuchennym stole Annie.

Tam Nina przedstawiła jej syna Johanna Amundsena i córeczkę sąsiadów, uroczą pięciolatkę z jasnozłocistymi włosami zaplecionymi w mysie ogonki z tyłu główki. Kelly zabolęło serce, gdy spostrzegła, na jak spokojną i dojrzałą wygląda Annie między młodszą dziewczynką i rozdokazywanym, roześmianym chłopczykiem, który miał całą buzię umorusaną jedzeniem. Córeczka sąsiadów zanosila się piskliwym śmiechem z jego błazeństw, podczas gdy Annie jadła kolację jak dama, a oczy miała szeroko rozwarte jakby ze zdumienia.

Ile życia traci moja mała dziewczuszka, pomyślała Kelly, czując ukłucie współczucia.

Fala żalu i złości wzbierała grożąc, że Kelly się załamie. Życie czasami bywa takie niesprawiedliwe. Niewiele pomoże to, że ktoś ogląda się za siebie i powtarza, ach,

gdyby tylko...

Na przykład dzień, w którym zginął jej ojciec. Gdyby tylko tam była, odciągnęłaby go siłą z tamtej drogi. Dlaczego nie zrobił tego Ross? W jej sercu kłębiło się od mieszanych uczuć. Jeśli się widzi, jak nachyla się i rozmawia z dziećmi, można by pomyśleć, że to ktoś doskonały. Ukryty żal, jaki niekiedy dostrzegała w jego oczach, powinien jej wytłumaczyć, że wiele się nauczył, że drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Może tak było. Może tak żarliwie ochraniał Kelly, ponieważ pokpił sprawę ze swoim mistrzem. A może po prostu to ona zastępowała mu osobę, którą podziwiał i utracił? Czy nakładał na siebie pokutę, by tym razem sprawdzić się i schwytać sabotażystę?

- Jak się tutaj wszyscy bawicie? - dobiegł ich jowialny głos Wilsona, przerywając Kelly badanie własnych odczuć.

- Jeżeli wnioskować po ich talerzach, powiedziałabym, że mają pełne brzuchy.

- Hm, znakomicie. - Wilson pochylił się nad stołem. - A teraz, które z was chce nauczyć się gry w bilard?

- Ja, ja! - krzyknął chłopiec i ześliznął się z krzesła.

- Dziewczęta, chodźcie, też zagrajcie - kusił Wilson.

- Dziewczyny nie grają w bilard - wyszydził je chłopczyk.

- Co takiego? - zdumiał się Wilson. - Będą, jeśli się nauczą.

Wyprostował się i uśmiechnął do Kelly.

- Chcesz obejrzeć naszą salę do gry?

- Jasne - odwzajemniła uśmiech. - Chodź, Annie. Zajrzymy na dół.

Ross podążył za nimi po schodach do chłodnej sutereny. Lampy o zielonych kloszach oświetlały z sufitu solidny stół bilardowy, ustawiony w jednym krańcu obitego ciemną boazerią pomieszczenia. Wilson ustawił dla dzieciaków stołki wokół stołu, sam zaś wziął długi, smukły kij i rozpoczął pokaz. Kelly już miała ich tam zostawić sądząc, że Ross także zechce przyłączyć się do gry. On jednak ruszył za nią w górę.

- Przejdźmy się - zaproponował ujmując ją za rękę.

Skierowali się w stronę pomostu, oświetlonego teraz jedynie lampionami, gdyż wieczór zaczął ustępować parnej letniej nocy. Na niebie kłębiło się tyle chmur, że przesłoniły księżyc w trzech kwadrach.

Zeszli z pomostu i zaczęli iść po schodkach do portu. Nie było stromo, a małe latarnie zawieszane na niskich słupkach rzucały miękkie żółte plamy światła na każdy stopień. Ross wciąż mocno trzymał dłoń Kelly swoją silną, ciepłą ręką. Kelly była zadowolona i kiedy weszli w ciemność nabrzeża, poczuła delikatne falowanie wody.

- Uważaj.

Hm, dokładnie to staram się robić, pomyślała. Tutaj było mniej latarni, a księżyc nie świecił dostatecznie jasno, by ich prowadzić. Na paru łodziach paliły się światła, wszystkie jachty łagodnie uderzały o gumowe obijaki falochronów, kołysząc się na niewielkich falach przyptywu.

- Czy idziemy gdzieś konkretnie? - spytała Kelly. Od chwili, w której poczuła dotyk jego dłoni, miała napięte nerwy.

- Może - odparł, prowadząc ją w stronę „Angeliny”, jachtu Maxa Omariego. Jego też była ciekawa. Kiedy podeszli trochę bliżej, zerknęła za siebie. Nie było żadnego powodu, dla którego nie mieliby podziwiać łodzi, choć odnosiła wrażenie, jakby przyszli tu węszyć. Prawdę mówiąc, sama właśnie to robiła. Usiłowała dowiedzieć się wszystkiego o prywatnym życiu swoich kolegów.

- Zgrabna łajba - zauważył Ross, kiedy stanęli przy długim, ostrym dziobie. Ciemne bulaje kabiny przy rufie wydawały się niemal złowróżbne.

Niewiele wiedziała o jachtach, ten jednak wyglądał zarówno na drogi, jak i na świetnie utrzymany.

- Ciekawe, czy spędza tu dużo czasu?

- Ktoś musi. Spójrz, jak lśnią okucia.

Zerknęła w górę na brzeg i zlokalizowała betonowe schodki, wiodące do spowitego teraz ciemnością bungalowu Omariego. Właściciel musiał być wciąż na przyjęciu.

- Wilson powiedział mi, że on tutaj mieszka - wskazała biały stiukowy dom na wpół ukryty za drzewami. - A także, że Omari niezbyt udziela się towarzysko.

- Mhm - tak tylko brzmiała odpowiedź Rossa.

- Zastanawiam się... - zaczęła Kelly.

- Nad czym? - Miał ciepły głos, mówił tuż koło jej ucha.

- Och, po prostu zastanawiam się, czy jeszcze ktoś z zespołu mieszka w tej enklawie.

- Nie, nikt - odparł Ross cicho.

Kelly nagle zorientowała się, że Ross mówi tak cicho, gdyż głos może bardzo daleko nieść się po wodzie. Chociaż wcale nie starali się przed nikim ukryć, ona sama nagle przybrała ten sam stłumiony ton.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Była zdumiona jego pewnością. Jakim cudem mógł wiedzieć, gdzie wszyscy mieszkają? Przecież sam niedługo tutaj pracował.

Usłyszeli szmer czyichś głosów dalej wzdłuż nabrzeża i Kelly nastawiła uszu. W tym stanie napięcia, w jakim była, pierwsza rzecz, jaka jej przyszła do głowy, to ta,

że ktoś może zostać zraniony.

Ross uniósł palec do warg, mocniej uściśnął jej dłoń i poprowadził cicho dalej wzdłuż przystani.

Jęk stał się głośniejszy, towarzyszyło mu ciche sapanie. W końcu nabrzeża panowała niemal zupełna ciemność. Ross przystanął, gestem nakazał Kelly, by znieruchomiła. Kiedy ich oczy przywykły do mroku, wreszcie ujrzała to, co było do oglądania. Na rufie jachtu zacumowanego dwa falochrony dalej poruszały się dwie postacie. Kochankowie, uświadomiła sobie Kelly.

Speszona, ruszyła z powrotem. Ross stał nieruchomo, patrząc na parę kochanków, i Kelly się obejrzała. Księżyc wychynął zza chmur, rzucając srebrzystą poświatę na kształtną nogę wystającą spod brezentu, którym przykryli się kochankowie. Kelly dostrzegła stos ubrań obok wystającej gołej stopy.

Przeciągły, ostry, prawie namacalny jęk rozdarł powietrze. Kelly stłumiła nerwowy chichot. Powinni się stąd z Rossem zabierać, nim postawią w niezręcznej sytuacji i siebie, i tamtą parę. Wreszcie odwrócił się i ruszył za nią z powrotem. Lecz ona wiedziała, kto krył się pod brezentem, nawet jeśli mogła się tylko domyślać, z kim była owa osóbka. Na pokładzie dostrzegła bowiem elegancki czerwony sandałek. Jean Bradshaw upolowała swojego mężczyznę.

Ujęła Rossa za rękę i pociągnęła go. Zrównał się z nią tak szybko, że niemal podciął jej nogi. Teraz oboje dygotali w bezgłośnym śmiechu, szturchając się jak dzieciaki i uciekając co tchu z tego miejsca. Kiedy dotarli do schodków Wilsona, Ross nie poprowadził jej na górę, ale ponownie położył palec na ustach i skierował w drugą stronę nabrzeża. Kroczyła obok niego, czując się niczym trzpiotowata nastolatka.

Ross wreszcie zatrzymał się przy końcu nabrzeża. Gdy odbijające się w wodzie światło księżyca zamigotało w ich stronę, dostrzegła iskierkę intymności w ciemnych oczach.

- Co my tutaj robimy? - spytała, a serce zaczęło jej mocniej bić.
- Wydaje się, że to noc kochanków - szepnęła.

Poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Kiedy przygarnął ją do siebie i przycisnął uda do jej ud, wiedziała już, jak bardzo gorąco jej pragnie. Zagarnął jej usta, rozchylił swoje wargi, penetrował ją głodnym językiem. Odpowiedziała mu namiętnie, rozgrzana jeszcze przez balsamiczną noc, przez jego potężną męskość. Rozbudziło to w niej uczucia, które głęboko zagrzebała, zmagając się z przeciwnościami życia.

Wydawało się, że Ross wszystko to zmiótł w niepamięć. Objął ją mocno, jej ramiona żarliwie odwzajemniły uścisk. Całowali się i obejmowali, aż pragnienie, by znaleźć się bliżej siebie, czuć swoją bliskość, okazało się nie do przezwyciężenia. Ross wyciągnął jej bluzkę ze spodni i przesunął dłonią po rozpalonej skórze. Potem

z jękiem otoczył ją wpół i delikatnie zaczął uciskać pierś. Kelly wyrwało się głośne westchnienie, mimo to rozpaczliwie usiłowała się opanować.

- Nie możemy tego zrobić - szepnęła.
- Uhm - zabrzmiała jego odpowiedź.

Jednak oderwał wargi od jej płonącej skóry. Muskał głową jej szyję i kotłowali się razem na przystani, póki nie odzyskał nad sobą kontroli.

- Nie - odezwał się wreszcie głosem ochryplym z pożądania. - Nie możemy zrobić tego teraz. Nie tutaj.

Gdzie? - rozpaczliwie zawołała w myślach. Odczekała jednak, aż jej bijący szaleńczo puls zwolni tempo. Poprawiła ubranie i palcami przeczesła włosy. Annie nie powinna ujrzej jej w takim stanie. Nawet jeśli zdradzieckie ciało dąży wyłącznie do łóżka, a nieposłuszny umysł chce, by się tam znalazła.

Ross nachylił się i delikatnie musnął jej wargi, potem objął ją w pasie, jak gdyby chciał ich oboje ukoić, i w ten sposób wrócili do domu Wilsona.

Opanuj się, Ross usiłował nakazać roznamiętnionemu ciału. Przed chwilą prawie stracił głowę. Zdawał sobie sprawę, że Kelly żywi wobec niego mieszane uczucia. Wciąż między nimi stała śmierć jej ojca. I może zostanie tak na zawsze. Nadmierny pośpiech z pewnością nie mógłby pomóc.

Usiłował skupić myśli na swoim prawdziwym zadaniu. Na ironię, bezpieczeństwo Kelly w jakiś sposób stało się też jego sprawą. Jeżeli jakimś socjopacie wydaje się, że Kelly - lub Annie, jeżeli o to chodzi - może spaść choćby włos z głowy, to grubo się myli.

Kiedy wspinali się po schodkach na pomost, nawet nie usiłował skryć tego, co wydawało się oczywiste po ich powrocie. Nie miał nic przeciwko temu, by ludzie pomyśleli, że wymknęli się z Kelly, by zaznać odrobiny intymności. Prawdę powiedziawszy, był to doskonały kamuflaż dla tego, co rzeczywiście miał do zrobienia.

Odnaleźć osobę, która ingeruje w prognozy Centrum Huraganów, dopuszcza do strat, których można by było uniknąć, szkodzi gospodarce stanu poprzez zniszczenia w uprawie zbóż spowodowane pogodą. Ross został wynajęty przez Biuro Zarządu Własnością Ziemską, by wytropił sabotażystę. A teraz Kelly znalazła się w centrum zagrożenia, co nie pozwala mu na cierpliwe śledztwo. Jeżeli ktoś usiłuje ją zdyskredytować, musi mieć po temu istotne powody.

Ross chciałby wierzyć, że Kelly się nie myli, że to tylko zawodowa zawiść. Lecz jest to wysoce nieprawdopodobne, ponieważ akty sabotażu zaczęły się już przed jej przyjazdem. Nie, jakimś cudem to ona stwarzała teraz zagrożenie dla manipulantą.

Kelly nie zdawała sobie sprawy z prowadzonego przez niego potajemnego

dochodzenia, on zaś nie miał dostatecznych powodów, by to przed nią odkryć. Jego misja śledcza była ściśle tajna. Nie chciał też straszyć dziewczyny, sugerując, że być może znalazła się w samym środku czegoś poważniejszego, niż zakładała. Jeżeli zagrażało jej niebezpieczeństwo, lepiej będzie odesłać ją do domu. To jedyny sposób uchronienia dziewczyny. Odesłać ją, aż zostanie wykryte źródło błędów, a jego misja dobiegnie końca.

Kiedy jednak patrzył na zdecydowany podbródek Kelly, lekko uniesioną głowę i wyprostowane plecy, gdy szła pomostem ku przesuwanym, przeszklonym drzwiom, wiedział, że stąd nie wyjedzie. Poczuł nieznany sobie przyptyw wzruszenia pod wpływem świadomości, że gdyby to zrobiła, tęskniłby za nią.

W jadalni wziął piwo i otworzył kapsel. Usiłował odsunąć w dal śmierć Shermana Tuckera, usiłował pogodzić się z faktem, iż jest częściowo za to odpowiedzialny, nie zapominając przy tym, że Sherman zawsze robił to, co chciał. Ross starał się iść naprzód i to mu się udawało. Dopóki nie ujrzał córki Shermana Tuckera. Nie dostrzegł jej oskarżycielskiego wzroku. Pragnął wziąć ją w ramiona i scałować to oskarżenie. A teraz ją całował i wiedział, że to wcale nie wystarczy. Spłoniona twarz dziewczyny wyjawiała mu, że i ona czuje to samo. Kelly przeszła do kuchni, by porozmawiać z Niną. Blask jej oczu bez wątpienia zdradzał, że coś się w niej rozpałiło. Zostawił kobiety na pogawędce, a sam nachylił się nad schodami prowadzącymi do znajdującej się w suterenie sali bilardowej. Z dobiegającego szmeru męskich głosów wywnioskował, że na dole grą zajęli się panowie. Podniósł butelkę, upił łyk piwa i zaczął schodzić.

Dzieciaki musiały gdzieś pobiec, gdyż nie pobierały już lekcji gry. Zamiast nich, nad stołem pochylał się Wilson, przygotowując się do pchnięcia. Enrico nachylał się nad swoim dołkiem, a wysoki, spokojny Szwed, Johann Amundsen, trzymał przy boku uniesiony w górę kij, jak gdyby stał na baczność. Omari oparł swój kij o stół i oceniał konfigurację bil na zielonym suknie, jakby były elementem jakiegoś naukowego eksperymentu. Neila z nimi nie było, Ross mógł się jednak domyśleć powodu.

Wilson wepchnął siedem bil w lewą kieszeń stołu, wprawiając z półobrotu w ruch główną. Uderzyła w dziewięć bil i jak planował, wpadły one do prawej kieszeni. Gra zakończona.

- Świetny ruch, Wilson - powiedział Enrico.
- Dobry - oświadczył Johann.
- A może jeszcze jedną kolejkę? - zaproponował Enrico. - Dołączysz do nas, Ross?

- Jasne - zgodził się, odstawiając butelkę na stolik z boku sali.

Wspólna gra cementowała zespół. A on musiał bardzo dobrze poznać tych

mężczyzn. Aby dowiedzieć się, który z nich chce wykluczyć córkę łowcy burz z ich grona.

W sobotę rano Kelly postanowiła spędzić trochę czasu w bazie. Awaria GPS nie dawała jej spokoju. Prawda, że nic nie mogła poradzić na rozlutowany układ scalony. Jednakże, aby pozostać w wirze wydarzeń, uznała, że koniecznie musi poświęcić nieco dodatkowego czasu. Poza tym, od południa nadciągała nawałnica. Mogła więc przyrzeć się trochę analizom burz z piorunami.

Przyrzekła Annie, że później wybiorą się do centrum handlowego, jeżeli dziewczynka rano pojedzie z nią do biura.

Annie z wielką powagą założyła ręce na piersiach i przechyliła głowę na jedno ramię, rozważając propozycję ciotki. W zadumie wpatrywała się w nią dużymi, orzechowymi oczami.

- Hm - odezwała się wreszcie, z rozmysłem zaciskając wargi. - Czy pojedę tam, żeby zobaczyć, jak się robi pogodę?

Kelly uśmiechnęła się.

- Annie, dokładnie mówiąc, my nie robimy pogody. Ale obserwujemy ją, a potem informujemy prezentera w telewizji, co widzieliśmy, on zaś nadaje to, aby wszyscy mogli zobaczyć.

Uniesione brwi Annie świadczyły, że przeżuwa ten kęs informacji. Iskierka zainteresowania w jej oczach poruszyła w sercu Kelly jakąś strunę, ale także wprawiła w drżenie. Annie nigdy nie mówiła, kim chciałaby zostać, jak dorośnie, choć ogromnie lubiła zwierzęta. Jeżeli Kelly nie zachowa ostrożności, Annie może pójść śladem jej i Shermana i zostać meteorologiem. W byciu prezenterem pogody nie ma nic złego. Lecz nagła troska sprawiła, że Kelly zapragnęła dołożyć wszelkich starań, by Annie wybrała pracę za biurkiem, a nie coś tak niebezpiecznego.

- W porządku, zabiorę Misia Tora i Pieseczka - zgodziła się Annie, wymieniając dwa ze swoich ulubionych pluszowych zwierzątek. - Reszta z was zostaje w domu - powiadomiła trzódkę tłoczącą się na półce.

Kelly nałożyła dzinsy i luźną bawełnianą bluzkę, Annie ubrała w kombinezon i błękitny podkoszulek. Nie było dużego ruchu, w nocy odeszły chmury, toteż poranne słońce już nieźle prażyło. Duża wilgotność powietrza i rosnąca temperatura przypominały Kelly, że jest na Florydzie. Tutaj trudno zauważyć, kiedy wrzesień przechodzi w październik. Miesiąc . tradycyjnie uważany za jesienny był jedynie zapowiedzią nieco krótszych, dusznych dni.

Parujący żar uniósł się znad krawężników parkingu, tworząc dziwaczne miraż wielkich kałuż tam, gdzie nie istniały, a budynek wydawał się powykrzywiany niczym odbity w krzywym lustrze.

W środku panowała nieco znośniejsza temperatura. Kelly przeprowadziła Annie

przez wartownię na piętro. Po otwarciu windy ujrzały weekendową zmianę meteorologów, ślęczących nad monitorami radarów i satelitarnymi zdjęciami Ziemi. Szumiały drukarki, gdy przekształcone wykresy ukazywały dane zgromadzone przez pogodowe satelity i przesłane do bazy. Po wczorajszym zamieszaniu wszystko zdawało się toczyć normalnym trybem. Kelly szybko przeszła przez pokój do swojej sekcji, kiwając głową tym, którzy podnieśli wzrok.

Skręciła za róg i przekonała się, że nie jest jedyną z zespołu, która uznała, że sobota to dobry dzień na odrobienie zaległości. Enrico siedział przy metalowym biurku, pochylony nad plikiem papierów, a...

Stała jak wryta. Stanowisko, zza którego wstawał Johann Amundsen, należało do niej!

Odwrócił się i zamrzał na jej widok. Jednocześnie wzrok podniósł Enrico. Jego smagłą twarz rozjaśnił uśmiech, przetarł oczy, jakby im nie wierzył.

- Ach! - zawołał. - Dwie śliczne damy przybyły, by rozpromienić nasz poranek!
- Przyszłam popracować - wyjaśniła głosem, w którym, jak sobie zdawała sprawę, słychać było napięcie.

Johann stał przed jej komputerem, założył ramiona.

- Dzień dobry - powitał ją formalnie. - Skorzystałem z twojego komputera, by sprawdzić, czy można się połączyć z siecią. Mój najwyraźniej przestał działać.

Pomknęła wzrokiem ku jego stanowisku. Z całą pewnością jego komputer działał, wygaszacz ekranu, przedstawiający zorzę północną, tańczył po ekranie. Starła się opanować zdenerwowanie. Tłumaczenie brzmiało całkiem wiarygodnie.

- A pracował? - spytała Johanna. Kiwnął głową.
- Tak. Przeprogramuję go.

Opuścił jej stanowisko, szybkim wzrokiem obrzuciła całe miejsce, by sprawdzić, czy nie zostawił jakichś podejrzanych kartek. Wszystko wydawało się w porządku, a górna szuflada była wciąż zamknięta. Lżej odetchnęła.

Uśmiechnęła się do Enrica.

- Pomyślałam, że poświęcę nieco czasu na przećwiczenie procedury. Ten tydzień jasno mi pokazał, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - jego słoneczna twarz spochmurniała. - Te raporty, fatalne.

Westchnęła.

- Tak.

- Kim są te zwierzątka? - spytał Enrico, wyciągając nad biurkiem ręce ku Annie.

Pokazywała mu pluszowe zabawki, podczas gdy Kelly zajęła miejsce za komputerem.

- A może chciałybyś, żebym pokazał ci kilka wielkich zdjęć Ziemi, zrobionych z satelity? - spytał Annie z uśmiechem. - Chciałybyś?

Kelly odwróciła się akurat w chwili, w której Annie entuzjastycznie kiwnęła głową.

- Zgadzasz się, ciociu Kelly? - zwrócił się do niej Enrico.

Kelly uśmiechnęła się.

- Świetnie. Chociaż nie ruszaj się z tego piętra bez mojej wiedzy.

Enrico wstał zza biurka, zaszalutował i zaprowadził Annie za rączkę do większej sali, by pokazać jej zdjęcia rozłożone na wielkim roboczym stole.

Kelly natychmiast pochłonęła pracę. Kiedy wreszcie odchyliła się i ujrzała przyćmione światło, sączące się z gabinetu Wilsona, zdała sobie sprawę, że nawet nie zauważyła jego przyjścia. Wstała, przeciągnęła się i poszła poszukać Annie i Enrica. Siostrzenica była wciąż oczarowana wędrówką po sali z mapami, więc Kelly wycofała się i skręciła do biura Wilsona.

Kiedy zapukała we framugę drzwi, uniósł głowę znad papierów rozłożonych na biurku i gestem zaprosił ją do środka. Nie zapalił górnego światła, a pomieszczenie było pozbawione okien, gdyż zaprojektowano je w samym środku budynku. Tylko mała lampka na biurku oświetlała zapisane drobnym drukiem kartki. Wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka.

- Co się dzieje? - spytała, widząc zmęczenie na jego twarzy.

Popatrzył na nią wnikliwie przez szkła okularów, potem odchylił się na obrotowym krześle, ręce splótł na brzuchu.

- Niekiedy zastanawiam się, dlaczego wybrałem tę robotę - wyznał z westchnieniem.

- Spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność.

- I cały czas staje się coraz większa.

Kiwnęła głową, wyczuwając, że jest w nastroju do pogawędki. Jedną dłońią omiótł leżące na biurku raporty.

- Ostatnia skarga od gubernatora. Przypominająca mi, że przeciętny koszt przygotowań do huraganu w Gulf Coast wynosi pięćdziesiąt milionów, bez względu na to, czy huragan rzeczywiście uderzy. Planowanie budżetu codziennie spędza sen z oczu politykom.

Współczująco kiwnęła głową.

- Potencjalne straty wzrastają wraz ze wzrostem zaludnienia zagrożonych terenów.

- Wszyscy domagają się posiadłości nad samą plażą. A większość z tych ludzi nigdy nie przeżyła groźnego huraganu. Nie chcą się ewakuować, kiedy niebo jest jeszcze bezchmurne. Upierają się pozostać, aż naprawdę zobaczą i poczują

zagrożenie.

- Rozumiem, do czego pijesz... że wtedy byłoby już za późno. Ludność uwięziona na tych obszarach, odcięte drogi ewakuacji. - Zerknęła na jego raporty. - Tak więc, jeśli już zamierzamy siłą zmuszać ich do ewakuacji, gubernator chce mieć absolutną pewność, że uderzenie naprawdę nastąpi.

Wilson chrząknął.

- Coś w tym rodzaju. Nikomu się do huraganu nie pali. Straty finansowe, mogą być katastrofalne dla prowadzonych tutaj przedsięwzięć, właściwie należałoby je zamknąć.

Odetchnął głęboko.

- Kiedyś traktowałem tę pracę jako posłannictwo, mające ocalić ludzkie istnienia i zminimalizować straty materialne. Teraz nie jestem tego taki pewny.

Przeszyło ją bolesne poczucie winy.

- Aż tak źle?

Gwałtownie wyprostował się, wstał i ruszył, by zamknąć drzwi. Kiedy znowu usiadł, niebieskimi oczami popatrzył prosto w jej oczy.

- Kiedy mamy możliwość, by być dokładnymi w granicach akceptowalnego błędu, przyjmuję odpowiedzialność za alarm. Ale muszę mieć pewność, że dane, które dostaję, są dokładne.

Poczuła mrowienie w krzyżu.

- A nie są? Wzruszył ramionami.

- Widziałaś, co zdarzyło się na „Herculesie”. Oficerowie od pogody przekazują jeden zestaw danych. Potem, trzydzieści minut później, otrzymuję rozpaczliwą wiadomość, że huragan niespodziewanie skręcił w kierunku, o którym wcześniej nie było mi nic wiadomo. Obserwacje, jakie następnie dostaję ze stacji meteorologicznych na oceanie, wskazują na błąd w pierwotnych danych. - Ściągnął krzaczaste brwi. - Nie podoba mi się, że ktoś tam mógłby popełnić omyłkę.

Kelly wyprostowała się na krześle.

- Jeżeli uważasz, że coś z tego jest moją winą, powiedz, proszę. Natychmiast się spakuję i poszukam innej posady. Nie mogę pozwolić, by na moją obecność tutaj miała wpływ nasza przyjaźń.

Uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Chwileczkę. Nikogo nie wskazuję palcem, a zwłaszcza ciebie. Ustaliliśmy już, że GSP zawiodło z powodu rozlutowanego układu scalonego. Nie twoja wina. Ja po prostu... chyba odreagowuję. Ten nawyk wyrobiłem sobie przy twoim ojcu. Przepraszam. Nie powinienem spychać tego na twoje barki.

Rozluźniła się i nachyliła.

- Nie, Wilson. Niczym mnie nie obarczasz. Tylko... nie chciałabym cię zawieść,

to wszystko.

- I nie zawodzisz.
- Ale ktoś do tego dąży. Zmarszczył czoło.
- Tak. Pracuję nad tym. Jeżeli ktoś usiłuje cię stąd wykurzyć, odkryję to. I to jest fakt.

- Mam nadzieję, że się tego dowiemy, nim znowu coś się zdarzy.

Sięgnął ponad biurkiem i pogłaskał dłoń, którą oparła o róg blatu.

- Cóż, działamy razem, prawda? Doprowadzimy do porządku to, co się dzieje, i otrzymywane raporty będą tak dokładne, jak powinny być. Kiedy uznam, że mam doradzać gubernatorowi ewakuację, będę miał po temu solidne podstawy.

- Mam nadzieję.

Doceniała szczerłość Wilsona, lecz opuszczając gabinet wcale nie czuła się spokojniejsza. Kiedy podeszła do stanowiska pracy, ujrzała, że do niewielkiej grupki sobotnich pracowników dołączył Neil Devlin, który wpatrzony w monitor pochylał się nad komputerem Johanna. Bez wątpienia dyskutowali o przeprogramowaniu.

Usiadła przed swoim komputerem i dotknęła klawisza spacji, by zlikwidować zorzę polarną wygasza-cza i otworzyć ekran. Kiedy to uczyniła, jej oczy z przerażenia zrobiły się jak spodki.

Pogrubione, czarne litery niemal wypełniały ekran.

***FATALNY BŁĄD. WRACAJ DO
DOMU.***

Rozdział 7

- Czy to jakiś dowcip? - spytała Kelly przez zaciśnięte zęby.

Zaskoczenie najpierw ją sparaliżowało, ale teraz odchyliła się powoli i obróciła, wpatrując w kolegów.

Neil popatrzył zdumiony i szturchnął Johanna, który odwrócił się, aby sprawdzić, o czym ona mówi. Enrico właśnie przyprowadził Annie z powrotem do ich sekcji, a słysząc ton głosu Kelly stanął zaskoczony.

Błyskawicznie oceniła wyraz twarzy każdego z mężczyzn. Czy któryś z nich mógł to zrobić? Szczególne podejrzenia żywiła wobec Johanna, którego przyłapała na gorącym uczynku przed swoim komputerem. Jednak zdumienie malujące się na jego twarzy nie zdradzało ani zdenerwowania, ani poczucia winy, tylko zwykłe rozważne zamyślenie.

Neil zmarszczył brwi i podszedł bliżej. Za ucho miał zatknięty ołówek.

- Prawdopodobnie błąd w przekazie. Nie znam się na tych maszynach na tyle, by ci pomóc. Johann, chodź, popatrz na to.

Wysoki Szwed przysunął swoje krzesło do jej stanowiska i ze zmarszczonym czołem spojrzał na błyszczące na ekranie litery.

- Co robiłaś, kiedy pokazała się ta wiadomość? - spytał.

- Nic - prychnęła. - Byłam w gabinecie Wilsona i dopiero co usiadłam.

Usiłowała nad sobą zapanować. Nie chciała, by Annie zorientowała się, że jest zdenerwowana. Enrico przyprowadził dziewczynkę bliżej, podniósł ją i posadził na swoim biurku. Sam dołączył do grupki skupionej wokół komputera. Pomyślała, że celowo zastonił przed Annie ekran z wypisanymi nienawistnymi słowami, ale może też przypadkowo stanął na jedynym wolnym miejscu.

Pokręcił głową.

- Nigdy dotąd nie dostałaś takiej wiadomości? - dociekał.

- Nie - odparła możliwie naturalnym tonem. - Wygląda to na komunikat o błędzie. Ktoś zaprogramował to zbyt dużymi literami, chyba że ten komputer naprawdę zaczyna wysiadać.

Pozwoliła sobie na cień sarkazmu w głosie, wciąż nie spuszczała z kolegów

wzroku. Nienawidziła tego, że musi ich wszystkich podejrzewać, jednakże ktoś przecież przesłał tę wiadomość. I, do jasnej cholery, lepiej będzie, jeśli dowie się, kto.

- Trzeba chyba ściągnąć naszego programistę, by to sprawdził - zaproponował Neil. - Jean załatwi to w poniedziałek.

Wydawało się jej, że kiedy wymówił imię Jean, w jego oczach błysnęła iskierka ożywienia. Cóż, nie zamierza wyjawiać faktu, że wraz z Rossem ubiegłej nocy omal przerwali im schadzki. Lecz jeśli tamci chcą utrzymać swój prywatny związek w tajemnicy, na uprawianie miłości powinni znaleźć bardziej ustronne miejsce niż wystawiony na pokaz pokład jachtu.

- Tak - powiedziała, wciąż bacznie ich obserwując. - Tak zrobię. I nim wyjdę, wspomnę o tym Wilsonowi.

Potrząsnęli w zdumieniu głowami. Jeżeli jeden z nich się maskował, to czynił to niezwykle umiejętnie.

Potem w przód nachylił się Johann.

- Jeśli chcesz, mogę poszukać tego pliku. Może będziemy w stanie umiejscowić stworzone dane.

- Nie - sprzeciwiła się szybko, zastaniając sobą dostęp do klawiatury.

Jeżeli tu był jakikolwiek ślad tego, kto gmerał przy jej komputerze, wołała, by nikt go nie zatarał.

Kiwnęła głową i cofnęła się. Potem mała grupka rozproszyła się. Kelly zerknęła w górę i ujrzała Annie machającą nogami na biurku Enrica.

- Chodź, kochanie. Pokażę ci, nad czym pracuję. Starła się pozbyć dręczącego ją napięcia", kiedy pomogła Annie zejść na podłogę i przez następne pół godziny pokazywała, co robi. Tłumaczyła sobie, że należy dziecko zaznajamiać z różnymi profesjami. Annie pójdzie być może w ślady Kelly i Shermana, pragnęła nakierować ją na inne, bezpieczniejsze zajęcie. Nigdy nie pozwoli Annie, żeby wbiła sobie do głowy, że zostanie tropicielką burz. Nawet jeśli ona sama zaczęła kroczyć niebezpieczną drogą ojca, wołała myśleć, że nigdy nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka, jak niegdyś Ross i Sherman.

Wspomnienie zerwanego pasa sprawiło, że wzdrygnęła się ze strachu. Mimo wszystkich profesjonalnych zabezpieczeń, ktoś przeniknął przez podwójną sieć ochronną i przeciął pasy.

Posadziła Annie na krzesło, uznawszy, że już nadeszła pora na wyprawę do centrum handlowego. Zjedzą tam lunch i pobuszują po sklepach. Może podczas wycieczki z Annie zaświta jej, dlaczego ktoś z zespołu uważa, że jest tak niebezpieczna.

Zostawiła siostrzenicę, by jeszcze kilka minut pobawiła się zabawkami, sama

zaś wetknęła głowę do gabinetu Wilsona. Wciąż biedził się nad raportami, ołówkiem notując jakieś uwagi na czystej kartce papieru.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała. Usiadł i wyprostował się.
- Nigdy mi nie przeszkadzasz, Kelly. Wejdz.
- Już się zbieram do wyjścia. Ale pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, iż w

moim komputerze, kiedy wróciłam na stanowisko po rozmowie z tobą, pojawił się dziwny komunikat o błędzie.

Niechętnie przynosiła mu kolejne złe wiadomości, a jeszcze bardziej nie podobało się jej, że wyda się mu niekompetentna. Jednak nie miała żadnej możliwości sama zepsuć komputer. Siedziała w gabinecie szefa.

Zmarszczył czoło.

- Jaki komunikat o błędzie? Skrzywiła się.
- Żebym się wynosiła do domu.

Twarz Wilsona spochmurniała. Zdawała sobie sprawę, że się na nią nie gniewa, ale interpretuje tę wiadomość w taki sam, jak ona, sposób.

- W jakim programie pracowałaś, nim go otrzymałaś? - spytał wreszcie.

Pokręciła głową.

- W żadnym. Nim przyszedłam do ciebie, zamknęłam wszystko, oprócz wygaszacza ekranu.

Grymas na jego twarzy pogłębił się. Potem sięgnął po słuchawkę.

- Dajcie mi tutaj natychmiast Michaela.
- Czy chcesz, bym została?
- To nie jest konieczne. Po prostu wypełnij jeden z tych zielonych formularzy,

dotyczących kłopotów z komputerami. Jestem przekonany, że serwisant dotrze do tego, co się stało. To jego praca.

Kelly przeszył dreszcz, ale nie sprzeciwiła się. Wiedziała, że ich szef od komputerów utrzymuje cały system w idealnym stanie. Nie mogą pozwolić sobie na żadne przeoczenia.

- W porządku. Przyrzekłam Annie, że zabiorę ją na promenadę.
- Zaslugujesz na to. Podobnie dzieciak. Ja się tym zajmę.

Kelly wypełniła formularz najszybciej jak się dało i odłożyła go na biurko Wilsona. Nagle rozpaczliwie zapragnęła jakiejś rozrywki, nie mającej żadnego związku z Centrum Huraganów Gulf Coast ani z nikim z jego pracowników.

West Shore Plaża Shopping Center było akurat tym, czego Kelly potrzebowała. Razem z Annie uraczyły się jedzeniem ludu Cajun w kafeterii, potem powędrowały po chłodnej promenadzie. Oglądały wystawy, wchodziły do wielkich magazynów, dostarczających dostateczną ilość kolorowej fantazji, by pomogły się jej odprężyć.

W sklepie z zabawkami Kelly powiedziała Annie, że może wybrać sobie jedną

rzecz, więc spędziły dłuższą chwilę chichocząc i zastanawiając się nad różnymi możliwościami. Kiedy wreszcie dokonały zakupu i wyszły ze sklepu, Annie znowu się zamyśliła. Po kilku minutach bezskutecznych prób nawiązania rozmowy, Kelly zaprowadziła siostrzenicę na ławkę wciśniętą w środku promenady między dwoma wózkami kramarzy.

- O co chodzi, kochanie? Annie westchnęła.

- Tu jest napisane, że w tej grze muszą uczestniczyć cztery osoby. A my jesteśmy tylko dwie.

W poważnych, okrągłych oczach widniało takie osamotnienie, że Kelly ścisnęło za serce. Usiłowała zdobyć się na promienny uśmiech.

- Cóż, mamy panią Watson. Może z nami zagrać. No i po prostu zaprosimy jeszcze kogoś na wieczór. Tak będzie dobrze?

Annie przyglądała się jej z wydętymi wargami.

- Poprosisz Rossa? Serce Kelly podskoczyło.

- No, nie wiem. A dlaczego? Polubiłaś go?

- Chyba tak. Nie. Jest taki wesoły jak Enrico. Ale myślę, że Ross lubi ciebie.

Kelly objęła Annie ramieniem i przytuliła ją.

- Przyrzekłaś mi, że powiesz, czy lubisz moich przyjaciół, prawda? Nie chcę wiązać się z nikim, kogo nie polubisz, nigdy. Okay?

Dziewczynka spojrzała na nią.

- A jesteś związana z Rossem?

- Nie, nie jestem. - Zamyśliła się, pragnąc być z matką uczciwa. - Też go lubię, ale nie wiem, czy chcę być z nim związana.

Wydawało się, że Annie rozumie sens słowa „związana”, więc Kelly nie próbowała zbyć jej byle czym.

- Nie jestem pewna”, czy potrzebuję właśnie teraz mężczyzny w naszym życiu. A ty jak sądzisz?

Annie odrobinę przymrużyła powieki, jej jasne rzęsy rzucały delikatny cień na aksamitne policzki.

- A czy nie potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zaopiekował?

- Cóż, nie wiem. Nie sądzisz, że potrafię się sama sobą zaopiekować?

Annie nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Ty opiekujesz się mną. Myślałam więc, że ktoś powinien zaopiekować się tobą.

Kelly poczuła dławienie w gardle.

Prosta logika. Gdyby tylko życie było takie proste. Poczuła mieszaninę rozbawienia i czułości, którą ledwie mogła sobie wytłumaczyć.

Wciąż siedziały na ławce, obserwując przechodniów i rozważając, gdzie dalej

pójdą, kiedy Kelly spostrzegła znajomą wysoką, barczystą postać zmierzającą pewnie w ich stronę. Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

To był Ross, jego równy, pewny krok. Ubrany w obciste dżinsy i jasną, seksowną turkusową koszulkę polo, która podkreślała jego urodę, opaleniznę, ciemne włosy i bijącą od niego pewnością siebie.

Kiedy Ross się zbliżył, jej wzrok przyciągnęły rysy jego doskonale rzeźbionej twarzy. Z całych sił nie pozwalała sobie, by świetna prezencja mężczyzny wpływała na to, co do niego czuje. Dobry wygląd to tylko powłoka. Mężczyzna, którego wybierze, musi mieć w sobie o wiele więcej. O wiele, wiele więcej. Powinien być odpowiedzialny, czuły, kochający, taki, na którym można by polegać. Powinien być kimś, na kogo mogłaby liczyć.

Ross, dotarłszy do nich, uśmiechnął się, toteż Kelly musiała odsunąć krytycyzm na rzecz uprzejmości. Nieważne, że jego wzrok zatopił się w jej oczach i rozjaśnił z radości, że ujrzał obie panie. Uśmiechnął się szeroko do Annie.

- Wielkie zakupy? - spytał.
- Uhm - potaknęła dziewczynka. - Kupiliśmy grę. Chcesz zobaczyć?
- Jasne.

Usiadł z drugiego boku małej i obejrzał dokładnie lśniące pudełko podsunęte mu przez dziewczynkę.

- „Mistrz Szpiegów”, co? Musimy poprobować gry, prawda?

Nad głową małej puścił oko do Kelly, tej zaś zatrzepotało serce. Odwróciła wzrok. Póki wszystko się nie wyjaśni, powinna unikać przebywania z nim znowu sam na sam. Nie była impregnowana na kontakt z tymi silnymi ramionami i zmysłowymi wargami. Po prostu chemia, przestrzegła siebie. Ta chemia już kilka razy ją oszukała przy okazji facetów, którym zależało tylko na dobrej zabawie. Będą z Rossem wspólnie pracować i na tym koniec. Ale krew już zaczęła w niej szybciej krążyć, choć tylko obok niego siedziała.

Spojrzał poważnie na Annie.

- Muszę sprawić, by twoja ciocia mnie zaprosiła i wtedy będziemy mogli pograć. Jak sądzisz, jakie mam szanse?

Kelly zaczęły palić policzki, kiedy Annie popatrzyła to na jedno, to na drugie i odparła:

- Myślę, że duże.

Kelly mimo woli głośno jęknęła.

- Annie - zbesztła ją. - Ross po prostu jest miły. Może wcale nie ma ochoty na grę.

Ross uniósł ciemną brew i ponad głową Annie posłał jej namiętne spojrzenie.

- Och, ależ owszem.

Kelly jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Cóż, zobaczymy.

Ross uśmiechnął się swobodnie, potargał włosy dziewczynki, ona zaś zachichotała.

- Zajrzałem do bazy i dowiedziałem się, gdzie się we dwie wybrałyście.

Pomyślałem, że może chcesz iść na poranek do kina. Zerknąłem na filmy. Masz do wyboru albo gadającego kozła, albo film o królu Arturze.

- Król Artur - orzekła Annie, zeskakując podniecona z ławki.

Ross obrzucił twarz Kelly ciepłym spojrzeniem.

- Co ty na to?

Westchnęła z rezygnacją. Jakkolwiek patrzeć, to nie był jej dzień. Musiała myśleć o Annie.

- Zgoda, będzie bardzo miło.

Annie maszerowała między nimi, trzymając oboje za ręce, kiedy przemierzali promenadę, kierując się na parking. Jak prawdziwa rodzina - Kelly nie potrafiła opędzić się od tej myśli. Nagłe pragnienie, aby taka fantazja przeistoczyła się w rzeczywistość, ścisnęło jej serce. Przecież po to jest centrum handlowe, prawda? - dumiała. Dostarczyciel wszelkich pięknych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić, miejsce, w którym zatracasz się w marzeniach o tym, jakie mogłoby być życie, gdybyś włożyła tę suknię, jeździła tym samochodem, w twojej łazience pachniało tym kwiatowym mydłem. A zmysłowy, muskularny mężczyzna trzymający Annie za rączkę także należał do świata fantazji. Mężczyzna, który trzyma cię w ramionach. Z którym możesz kochać się pod tropikalnym księżycem.

Przezań! Siłą odepchnęła od siebie niesforne myśli. Przyjechała tutaj, by się zastanowić, a skończyło się na tym, że pochłonęły ją marzenia.

Rozdział 8

Ross zerknąwszy na Annie ujrzał, że dziewczynka jest oczarowana ożywioną na ekranie magią starodawnych druidów. Widok tej podniesionej ku górze twarzyczki, tak podobnej do twarzy dziadka, poruszył w nim czułą strunę. Nigdy zbyt wiele nie myślał o rodzinie. Ale to się zmieniło.

Tak naprawdę zaczęło się wraz z wojną. Jako pilot myśliwca w Zatoce odbywał tajne nocne misje, wioząc aerofotografów nad wrogie terytorium. Zrzucał także amerykańskich szpiegów za linie frontu. Został trafiony i stracił kilku przyjaciół. I rozwinął w sobie nienawiść do megalomanów, dążących do eskalacji działań wojennych. Bycie człowiekiem wojny zmieniło go w człowieka pokoju. Cały wysiłek skupił na poznaniu naturalnego środowiska człowieka, postanowił nauczyć się tworzenia modeli huraganów, aby pomóc przewidzieć, w jaki sposób się rodzą. Wtedy właśnie spotkał Shermana i przeistoczył się w łowcę burz.

Ponad głową Annie zerknął na Kelly, zastanawiając się, czy Sherman byłby zadowolony, że właśnie on pragnie ubiegać się o jego córkę. Ponownie spojrzął przed siebie na ekran, na ubrane w fałdziste szaty postacie, dokonujące czarów. Czy tego naprawdę pragnął? Samo patrzenie na wysoką, atrakcyjną figurę Kelly wzniecało namiętność w jego łędźwiach, a jej wewnętrzne piękno i niekłamana miłość dla siostrzenicy dodawały jej ciepła, tak przemawiającego do jego duszy. Nie mógł jednak pozwolić sobie na zaczynanie czegoś, skoro nie był jeszcze gotowy to kontynuować.

Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach. Wprost nie do wiary, że rozważał pomysł ustatkowania się. Wiedział tylko, że pociąga go jakieś wewnętrzne światło Kelly. Sprawiało, że chciał ją lepiej poznać. Spędzać z nią czas, zgłębiać jej istotę. Nie bardzo rozumiał, jak mógłby to robić i trzymać dłonie z dala od jej twarzy. W niej właśnie odczytał nieufność. Nie była gotowa na to wszystko. A teraz jeszcze znalazła się w opałach - potrzebowała jego pomocy, nie namiętności.

Film toczył się dalej, choć myśli Rossa zostały przy Kelly. Kiedy zajrzał do bazy, Wilson powiedział mu o niepokojącym przekazie komputerowym. Ross był przekonany, że nie stało się to z winy Kelly. Wobec tego, z czyjej? Powinien przeprowadzić śledztwo, a on pojechał prosto do centrum, gdyż najpilniej mu było znaleźć się przy dziewczynie. Upewnić się, że jest bezpieczna. Zamierzał przez resztę popołudnia nie odstępować Kelly i Annie o krok, bez względu na to, czy sobie tego życzyły.

Po kinie zgodnie uznali, że są głodni.

- Dla mnie hamburgery - oznajmił Ross. Skierowali się do knajpki z burgerami i wśliznęli do niszy. Po przestudiowaniu menu, Ross złożył zamówienie przez telefon wiszący na ścianie.

Annie paplała na temat filmu, potem Ross bawił się z nią w łapki, póki nie przyniesiono jedzenia.

- Mniam-mniam - stwierdził, patrząc na swoją bułkę z pieczarkami i roztopionym serem. - To właśnie zaleca mi lekarz.

- Wygląda smacznie - zgodziła się Kelly. Obdarzyła go uśmiechem, nim zabrała się za swojego burgera z cebulą, sałatą i pomidorami.

Prowadzili obojętną rozmowę i opychali się po uszy. Annie wesoło uśmiechała się do nich obojga i pozwoliła Kelly obetrzeć sobie keczup z buzi.

- Pójdziemy po twój samochód, potem ruszę za wami do domu - oznajmił Ross, gdy wychodzili z restauracji.

Splótł palce z palcami Kelly. Nie cofnęła dłoni, tylko drugą chwyciła rączkę siostrzenicy.

Jeśli nawet przeszkadzało jej, że tak wyraźnie postanowił przykleić się do niej, nie dała po sobie poznać. Lubił trzymać ją za rękę. Była tak wysoka, że niemal równa mu ramieniem. Gdy wzbudziła w nim instynkt posiadania, nie zastanawiał się już, czy robi to przez pamięć Shermana, czy dlatego, że wykonuje powierzone mu zadanie. Praca była tu jedynie wymówką. Pragnął przebywać w towarzystwie dziewczyny najdłużej jak to tylko możliwe.

Wyszli na dwór, wciąż trzymając się za ręce. Wieczne niebo zasnuła gruba warstwa coraz potężniejszych i ciemniejszych chmur. Wiatr szeleścił w koronach palm wzdłuż bulwaru, prowadzącego na parking.

- Będą spore zakłócenia atmosferyczne - mruknął Ross spoglądając w niebo.

- Napływ wilgotnego powietrza z południowego-zachodu - stwierdziła niemal jednocześnie Kelly. Na północy jasne promienie słońca przenikały przez cienką warstwę wysokich cirrostratusów, które wydawały się płynąć ponad innymi chmurami.

Rossa ogarnęła radość, że ich myśli wędrują tym samym torem. Wspólnie wpatrywali się w plamy puszystych, kłębiących się altocumulusów o ciemnych, ocienionych krawędziach. Oto kobieta, z którą naprawdę chciałby dzielić życie. Kobieta nie tylko o niewiarygodnym, zmysłowym uroku, lecz także o wrażliwym i inteligentnym umyśle, z którego nie waha się korzystać.

Zdawała się czytać w jego myślach, odrobinę spuściła wzrok. Wdychała ciepłe, wilgotne wieczorne powietrze, jak gdyby jej ciało było żywym barometrem, mierzącym jego gęstość. Potem spojrzała prosto na Rossa, z jej zielonych oczu biło

ciepło.

- To hipnotyzujące, prawda? - spytała. - Nadciąganie burzy z jej nieposkromioną siłą. To właśnie kochał ojciec.

Odrzuciła w tył głowę, pozwoliła, by wietrzyk owiał jej twarz, przymknęła powieki. Potężne prądy, jakie między nimi iskrzyły, sprawiły, że chciał ująć tę twarz w dłoń.

- Ty też to czujesz - zauważył miękko, obserwując, jak chmury powoli rozpościerały się po niebie.

Powietrze naładowane było nie tylko tropikalnymi wyładowaniami, czającymi się gdzieś między chmurami, lecz także napięciem między nimi dwojgiem.

- Jedźmy do ciebie - zaproponował. - Musimy porozmawiać.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, jej włosy zaczęły burzyć się wokół twarzy. Kiedy jednak otwierała drzwiczki, w zielonych oczach kryła się ostrożność.

- Zgoda.

Zaczekała, aż zabierze swój samochód z przyhandlowego parkingu, potem ruszyli jedno za drugim do jej apartamentu. Gdy wysiedli z samochodów i przemierzali dziedziniec, ich twarze zaczęły łaskotać krople deszczu. W środku znaleźli się w chwili, gdy dał się słyszeć odległy grzmot.

- Zdążyliśmy - roześmiała się Kelly, wchodząc do mieszkania i zapalając lampy w salonie.

Stegmeier podniósł się ze swojego miejsca na dywanie i przeciągnął się na powitanie.

Annie skierowała się do stołu, rozerwała celofan, zabezpieczający nową grę. Rudy kocur niespiesznie poszedł za nią z wysoko zadartym ogonem. Kelly zerknęła na Rossa.

- Posłuchaj, nie możesz tu zostać. Spędziliśmy cudowne popołudnie. Dziękuję ci.

Stał z uporem w salonie, stopy rozstawił szeroką na dywanie.

- Sądzę, że Annie ma coś do powiedzenia w tej sprawie. Musimy przekonać się, czy kupiona przez ciebie gra jest cokolwiek warta.

Dostrzegł plamy rumieńców na jej policzkach, miał nadzieję, że są one oznaką tego, co i on czuje.

- Ale do gry potrzeba czterech uczestników - zauważyła.

Uniósł ręce dłońmi do góry.

- Żaden problem. Doprosimy jeszcze kogoś. Co ty na to, bym zadzwonił po Neila i Jean?

- Nie - sprzeciwiła się szybko Kelly. - Może mają już inne plany.

Zakłopotanie malujące się na jej twarzy zdradziło mu, że wyobraża sobie, co

mogli zaplanować.

- Zadzwoń do pani Watson - dodała pośpiesznie i pomknęła do telefonu.

Niania *nie* była może tym, kogo Kelly wybrałaby na towarzyszkę sobotniego wieczoru, ale pani w średnim wieku stanowiła bezpieczniejsze wyjście. Kelly cieszyłaby się z obecności Jean i Neila, choć oglądanie ich razem mogłoby okazać się dla niej denerwujące. I to nie dlatego, że zachowywaliby się niedyskretnie w obecności Annie. Niepokoiła ją tylko jej własna wyobraźnia, kiedy Ross był w pobliżu. Nie, doprawdy pani Watson zapewniała najbezpieczniejszy wybór.

Po godzinie spędzonej nad „Mistrzem Szpiegów” pani Watson podsunęła myśl, żeby zaparzyć bezkofeinową kawę, a potem przebrać Annie w piżamkę i poczytać jej przed snem.

- Dziękuję, pani Watson - powiedziała Kelly, podając filiżanki.

Pani Watson i Annie były w sypialni, Ross zaś sączył kawę, rozparty wygodnie na sofie. Kelly usiadła z drugiej strony sofy, a potężny stos poduszek tworzył między nimi barierę.

- Kelly, muszę wypytać cię o kilka spraw. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Uważnie wpatrywała się w jego twarz.

- Och? A co takiego?

Odstawił filiżankę na stolik. Usiłowała wyczytać coś w jego zamysłonym wzroku, był on jednak zamglony, skrywający prawdziwe myśli.

- Czy ojciec kiedykolwiek opowiadał ci o badaniach nad modyfikacją pogody? W zdumieniu ściągnęła brwi.

- To znaczy?

- Rozumiesz, zaszczepianie chmur i tym podobne sprawy, próby tworzenia w pewnych regionach takiej pogody, która będzie sprzyjać uprawie zbóż. Starał się o dotację na to.

Kelly nie odpowiedziała od razu, tylko zmarszczyła czoło. Wreszcie przyznała:

- Nie wiedziałam, że zajmował się modyfikacją warunków atmosferycznych.

Jej irytacja z powodu tego, że wiedział coś o ojcu, co jej było niewiadome, znikła, kiedy dostrzegła zatroskaną minę Rossa. Nie kpił. Dlaczego więc poruszył ten temat? Głośno zadała to pytanie.

- Zastanawiałem się, czy ci cokolwiek o tym wiadomo. - Nie odrywał od niej poważnych piwnych oczu.

- Dlaczego?

Przemówił niskim i dobitnym głosem.

- Dlatego, że usiłuję dojść, czego ten ktoś aż tak bardzo się boi, że posuwa się do gróźb wobec ciebie.

Utkwiła wzrok w filiżance z kawą.

- Ty naprawdę uważasz, że to groźby, a nie zbieg przypadków.
- Fatalny błąd. Wracaj do domu. To mi się nie podoba, Kelly. Ktoś

zaprogramował ten obłądny komunikat właśnie dla ciebie.

Przeszył ją dreszcz, potarła ramiona. Deszcz przybrał na sile, wstała, by okryć kolana grubym, szydełkowym szalem. Kiedy znowu usiadła, podkuliła pod siebie stopy.

- Sądysz, że to ktoś z zespołu?
- Nie potrafię tego udowodnić. Ale kto inny ma dostęp?
- Wilson to bada - przypomniała. - Z pewnością sabotażysta w jakiś sposób się zdradzi.

Popatrzył jej poważnie w oczy.

- Mam nadzieję. Lecz tymczasem on albo ona uderzy, kiedy najmniej się będziesz tego spodziewać.

Kelly rozważyła jego słowa. Może dzień odpoczynku pomógłby jej rozwikłać parę kwestii.

- Nie sędzę - odparła powoli.
- Moim zdaniem te posunięcia są wykalkulowane na zimno. Ta osoba może być zdesperowana albo przestraszona, lecz z pewnością jest przebiegła.

Zadrzała pod ciepłym szalem z angory, kiedy jej wzrok zetknął się z ciemnym, skupionym spojrzeniem Rossa.

- To zatrważające, Ross. Muszę przyznać, że jestem przerażona.

Już sięgał dłonią ku jej twarzy, kiedy usłyszeli nadchodzącą korytarzem panią Watson i odsunęli się od siebie. Kelly wzięła się w garść i odprowadziła nianię do drzwi, jeszcze raz jej dziękując.

Pani Watson obrzuciła ją życzliwym uśmiechem i z aprobatą skinęła głową Rossowi, który wstał, by ją pożegnać.

- Życzę wam obojgu miłego wieczoru - uśmiechnęła się kobieta. - Zobaczymy się z panią w poniedziałek rano.

Kelly dostrzegła podziw w oczach starszej pani. Nigdy nie ma się za wiele lat, by nie poczuć dreszczyku emocji, pomyślała rozbawiona. Oto przykład, jak Ross czaruje wszystkie damy bez względu na ich wiek.

Na palcach przeszła korytarz, by zajrzeć do Annie, która zasnęła, a przy niej w kłębek zwinął się kot.

Nachyliła się i pocałowała siostrzenicę w czoło. Mały aniołek nie obudził się, tylko poruszył się przez sen, rączka opadła na ciepłutkiego, mrużącogo kota.

- Dobranoc, kochanie - szepnęła Kelly. Potem zgasiła lampkę, zostawiając na noc tylko małe, słabe światelko przy kontakcie.

Kiedy wróciła do salonu, ujrzała, że Ross przygasił światła. Dostrzegła jego ocienioną sylwetkę wyciągniętą w jednym końcu sofy i poczuła, jak wzrasta w niej głębokie pragnienie.

Ledwo mogła rozróżnić rysy twarzy Rossa, a on uniósł dłoń, by podeszła bliżej. Zacisnęła kolana.

- Sądziłam, że mamy porozmawiać - przypomniała nieco zdławionym głosem.
- Porozmawiamy - padła namiętna odpowiedź. - Usiądź koło mnie.
- Ja... chyba lepiej usiądę na tym krześle.
- W porządku, jak ci się podoba.

Zajęła krzesło obok, lecz szybko spostrzegła, że popełniła omyłkę. Ross zsunął się z sofy na kolana, przebiegł dłońmi wzdłuż jej okrytych dzinsem ud. Ustami przywarł do kolan.

- Nic na to nie mogę poradzić - wyznał, unosząc głowę i patrząc na nią wzrokiem winowajcy. - Wywierasz na mnie potężny wpływ - powiedział z tak bezwzględną szczerością, że poczuła, iż i ją ogarnia fala pożądania.

Mimo to mogłaby się dalej opierać, ale wyraz jego uczciwych, pełnych namiętności oczu sprawił, że zmiękło jej serce. Zadzźwięczało w niej jakieś echo samotności.

- Kelly - jęknął na kolanach, obejmując ją ramionami w pasie. - Nie wiesz, jak bardzo cię pragnę.

Jej serce biło jak oszalone, czuła, jak iskrzy w niej pożądanie - ale też i panika. Nie mogła przecież ulegać temu mężczyźnie, temu łowcy burz. To tylko stres sprawił, że zapragnęła wtulić się w jego ramiona. Strach winien jest, że zatęskniła, by zatracić się w jego pieszczotach.

- Nie możemy - szepnęła, nawet kiedy wtulił twarz w jej kolana, a jej własne palce przeczesywały jego gęste, czarne włosy. - Nie możemy.

- Wiem, wiem - odszepnął. Obrócił głowę, policzek wsparł o jej uda.

Promyk uśmiechu rozświetlił mu oczy, uniósł głowę, dłonie wciąż spoczywały na jej udach.

- Nie zamierzam cię, ponaglać. Nie chcę nic, czego ty ode mnie nie pragniesz. Potem wstał, ją także podniósł i pokierował na kanapę.

- Po prostu pozwól mi się objąć.

Usiadła obok, wtopiona w jego ramiona. Nie próbował dotykać jej nagiej skóry, trzymał ją w ciepłym, opiekuńczym uścisku, głowę miał tuż przy jej głowie, jego ciepły oddech muskał jej ucho.

Do licha! To także na nic! Pragnęła tylko obrócić twarz ku jego twarzy, wdychać z całych sił jego uspokajający męski zapach. Chciała wsunąć dłoń pod jego koszulę i mocno przycisnąć do jego piersi. I wtedy zaczął ją długo i namiętnie całować,

przyciskając do oparcia sofy, a pieszcząca dłoń pobiegła ku jej piersi. Dziewczyna objęła go ramionami, nie potrafiła oprzeć się pulsującej głębi własnego ciała.

- Och, Ross - zdołała wreszcie powiedzieć. - Dlaczego to robisz?

Uniósł głowę, cienie jego pięknie sklepionych policzków i mocne czoło przeszywały ją dreszczami pożądania.

- Nie potrafię się opanować - przyznał. - Nie czujesz tego, Kelly? Pragnę cię, kochanie. Ale nie będę cię zmuszał. Nikogo do niczego nie przymuszam.

Zdołała uspokoić drobne eksplozje w swoim ciele i rozdzieliła ich oboje dłońmi.

- Nikogo - szepnęła. Odepchnęła ramiona Rossa na potwierdzenie swoich słów.

Odsunął się, wciąż jednak jej twarz płonęła pod jego spojrzeniem.

- Nie zaprzeczysz, że także mnie pragniesz. Zdołała przywołać w sobie dość urazy, by jej głos zabrzmiał stanowczo.

- Nie jestem zdobyczą na jedną noc - stwierdziła. Cofnął się odrobinę, choć wciąż obejmował ją ramieniem.

- Kelly Tucker, posłuchaj mnie. Kiedy będę cię kochał, nie skończy się to na jednej nocy.

Do licha! Dlaczego jego głos brzmi tak seksownie i uczciwie? Mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął, a oto ten szalony macho, jakim jej zdaniem był, zachowuje się niczym skarcony szczeniak.

- O? - zdziwiła się chłodno, poprawiając ubranie.

- Nie - rzekł, patrząc na nią groźnie. - Wcale nie znasz mnie dobrze, jeśli właśnie o tym myślisz.

Parsknęła śmiechem.

- Masz rację. Nie znam cię. Po prostu pamiętam, jak wszystkie studentki w kampusie strzelały do ciebie oczami, kiedy byłeś magistrantem. Ile z nich po drodze straciło wianki?

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

- Nie obdarzasz ludzi nadmiernym kredytem zaufania, prawda?

Jej serce wciąż mocno biło, lecz bardziej za sprawą wysiłku, by obronić się przed jego perswazją, niż z namiętności.

- Jestem przekonana, że wierzysz w to, co mówisz, Ross. Chodzi tylko o to, że rankiem mógłbyś zmienić zdanie.

Jego spojrzenie nadal paliło ją w twarz, choć uczucie przedtem malujące się w oczach, ustąpiło pełnej rezygnacji zgodzie.

- Zatem, niech i tak będzie. Nie będziemy się kochać, póki się nie upewnię, że rankiem nie zmienię zdania.

- Och! - zawołała i chwyciła wełnianą poduszkę, leżącą z drugiej strony.

Cisnęła nią w jego pierś i wstała.

Ruszył za nią, obronnym gestem unosząc ręce.

- Dobrze już, dobrze, orientuję się, kiedy mnie wyrzucają. - Lecz teraz nie był zły, po prostu się z nią droczył.

Wyprostowała się.

- Dziękuję, że nas zabawiłeś... hm, to znaczy Annie. Wyjrzała przez okno i przekonała się, że deszcz osłabł. Ross prawdopodobnie nie przemoknie w drodze do samochodu.

Przy drzwiach uniósł dłoń i położył ją na policzku Kelly. Potem pocałował ją w czoło.

- Nie zapomnę, na czym skończyliśmy.

I już był za drzwiami. Zamknęła je za nim i oparła się o nie na chwilę. Bez wątpienia ją roznamiętnił, poczuła, że z żalu ściska ją w gardle. Może powinna była pozwolić mu zostać. Niechby uniósł ją na skrzydłach namiętności, nawet jeśli miałyby to potrwać tylko jeden wieczór. Przynajmniej miałyby choć tyle.

A rano wróciłoby opamiętanie, zadrwił w jej głowie jakiś głos. Poza tym, do diabła ciężkiego, cóż ona wie o Rossie Kingu? Skąd ma wiedzieć, czy można mu zaufać? Potrząsnęła głową, sprawdziła, czy drzwi są zamknięte i cicho powędrowała korytarzem do łózka.

Ross wśliznął się do BMW i siedział wpatrzony w deszcz siąpiący na szybę. Czekał, aż jego ciało ochłonie i zelżeje ból pożądania. Zajęło to dłuższą chwilę, lecz w końcu zdołał zmusić się do myślenia o innych sprawach. O tym, jak skomplikowany obrót przybrały rzeczy.

Zbliżył się do Kelly bardziej, niż nawet się spodziewał. Nie chciał niczego przed nią ukrywać, choć prowadzone przez niego śledztwo było ściśle tajne. Nie spodziewał się, że zakocha się w niej w tej samej chwili, w której ją zobaczy. Ale przecież tak właśnie się stało, prawda? A fakt, że grozi jej ktoś z Centrum Huraganów, jeszcze pogarszał sprawę.

Zabębnił palcami o kierownicę. Jedyнным logicznym powodem, dla którego ktoś mógłby nastawać na Kelly, było to, że wiedziała dostatecznie dużo o stworzonej przez jej ojca teorii modyfikacji pogody, aby zauważyć, że ktoś to podstępnie wykorzystuje. Czyżby ta właśnie osoba ingerowała w prognozy pogody, publikowane przez Centrum Huraganów? A jeśli tak, to z jakiego powodu?

Najpierw musi zająć się śledztwem. Nie może jeszcze zdjąć maski, nawet przed Kelly. Nie, póki nie znajdzie tego, czego szuka.

Rozdział 9

W niedzielę Kelly postanowiła zostać w domu i odpocząć. Razem z Annie upiekły ciasteczka, jadły je, patrząc na deszcz. Zadzwoił Wilson, by dowiedzieć się, jak się czuje. Zdawała sobie sprawę, że traktuje ją jak ojciec, więc zapewniła, że świetnie. Niczego nie potrzebuje. Ross także zatelefonował, jednak wtedy pozwoliła, by odpowiedziała automatyczna sekretarka. Po południu poćwiczyła trochę na dworze, bo nie poszła na zajęcia jogi. Potem zwinęła się w kłębek z książką, lecz nie potrafiła się należycie skupić. Sprawdziła odrobione przez Annie lekcje, następnie przygotowała kanapki na jutrzejszy lunch. Długi, nudny dzień. Ucieszyła się, kiedy deszcz przestał padać i mogła wyjść na balkon i popodziwiać zachód słońca.

Na zachodnim niebie rozciągała się różnobarwna warstwa chmur - od ciemnej, niebieskoszarej, po jaskrawo różową. Długie, gładkie, złoto-pomarańczowe pasma i śmietankowo-białe smugi przypominały lukier. Chciała nawet zawołać Annie, żeby to zobaczyła, postanowiła jednak nie odrywać jej od lekcji. Annie i tak dość się naoglądała pogody, by zmuszać ją do zadzierania główki przy każdej zmianie na niebie.

Mimo to Kelly zrozumiała, co nią kierowało. Zachody słońca lepiej oglądać w towarzystwie. Jednak nawet wtedy nie odpowiedziała na telefon Rossa.

Później wieczorem, kiedy siedziała samotnie oglądając wiadomości i głaszcząc gęste, rude futerko Stegmeiera, myślami wróciła do pytania, jakie zadał jej Ross na temat prowadzonych przez ojca badań nad sztucznym oddziaływaniem na warunki atmosferyczne. Ściągnęła brwi w skupieniu. Jako studentka drugiego roku w college'u nie interesowała się pracami ojca tak, jak by mogła. Był to czas penetrowania innych obszarów oferowanych przez życie, innych możliwości. Dopiero w następnym roku zmieniła specjalizację i zajęła się meteorologią.

Potrząsnęła głową, usiłując sobie przypomnieć. Oczywiście, od dawna wiedziała o zaszczepianiu chmur. Nie pamiętała już, kiedy pierwszy raz o tym usłyszała. Może ojciec napomknął coś przy obiedzie, choć wtedy nie przywiązywała do tego większej wagi.

Oczywiście dla Shermana, jeśli wierzyć słowom Rossa, miało to olbrzymie znaczenie. Jasny gwint, większość papierów ojca spoczywała zapakowana w skrzyniach w Boulder. Nie było więc sposobu przejrzeć je i zweryfikować twierdzenie Rossa. Chociaż może kilka dokumentów wciąż znajduje się w

szufladzie biurka. Musi rzucić na nie okiem.

Podawano prognozę pogody.

„W kierunku zachodnim nadciągają burze - mówił prezenter, wskazując na wycinek mapy za plecami. -Może to być przyczyną wystąpienia tropikalnego huraganu. Nie wydano jeszcze żadnych ostrzeżeń, jednak doradcy zalecają sprawdzanie prognoz w ciągu następnych dwunastu godzin. Spodziewane są ulewne deszcze”.

Ostrzeżenie przed huraganem zelektryzowało umysł Kelly. Ciężkie czarne cumulonimbusy na mapie pogody zdecydowanie zapowiadały huragan. Wyłączyła telewizor. Lepiej położyć się spać. Wygląda na to, że znowu czeka ich lot.

Kiedy w poniedziałek rano Kelly dotarła do Centrum Huraganów, tam już wrzało.

- Dzień dobry, Kelly - zaczęła Jean, oddzierając wydruki komputerowe i wręczając je Maxowi Omarowi, który cierpliwie czekał przy kolistym kontuarze. -Spędziłaś miły weekend?

- Uhm - odparła Kelly. - A ty?

- Niebiański. - Jean uśmiechnęła się promiennie. Kelly mogła to sobie wyobrazić. Utwierdziła się w przekonaniu, że Jean i Neil mogliby uważać sobotni wieczór spędzony nad „Mistrzem Szpiegów” z siedmiolatka i starszą nianią za niezbyt odpowiadający ich gustom.

- Cześć, Kelly - powitał ją Enrico, kiedy podeszła do swojego stanowiska.

- Cześć, Enrico. Widzę, że tropisz burzę.

Dwudziestoczerocalowy monitor wyświetlał kolorowe zdjęcia pochodzące z satelitów. Kelly zerknęła na stanowisko Johanna, gdzie jasnoczerwone, żółte i zielone barwy na obrazie w podczerwieni wskazywały temperaturę i opady w różnych partiach nadciągającego huraganu. Na ekranie obok ruchy burzy zostały naniesione na mapę południowego Atlantyku i Karaibów.

- Jak daleko od nas? - spytała.

- Mniej niż czterysta mil - wyjaśnił Enrico. - Lecimy. Zwrócił oczy w stronę sufitu, by pokazać, że wkrótce znajdą się w powietrzu.

Tuż przy Kelly pojawił się Wilson.

- Chcę, żebyś zajęła się zdjęciami satelitarnymi - powiedział. - Musimy postać dane do Służby Meteorologicznej Gulf Coast.

- Zrobi się.

Kiedy usiadła przed swoim komputerem i zalogowała się, dreszcz przeszył ją po krzyżu.

Wilson odwrócił się i odezwał do wszystkich obecnych:

- Słuchajcie. Tropikalna burza Joseph w ciągu godziny osiągnie stopień

huraganu. Jak tylko zatankują „Herculesa”, polecicie. Ekipa naziemna już wszystko sprawdza. Bądźcie gotowi o dziewiątej zero zero.

Z namacalnym niemal podnieceniem naukowcy skupili się na odczytach i mapach huraganu, który tropili. Kelly czuła to samo - przyływ podniecenia naznaczony niebezpieczeństwem. Zwłaszcza dla ciebie, ostrzegł ją głos wewnętrzny, lecz odsunęła tę myśl od siebie. Nie zamierzała uciekać od zadań, dla których tu przyjechała.

Zaczęły się jej trochę pocić dłonie. Studiowała każde kolejne zdjęcie z satelity. Kiedy było ostre i cenne dla tego, co się tutaj dzieje, starannie zabezpieczała je na twardym dysku.

Do tego stopnia skupiła się na prawidłowym wykonaniu swojego zadania, że nawet nie zauważyła, kiedy wszedł Ross. Raczej wyczuła jego obecność o kilka stóp od siebie.

Gdy tylko zabezpieczyła ostatnie zdjęcie, kącikiem oka zerknęła na Rossa. Był już w kombinezonie lotniczym, z rękami wspartymi o biodra stał, obserwując czerwoną plamę przesuwającą się po ekranie Johanna. Kelly skopiowała pliki na dyskietkę i wstała. Musiała precyzyjnie się obok niego w drodze do gabinetu Wilsona.

Jego dłoń niemal nieświadomie musnęła ją, przeskoczyła między nimi iskra. Nie mogłaby oszukiwać siebie, że to tylko sprawa elektrostatyki. Owszem, była to elektryczność, ale o wiele bardziej osobista.

Wręczyła dyskietkę Wilsonowi i już miała wyjść, by ubrać swój kombinezon.

- Kelly, zastanawiam się, czy tym razem nie zatrzymać cię w bazie.

Jak wryta stanęła w progu i obróciła głowę.

- Co takiego? Wszedł zza biurka.

- Może byłoby dla ciebie bezpieczniej, gdybyś została na ziemi.

Wyprostowała się, wargi zacisnęła w zdecydowaną kreskę.

- Nie życzę sobie, by mnie niańczono. Podejmuję takie samo ryzyko jak reszta zespołu.

- Kelly, wiem, że nie uchylasz się od obowiązków. Ale tutaj dzieje się coś niedobrego i obawiam się, że ktoś pragnie cię wyeliminować. Nie mogę ryzykować i posyłać cię na lot, kiedy nie wiem, co jeszcze może się zdarzyć.

Nie miała czasu, by porozmawiać z nim o tym, co mówił Ross w związku z eksperymentami prowadzonymi przez jej ojca. To może poczekać. Powiedziała więc tylko:

- Te drobne wypadki, jeżeli rzeczywiście były groźbami, nie ograniczały się wyłącznie do „Herculesa”.

Wciągnął powietrze przez nozdrza.

- Wiem. Ale czuję się bezpieczniejszy walcząc z tym, co widzę i słyszę na ziemi bez dodatkowych komplikacji, wyływających z wysłania cię również na spotkanie huraganu.

Postarała się, by jej głos zabrzmiał spokojnie i rozsądnie:

- Dziękuję, Wilson, ale nie mogę się na to zgodzić. Powinnam robić, w zespole to, co do mnie należy. -Wzruszyła ramionami. - Co inni by sobie pomyśleli?

- Nic, prócz tego, że przydzieliłem ci zadanie śledzenia huraganu zza biurka.

- Nie do tego zostałam tutaj zaangażowana.

Przez ułamek sekundy mierzyli się upartym, twardym wzrokiem. Kelly miała mgliste uczucie, że w przeszłości między Wilsonem a jej ojcem mogło dochodzić do podobnej próby sił. Jednocześnie czuła bijącą od Wilsona troskę i wiedziała, że chodzi mu wyłącznie o jej bezpieczeństwo.

- Wybacz - powiedziała miękko, robiąc krok w jego stronę, jak gdyby prosiła go o zrozumienie. - Muszę lecieć.

Miała wrażenie, że ściska się jej serce i tej chwili niemal wyczuła w tym gabinecie obecność ojca. On byłby zrozumiał.

Załoga pospieszyła przez deszcz w stronę metalowego trapu, Ross tuż za Kelly. W przejściu zdjęli peleryny, potem ruszyli na miejsca. Kiedy wsuwała się na swoje, Ross sprawdził wszystkie pasy.

- Wyglądają na sprawne - stwierdził. Wzrok miał ciepły i dodający otuchy.

Sprawdziła zabezpieczenia na swoim stanowisku. Nie podobało się jej, że zaczyna zachowywać się, jakby miała manię, jednak bezpieczniej będzie samej sprawdzić wszystko, nim za późno przekonać się, że ekipa naziemna raz jeszcze coś przeoczyła. Poczuła, jak zaczyna w niej buzować napięcie i wzrasta poziom adrenaliny. Ross zajął swój fotel. Bliskość jego muskularnego ciała jeszcze tylko przyspieszyła i tak szybko bijący puls. Jego uśmiech miał ją uspokoić. Zamiast tego rozpałił w niej żar, z którym zaczęła już się oswajać.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Chyba tak - odparła.

Po starcie Hank zezwolił im na poruszanie się po kabinie. Razem z Rossem ponad ramieniem Neila popatrzyła na monitor radaru, kiedy samolotem zaczęły rzucać podmuchy i Hank rozkazał im wracać na miejsca. Kelly rzuciło w tył, prosto w ramiona Rossa. Przez ułamek sekundy przywarła do muskularnych ramion, obejmujących ją w pól, zatapiając się w ich chętniej ochronie.

- Nic ci nie jest? - szepnął jej do ucha.

- Uhm.

Balansując przy szafkach i wiszących nad głowami rączkach, chwiejnym krokiem dotarli na swoje miejsca i przypięli się pasami.

Lecieli wśród ciemnych chmur, odczytując zapisy ciśnienia i prędkości wiatru. Kiedy samolotem rzucało, Kelly miała wrażenie, że wszystko w niej skacze, było to jednak nic, w porównaniu z nieklamany przerażeniem, jakiego doświadczyła poprzednim razem. Na wspomnienie tego pot jej wystąpił na czoło, choć czuła, że wszyscy są podobnie spięci.

Nagle po jej stronie samolotu z jednego z silników wystrzelił pióropusz ognia, jej zaś tak zaschło w gardle, że nie mogła dobyć głosu. Jednocześnie maszyna dostała się w silną turbulencję. Kelly jedną ręką przywarła do poręczy fotela, drugą do stanowiska przed sobą. Przerażenie było tak wielkie, że wszelkie myśli zamarty jej w głowie.

Z oddali usłyszała czyjś krzyk:

- Pali się silnik trzeci.

Samolot wdzierał się w oko cyklonu, zmagając się z wiatrami o prędkości 125 mil na godzinę. Podmuch szarpnął nimi w górę, po kilku sekundach kolejny rzucił w dół. Ona jednak nie potrafiła oderwać wzroku od płomieni bijących w chmury na zewnątrz.

Ross mocno uściśnął jej dłoń. Gdzieś za ich plecami otworzyły się drzwi kabiny, usłyszała szelest i stukot wyposażenia wypadającego na podłogę. Samolot pikował. Kelly zamknęła oczy, pewna, że za chwilę umrze, modląc się, by tak się nie stało. Jedynym wyraźnym doznaniem było to, że jej lodowatą dłoń ścisną duża, mocna dłoń Rossa.

Wreszcie samolot przedarł się do oka cyklonu i wyprostował. Po chwili wyrównał lot. Na kilka sekund wszyscy wstrzymali oddech. Ross wciąż ścisnął mocno dłoń Kelly, jej serce mało nie wyskoczyło z piersi. Potem wokół wybuchnął gwar.

- Wyszliśmy z tego - usłyszała głos drugiego pilota. Musiał zadziałać mechanizm gaśniczy silników.

Bogu dzięki.

Ross odwrócił się do niej, a intensywność, z jaką spojrzeli sobie w oczy, była tak niezmierna, jakby ich najtajniejsze myśli stopiły się w jedno. W jego spojrzeniu wyczytała determinację, że bez względu na wszystko nie zamierza jej stracić. Świadomość tego sprawiła, że zaczęło jej dźwięczeć w głowie. Już dłużej nie mogła wątpić, że bardzo mu na niej zależy. Nawet jeśli nie całkiem знаła tego powód.

Kiedy napięcie w kabinie zelżało, wstali, by pomóc ułożyć przedmioty na miejsca.

- Wyboista jazda - zażartował Enrico.
- Nigdy nie jest za łatwo - stwierdził Johann, kiedy we dwójkę zamykali jedną po drugiej szafkę i sprawdzali zatrzaśki klamek.

Max Omari niewzruszenie trwał na swoim posterunku, monitorując dane, które napływały przez jego końcówkę komputera. Jednak dostrzegła, że ma ściągniętą i pozieleniałą twarz. Gdy przechodziła, zerknęła na Kelly.

- Wszystko w porządku? - spytał cichym, powściągliwym tonem.
- Tak. - Usiłowała się do niego uśmiechnąć. - Trochę wstrząśnięta, to

wszystko.

Posępnie pokiwał głową.

- Rozumiem. Zawsze można się nieźle przerazić.

- Dlaczego ty to robisz? - spytała, nagle zaciekawiona, co kieruje człowiekiem, który w jego wieku wciąż rusza na spotkanie burz, a te przecież pewnego dnia mogą go zabić.

Wyjrzał na spokojne, jedwabiste powietrze i chmury otaczające oko cyklonu i odparł dziwnie rozbawionym tonem:

- Śmierć wcale mnie nie przeraża. Kiedy nadejdzie, to będzie. Ważniejsze jest to, czego przed nią dokonasz. Jeżeli nie lękasz się śmierci, nie straszne ci także ryzyko. Za każdym razem, gdy odpędzisz Kostuchę, wygrasz kolejny dzień.

Odwrócił ku niej twarz z uśmiechem, który ją speszył. Max Omari był dziwnym mężczyzną. Zastanowiła się, jaki układ łączył go z jej ojcem. Kiedy nadejdzie sposobny moment, postara się poznać go lepiej.

W tej chwili należało wykonać zadanie. Nie patrzyła na piękne, spokojne oko cyklonu więcej niż to było konieczne. Przypominało ono jedynie, że wokół nich kłębią się przepastne, niosące deszcz chmury, wprawiane przez obrót ziemi w śmiertelny, kolisty ruch, który niósł zniszczenie. Trudno było pojąć, że ta nieokiełznana, pędząca siła jest dziełem natury. Gdy uderzała, niszczyła i zabijała wszystko po drodze. Nikt nie potrafił zapobiec huraganom. Jednakże mogli spróbować nakreślić ich kurs.

Skończyli zbierać wewnątrz oka wszystkie potrzebne dane. Kiedy nadeszła pora ponownego przedarcia się przez ścianę chmur, Kelly poczuła, jak żołądek zbija się jej w jeszcze większy supeł.

Ross dwukrotnie sprawdził jej pasy. Gdy widziała nad sobą jego nachyloną przystojną twarz, poddała się bolesnej myśli, że jeśli wyjdą z tego cało, nie będzie go już więcej odtrącać. Odda się mu, by uczcić życie i radość. Po prostu będą żyć. Przysięgła sobie, że będzie korzystać z dnia.

Ross myślał chyba o tym samym, bo zatopił w niej ciemne oczy, błyszczało w nich przecucie niebezpieczeństwa, lecz i coś jeszcze - był to mianowicie żar namiętności. Napawał się jej twarzą, w lekko uniesionych kącikach ust pojawił się cień zadowolenia. Potem jego palące spojrzenie przesunęło się z warg na tors w ślad za rękami, które sprawdzały pas. Kiedy dotarło do piersi, zostało tam dłużej.

Potem raz jeszcze spojrzawszy na nią palącym wzrokiem usiadł i zapiął własny pas.

Kelly drżała. Gdyby znajdowali się gdziekolwiek indziej, przywarłaby do niego wargami. Pragnęła go. Pragnęła jego potężnego, twardego ciała, scałowania wszystkich jej strachów, pieśzcot niosących zapowiedź przyszłości.

Masywny samolot przedzierał się ku przeciwnej ścianie huraganu, Kelly wzięta się w garść i usiłowała zdusić lęk. Starła się być tak pogodzona z losem jak Max Omari, uwierzyć w przeznaczenie. Zdawało się jej, że nierówny lot nie jest aż tak przerażający jak wcześniej.

Stopniowo wyszli z burzy, lecieli z taką prędkością, że zostawili za sobą brzemienne deszczem chmury. Kiedy wyjrzała przez okno, ujrzała raj - soczyste zielone wyspy otoczone nieprawdopodobnymi odcieniami niebieskiej wody. Przy molach prowadzących do rezydencji o spadzistych dachach cumowały jachty. Luksus, któremu jeszcze nie zagroził huragan Joseph. Serce wciąż tłukło się jej w piersiach, Ross otoczył ją ramieniem, uniósł do warg jej dłoń.

Nachylił się tak blisko, że tylko ona mogła usłyszeć jego słowa:

- Kiedy dotarło do mnie, że dzisiaj się nie rozbijemy, dziękowałem Bogu, że przeżyję jeszcze jeden dzień, w którym będę ciebie oglądał.

Szczeroc bijąca z jego ciemnopiwnych oczu sprawiła, że zaczęła się rozplęwać. Cał po cał torował sobie drogę do jej serca i wreszcie osiadł w nim na stałe.

Ale na jak długo? - odezwał się w niej podejrzliwy głos.

Nawet mimo wątpliwości wspomnienie jego pocałunku okazało się zbyt potężne, by można było o nim zapomnieć. Tak bardzo go pragnęła. Może poddanie się namiętności oczyści ją od tego szaleństwa. Po spędzonej razem nocy może będzie w stanie rozsądniej myśleć. Przynajmniej będzie to usprawiedliwienie za to, że jej piersi tęskniły za jego pieśzcotą, za spragnionymi ustami...

Wysiłkiem woli Kelly wyrwała mu dłoń i nakazała sobie zająć się bieżącymi sprawami. Zebrali dane i zmiierzali z powrotem do bazy. Teraz należało żywić nadzieję, że dostarczą Wilsonowi wszystko, czego mu potrzeba do wykonania rozmowy telefonicznej.

Wcale jednak nie miało być tak łatwo. Zbite, burzowe chmury, które napotkali po drodze zmiierzające w tę stronę, utworzyły kolejną tropikalną burzę Katrin. W Centrum Huraganów wrzało jak w ulu. Kelly z drzeniem serca stała, obserwując satelitarny przekaz Katrin skręcającej w kierunku północnym. Wiejąca z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę trąba powietrzna zmiierziała ku Kubie.

Johann wskazał palcem zielony kleks, huragan, w którym niedawno byli.

- Przynajmniej wiemy, że Joseph ślabnie.

Kiedy śledzili huragan Joseph i tropikalną burzę Katrin, adrenalina trzymała Kelly na wysokich obrotach. Najjistotniejsze było, żeby precyzyjnie przewidzieć, czy

i kiedy Katrin przerodzi się w pełny huragan. Wraz ze wzrostem napięcia najwyraźniej wzmagają się także jej uczucia dla Rossa. Czuła jego elektryzującą obecność, nawet kiedy znajdował się po przeciwnej stronie sali. Wyglądało to tak, jak gdyby przekroczyli jakąś barierę.

W niewytłumaczalny sposób stał się jej częścią. A przecież przerażało ją, że zdarzyło się to tak szybko.

Kilkakrotnie poczuła lekkie ukłucie z tyłu głowy, jakby ktoś ją obserwował. Kiedy się odwracała, nie widziała nikogo, kto by na nią patrzył. Była podenerwowana, podejrzliwa. Zła na siebie, przygryzła wargę. W ten sposób nie wykona swojego zadania.

W porze lunchu Kelly samotnie poszła do kafeterii w suterenie. Chciała pozbierać myśli, dlatego też musiała znaleźć się z dala od Rossa. Znajomy szmer rozmów i jasne lampy za ladą miały kojący wpływ. Przesuwała tacę, zdecydowała się na rybę i sałatkę z białej kapusty, potem przystanęła i napełniła papierowy kubek wodą z lodem.

W jadalni zobaczyła siedzących przy oknie Maxa i Johanna. Postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję, podeszła więc do ich stolika.

- Mogę się przysiąść? - spytała.
- Ależ oczywiście. - Johann odsunął dla niej krzeselko.

Max dalej krajał wątróbkę z cebulą, Johann zaś popijał kawę. Na dworze deszcz lał jak z cebra.

- Zapowiada się długi dzień - zauważył Johann.
- Tak przypuszczam - zgodziła się Kelly. Postarała się o sympatyczny uśmiech.
- Ale przecież po to tu właśnie jesteśmy.
- Aha - potwierdził Johann.

Dopił kawę i odstawił filiżankę. Kelly widziała, że jego talerz jest już pusty, a nie wyglądało na to, że Johann zamierza zostać dłużej na pogawędkę. Uśmiechnęła się i zabrała do swojej ryby, zauważyła przy tym, że Max nie zjadł jeszcze tyle, by mógł ją opuścić.

Johann wstał.

- Wybaczcie mi, ale muszę wracać.
- Jasne, do zobaczenia - powiedziała Kelly. Max wywijał widelcem.

Przez chwilę Kelly jadła w milczeniu, kombinując, od czego by zacząć rozmowę. Mężczyzna naprzeciwko wyglądał na nieszkodliwego mola książkowego, oddanego pracy, jednakże w tej chwili nie mogła nikogo wykluczyć ze swojej listy podejrzanych. Jeżeli Max albo ktokolwiek inny miał jakieś paskudne powody, by ją wykurzyć stąd strachem, musiała się tego dowiedzieć.

Odchrząknęła i odłożyła widelec.

- Przypominam sobie, jak ojciec mówił, że razem studiowaliście - zagadnęła. Max kiwnął potakująco głową, żuł i przetykał patrząc w talerz.

- Tak, tak, razem robiliśmy magisterium. Potem, kiedy wróciłem po latach, znaleźliśmy się na tym samym wydziale. Zapamiętałem cię, chociaż ty prawdopodobnie nie zwróciłaś na mnie uwagi.

- Nauczałaś fizyki, prawda?

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem chmurnych szarych oczu.

- Tak, właśnie tak. A więc zapamiętałaś. Wzruszyła ramionami.

- Wtedy nie interesowałam się jeszcze pracą taty. Miałam tyle innych ciekawych rzeczy do zrobienia. Ale wiem, że poznałam wszystkich jego kolegów.

- Tak.

Nie wyglądało na to, że skłonny jest do oświecenia jej, toteż Kelly brnęła dalej.

- A pracowałaś z nim kiedyś w laboratorium? To znaczy, nad jego eksperymentami. Zajmował się na przykład... no, modyfikacją pogody. Starał się zwiększyć plony.

Nim ukroił następny kęs, przez ułamek sekundy dłużej przytrzymał w powietrzu nóż i widelec. Jednak uniósł ramiona i opuścił je, jakby nimi nieznacznie wzruszał.

- Tak, Sherman zawsze wybiegał myślą naprzód. I robił to z powodzeniem, jeżeli dobrze sobie przypominam.

- To znaczy jak? Spojrzał na nią.

- Dotacje. Był na dobrej drodze, by zostać szefem wydziału. - Opuścił siwiejące brwi. - Przykro mi. Los nie dał mu szansy.

- Dziękuję.

Zjadła kolejny kęs ryby i bezmyślnie przyglądała się jedzącym. Zabawne, tutaj, na dole, z dala od pracowni, nie miała tego dziwnego uczucia, że ktoś w nią wlepia wzrok. Cóż, brakowało Rossa. Może to jego wymowne spojrzenia powodowały ten dziwny dreszczyk między łopatkami.

Skupiła się znowu na mężczyźnie siedzącym po przeciwnej stronie stolika.

- Czy... przyjaźniliście się z ojcem?

Max otarł usta i wreszcie podniósł oczy. Zdawało się, że rozważa jej pytanie. Wreszcie lekko potrząsnął głową.

- Kontaktowaliśmy się tylko na gruncie zawodowym. Przykro mi, ale nie znałem go dobrze. Ale miał tylu innych przyjaciół.

- Tak - potwierdziła Kelly w zadumie. - Rzeczywiście, miał.

Ku ich przerażeniu w połowie popołudnia stało się jasne, że przewidywania, iż Joseph osłabnie, były błędne. Joseph urósł w wielkości i sile i zmierzał w kierunku ładu.

Wilson wraz z zespołem zgromadzili się przed największym z monitorów,

wyświetlających obraz z satelity.

- To efekt Fujiwhary - stwierdził ponuro Wilson. Transmisja z satelity pokazywała, że burze zbliżają się do siebie. Huragan Joseph najwyraźniej ścigał Katrin.

- Otrzymaliście informacje, czy wyspy koralowe Keys zostały już ewakuowane? - spytał Wilson.

Neil wręczył mu teleks.

- Potwierdzenie, sir. Ewakuacja w toku. Właśnie mieliśmy telefon z biura gubernatora. Patrole stanowe i biuro szeryfa koordynują przygotowania od Key West aż po Key Largo.

Wilson bacznie przyglądał się transmisji. Wszyscy naukowcy wydawali się zafascynowani, choć przygnębieni, kiedy przyglądali się, jak mroczne, wirujące burze powoli pełzają przez monitor.

- Coś takiego widziałem tylko raz w życiu - mruknął Neil, który stanął obok Kelly. - Co za widok!

Ross i Enrice pilnowali danych przekazywanych przez komputery zapisów prędkości wiatru, temperatury i ciśnienia. Błyskawicznie oddarli wydruk i podali go Wilsonowi.

Zdawało się, że Joseph przesunął się na północ, przechodząc nad Katrin, podczas gdy w ciągu godziny Katrin zwolniła i zmieniła kierunek.

Wilson nie spuszczał oka z monitora i w skupieniu przeglądał odczyty.

Na ekranie przed nimi rozpoczął się taniec. Kelly zorientowała się, że wstrzymuje oddech, kiedy burze zawirowały wokół siebie.

- Wzburzą ocean jak diabelski kocioł - zauważył Enrico.

Ross oddał ostatni raport, wręczył go Wilsonowi i stanął za Kelly, podziwiając wyjątkowy obraz jaśniejący na monitorze.

- Niczym para łyżwiarzy figurowych zbliżających się do siebie na lodzie - powiedział cicho Ross. - Już wydaje się, że mają się minąć, kiedy chwytają się za ręce i wirują wokół siebie.

Przycisnął dłonie do jej talii.

Kelly obserwowała dwie burze, które prześlizgują się nad wzburzonym oceanem, a potem, tak jak opisał to Ross, oszalałe zaczynają wirować w jednym wielkim kolisku, rozrywając pasma łączących je chmur.

- Jak tancerze na lodzie - usłyszała swój szept. Kelly pulsowały skronie pod wpływem zagrożenia huraganami i iskrzącego napięcia panującego w sali. Nie wiedziała, jak długo tak stoją. Wreszcie odezwał się Wilson. W jego głosie dało się wyczuć ulgę.

- Burza Katrin traci na sile - powiedział cicho. - Wygląda na to, że wiatr

słabnie.

Na monitorze wirujący tancerze rozdzielili się. Teraz naukowcy zajmą się śledzeniem huraganu Joseph, który zagrażał Florida Keys. I będą czekać z zapartym tchem, czy uderzy w ląd.

Scandalous

Rozdział 10

Windman uważał siebie za bystrego, jeśli nie genialnego naukowca. Fakt, że w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy profesja ścigania huraganów dotarła do publicznej świadomości, pominięto go przy awansie, przyprawiało go o wściekłość. Nigdy w pełni nie doceniono jego niekłamanych kompetencji w dziedzinie meteorologii i nigdy nie osiągnął kierowniczego stanowiska.

Niektórzy z jego poprzednich pracodawców dawali do zrozumienia, że ma trudności w nawiązywaniu kontaktów. Nie powiedzieli tego wprost, sugerowali jednak, że niekiedy ma złe podejście do ludzi. Nie czuł się wszakże nieszczęśliwy, kiedy skierowano go do zajmowania się techniczną stroną zagadnienia. Szczerze powiedziawszy, obecnie stało się to nawet pomocne.

Prawda, nigdy nie rozpatrywał swojej pracy w kategoriach takich jak ten komedian Sherman Tucker. A córka łowcy burz czerpała korzyści z reputacji ojca. Z łatwością mogłaby teraz pokrzyżować mu plany.

Windman głęboko gardził tymi, którym zbyt prosto przychodził sukces. Jego życie bynajmniej nie rozpieszczęło. Jednak zemsta znajdowała się już w zasięgu ręki. Zmiazdzenie córki Shermana Tuckera okazało się nie tylko irytujące, ale także niebezpieczne. Jeżeli ktokolwiek mógłby domyślić się, jaki on obrał sobie cel, to wyłącznie ona. Ona i ten przemądrzały symulator od burz, Ross King. Przypominał jego mistrza. Słyszał, że King dokonywał bohaterskich czynów w wojnie nad Zatoką. A teraz przybył tutaj, by odznaczyć się w roli łowcy burz.

Nie, taki obrót spraw wcale nie był po jego myśli. Windman musiał podjąć dalsze kroki, aby nic nie pokrzyżowało jego planów.

Ross siedział naprzeciwko Wilsona po drugiej stronie biurka. Między nimi leżały rozciągnięte błyszczące wydruki zdjęć satelitarnych, białe plamy stopniowo przekształcały się w wirujące chmury i wreszcie przeistoczyły się w huragan, w którym lecieli tego ranka. Ross ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w zdjęcia, kluczowe dla przewidzenia tego, jak rozwinie się huragan i jaki obierze kierunek.

- Na szczęście, zostały zapisane również w automatycznej pamięci - powiedział Wilson.

- Więc mówisz - odezwał się skrzywiony Ross - że te, które przeglądała Kelly, albo nie zostały zanotowane, albo wymazane, nim zdążyła zapisać je w pamięci na dyskietce.

- Zgadza się - potwierdził Wilson. Ross splótł ramiona, wyciągnął nogi przed

biurkiem Wilsona.

- Jesteś pewny, że wszystko wykonała prawidłowo? - Ross niechętnie zadał to pytanie.

- Ta dziewczyna nie jest tępą. Zamierzam wezwać ją tutaj za kilka minut i dowiedzieć się, choć domyślam się, co odpowie.

Ross wygiął w dół wargi. Czas zagrać z Wilsonem w otwarte karty.

- Ona nic nie wie jeszcze o moim prawdziwym przydziale tutaj. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, sam wolałbym jej o tym powiedzieć, na osobności.

Ross miał nieswoje poczucie zakłopotania, że zdradza komuś cokolwiek z prywatnego życia, gdy jednak Wilson w odpowiedzi uniósł brwi, w jego bystrych niebieskich oczach nie było żadnego osądu.

- Więc o to chodzi? Sądziłem, że wy dwoje bardzo się zbliżyliście do siebie w zeszły piątek w moim domu. - Wilson uśmiechnął się przelotnie. - Posłuchaj, nie spodziewałem się, że będziesz musiał powiedzieć jej, co tutaj robisz. Współpracuję z Biurem Zarządu Własnością Ziemią, bo chcę, żeby wszystkie moje działania były czyste i kryte, ale to ty prowadzisz śledztwo. Mnie twój stosunek do Kelly interesuje z dwóch innych powodów.

- A jakich to mianowicie?

Wilson zdjął okulary, przeczyścił je połą koszuli, włożył z powrotem.

- Przede wszystkim, winien to jestem jej ojcu. Kelly oczywiście jest dorosła i może robić to, na co ma ochotę. Ale ostrzegam cię, nie życzę sobie, byś ją skrzywdził.

- Nie zamierzam wyrzucić jej krzywdy - zapewnił Ross pospiesznie. - Gdyby żył jej ojciec, powtórzyłbym mu to samo.

- Świetnie. Drugi powód to ten, że muszę zrozumieć, dlaczego wszystkie te pomyłki są właśnie w nią wymierzone. Nie sądzę, by powstawały z jej winy. Czy masz jakieś dowody na to, że się mylę?

- Nie, sir. Obserwuję ją. Zna się na swojej pracy. Sprawdziłem jej opinię w Państwowym Centrum do Badań nad Zjawiskami Atmosferycznymi w Boulder.

Zyskała najwyższe oceny. Nie ma mowy, by partaczyła robotę.

- Bardzo dobrze. W takim razie musimy odnaleźć tego, kto jest za to odpowiedzialny.

Ross pilnie przypatrywał się starszemu mężczyźnie.

- Zatem zgadzasz się, aby powiedzieć jej o prowadzonym dochodzeniu.

Wilson westchnął, wyszedł zza biurka, stanął obrócony twarzą do wielkiej mapy na ścianie.

- Jeżeli ona jest celem, musi nam pomóc.

- Co to znaczy: „pomóc nam”? Przecież nie zamierzasz wystawiać jej na

niebezpieczeństwo?

- Nie. Prawdę mówiąc, pragnę ją przed nim uchronić. Ale ona nie chce nawet o tym słyszeć.

Ross patrzył przez niego niewidzącym wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się, że obowiązki zawodowe kolidują z osobistymi uczuciami, toteż doświadczał wewnętrznej niewygody.

Zacisnął zęby. Nie chciał, aby cokolwiek zmieniło te pełne miłości oddanie, jakie dostrzegał dzisiaj w jej cudownych oczach. Przez cały dzień, choć oboje byli ogromnie zajęci, kiedy tylko spotykały się ich spojrzenia, przenikało między nimi coś nowego. Zamierzała go przyjąć, on zaś czuł z tego powodu przeogromną satysfakcję.

A teraz miałyby się dowiedzieć, co jeszcze Ross porabia tutaj, w Centrum Huraganów. Sporo czasu minęło, nim zdołała pokonać swoje odczucia co do jego udziału w śmierci jej ojca. Czy powinien jej zdradzić, że nie grał z nią całkiem uczciwie? Jak tego dokonać? Zacisnął wargi, wyobrażając sobie, jaka będzie wściekła.

Wreszcie ponownie utkwiał wzrok w Wilsonie.

- Jeżeli uzyskam pańską zgodę, sir, powiem jej o wszystkim dziś wieczorem.
- Dobrze. Wobec tego jutro rano zamierzam znaleźć jej taką pracę, dzięki której nie będzie wystawiona na ryzyko. Te zdjęcia satelitarne są decydujące. Gdybym zostawił je wyłącznie jej pieczy, nie dotarłyby nigdy do służb meteorologicznych w całym naszym rejonie.

Wilson uniósł dłoń.

- Nie winię jej. Ale nie chcę dalej ryzykować.
- Rozumiem - powiedział Ross.

Ross zastał Kelly przy komputerze. Miała wyraz zdumienia na twarzy.

- Cześć - zawołał.
- Cześć - odparła, nie oderwała jednak oczu od monitora.

Jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

- To dziwne.
- Co takiego?
- Zdjęcia satelitarne, które przechwyciłam dziś rano. - Wyprostowała się powoli, zaczynało docierać do niej, co się stało. - Nie ma ich.

Ross przymknął oczy, powoli odetchnął.

- Wiem.

Przez ułamek sekundy zamarła w milczeniu.

- Skąd wiesz?
- Kelly, jest parę spraw, o których powinnaś się dowiedzieć. Musimy

porozmawiać.

Nawet nie podniosła wzroku, siedziała wpatrzona w puste miejsca, gdzie powinny znajdować się jej pliki. Wyglądało to tak, jak gdyby kontemplowała głęboką wodę i zastanawiała się, co z nią począć.

To, że była taka spokojna i cicha, zaniepokoiło Rossa.

- Kelly?

Wtedy w mgnieniu oka zerwała się z fotela i wtargnęła do gabinetu Wilsona, niemal zderzając się z nim w progu. Przepchnęła się obok niego niczym grecka furia, obaj mężczyźni popędzili za nią.

Dostrzegła leżące na biurku zdjęcia satelitarne i jedno po drugim odrzucała je na bok.

- Gdzie ona jest? - mamrotała.

- Co? - dopytywał się Ross, który stanął obok. Jednak wściekłość w jej oczach pozbawiona była nawet odrobiny hysterii. Tylko poczucie winy i żar determinacji.

- Dyskietka - powiedziała szperając w zdjęciach. - Muszę sprawdzić dyskietkę.

- Kelly, przestań - zawołał Ross.

Chwycił jej dłonie i przyciągnął do siebie ramiona.

- Dyskietka jest pusta - rzekł, zmuszając, by na niego popatrzyła. - Nie musisz jej szukać.

Wtedy ujrzał, jak łzy napłynęły jej do oczu, a wargi zaczęły drżeć. Serce łamało mu się na widok tego, co z nią uczyniło napięcie. Choć Wilson dyskretnie stanął zaledwie kilka kroków dalej, objął ją ramionami i przygarnął do siebie.

- Nie płacz, kochanie. Wszystko w porządku. Usłyszał, jak raz zaszlochotała, ale potem zacisnęła pięści i zaczęła bić w jego pierś.

- Nic nie jest w porządku. Ktoś mi to robi celowo. Muszę dowiedzieć się, kto.

- Wiem, wiem - powtarzał łagodnie Ross. Delikatnie przycisnął rękę do jej ramion, przygarniając ją bliżej. Kołysał nią, aż odzyskała nad sobą panowanie.

- Przepraszam - odezwała się. - Nie powinnam reagować w ten sposób.

Wilson ponownie znalazł się przy swoim biurku.

- Kelly, w porządku. My rozumiemy. Zamrugowała powiekami i przez chwilę pociągała nosem. Potem przeniosta wzrok od jednego do drugiego.

O, nie, pomyślał Ross. Za chwilę się stanie. Przemówił pierwszy, usiłując uśmierzyć reakcję, która, jak wiedział, zaraz nastąpi.

- Kelly, współpracuję z Wilsonem, by dotrzeć do sedna tej sprawy. Chciałem powiedzieć ci, ale nie mogłem.

Ponownie pokręciła głową raz ku jednemu, raz ku drugiemu. Potem wbiła wzrok w jego twarz.

- Och?

Odchrząknął. Nie chciał uczynić tego w czyjejkolwiek obecności, ale teraz nie miał innego wyboru.

- O tym właśnie pragnąłem z tobą porozmawiać. Na osobności. Zamierzałem wieczorem wszystko ci wyjaśnić.

Dostrzegł, jak napięta szczękę, wargi zacisnęła w wąską kreskę.

- Co wyjaśnić?

Obronnym gestem uniósł dłoń.

- Co tutaj robię.

Opuściła zmysłowe powieki, nie było to jednak zapraszające. Zaczęła być nieufna, skuliła się w sobie, jakby próbowała osłonić się przed resztą świata.

- Sądziłam, że podobnie jak my wszyscy przyjechałeś badać huragany.

Zerknęła szybko na Wilsona, potem cofnęła się i oparła o jego biurko. Założyła ramiona na piersiach.

- O, rozumiem. Jest coś więcej. Cóż, nie będzie to pierwszy raz, kiedy znajdę się poza nawiasem planów wydziału. Dlaczego nagle postanowiliście mnie tutaj przyjąć? Rzucaliście psu kość?

Ross postąpił krok bliżej, powstrzymały go jednak jej ciskające płomienie oczy.

- Kelly, to nie jest tak.

Piorunowała ich obu wzrokiem. Wilson nagle zainteresował się kupką papierów leżącą z boku biurka. No i świetnie, pomyślał Ross. To sprawa między Kelly a mną. Wilson był teraz w gabinecie niczym w pułapce. Współdziałał w tej sprawie i nie chciał po prostu wyjść. Mimo to sytuacja nie mogłaby być bardziej krępująca.

- Kelly, posłuchaj. Istnieje wyjaśnienie. Przysłało mnie tutaj Biuro Zarządu Własnością Ziemią, bym przeprowadził śledztwo nad serią pomyłek, które zaczęły następować w zawrotnym tempie.

- Aha, pojmuję. - Zmierzyła go od stóp do głów spojrzeniem. - Cóż, zawsze robiłeś coś wyjątkowego, o czym reszta z nas miała dowiedzieć się dopiero później. Kiedyś byłeś błyskotliwym magistrantem, prawda? Zauroczyłeś profesorów, że zaproponowano ci posadę asystenta, byś mógł się popisywać.

- Cholera jasna, Kelly, nie! Ten przydział nie ma z tym nic wspólnego. Przestań kierować się emocjami i zacznij myśleć. Wszyscy tutaj jesteśmy po tej samej stronie.

To ją uciszyło. Jednakże jej wzrok mówił, że jeszcze będzie musiał zapłacić za te słowa.

Minęła długa chwila, nim zdołali nad sobą zapanować. Potem nadzwyczajnie spokojnym głosem odezwała się Kelly:

- Po prostu wolałabym, abys od początku mi się do tego przyznał.

Ross nie wiedział, co odpowiedzieć, zdawał sobie jednak sprawę, że musi mieć

ślągalną minę. Starał się dotrzeć do niej ponad przepaścią, jaka zaczęła się między nimi tworzyć. Zaufaj mi, chciał szepnąć jej w ucho. Ale wiedział, że na to nie zasłużył.

Wilson odchrząknął.

- To moja wina.

Oboje spojrzeli na niego.

- Wiedziałem, że Ross prowadzi tutaj śledztwo, miało być tajne. Zgodziłem się, że nikt z załogi nie powinien się o nim dowiedzieć.

- Nawet ja? - zadrwiła Kelly, patrząc na niego oskarżycielsko.

Twarz Wilsona poczerwieniała.

- Tylko przez wzgląd na policję. Nie dlatego, że ci nie ufamy, Kelly. Powinnaś to rozumieć.

Nie sprzeciwiła się.

- Rozumiem - powiedziała, choć tonem formalnym i służbowym.

- Nie mogę jeszcze tego udowodnić - usiłował tłumaczyć Ross - ale ktokolwiek ingerował w twoje prognozy, jest chyba zarozumiałcem, który myśli, że ma pomysł wpływania na pogodę. Prawdopodobnie on albo ona postępuje nieracjonalnie. Wszystko to przemawia za tym, by fakt, iż ktoś prowadzi oficjalne śledztwo, zachować w tajemnicy.

Wilson poparł jego argumenty.

- Widzisz, Kelly, jeśli naciskalibyśmy na przestępcę zbyt mocno, mógłby stać się jeszcze niebezpieczniejszy.

- Och - uniosła brwi. - Jak temu zamierzacie zapobiec? Zamknąć mnie w komórce?

Ross wyczytał rozpacz na twarzy Wilsona. Cóż, Kelly należała do kobiet, które z łatwością doprowadzają człowieka do rozpacz. Miała tak piekielnie silny charakter. Po prostu musiała brać się za bary z życiem.

Wilson westchnął.

- Nie jestem pewien. Przede wszystkim postaraj się upewnić, że nie wystawiasz się na niebezpieczeństwo. I pilnuj Annie.

Teraz w oczach Kelly pojawiły się gwałtowne, obronne błyski.

- Nie sądzisz chyba, że ten szalenciec ma coś przeciwko Annie?

Wilson wymienił spojrzenia z Rossem.

- Nie możemy zlekceważyć takiej możliwości. Nie wiemy, czego chce ten człowiek. Czy ma jakieś osobiste powody, czy też kierują nim motywy finansowe, że pragnie zakłócić prognozy pogody.

Kelly spoważniała.

- Rozumiem.

Wilson okrążył biurko i obiema dłońmi uchwycił się fotela.

- Ross ma kontakty z agentami federalnymi. Sprawdziliśmy życiorysy. Teraz zamierzamy zająć się pozycją majątkową ludzi.

- To znaczy dowiedzieć się, kto potrzebuje pieniędzy i czy którakolwiek z zatrudnionych tutaj osób wydaje więcej niż pozwalałaby na to jej pensja.

- Zgadza się.

Kelly ponownie spojrzała na Rossa, choć już wzrokiem innym, jakby teraz ujrzała go w nowym świetle. Jako prywatnego detektywa zatrudnionego w rządowej agencji. Dałby obciąć sobie głowę, że odsuwała się od niego, powoli, lecz stanowczo zamykając przed nim serce.

- Kelly, pozwól, że odwiedzę cię w domu. Muszę więcej porozmawiać z tobą na ten temat.

Zesztywniała.

- To doprawdy nie jest konieczne. Teraz, kiedy zostałam ostrzeżona, podejmę dodatkowe środki ostrożności.

- Kelly, chcę wynająć dla ciebie ochronę - wtrącił się Wilson. - Mam dostęp do firmy ochroniarskiej, z którą chciałbym się skontaktować.

- To znaczy, że zamierzasz otoczyć mnie nadzorem.

- Nie nadzorem. Ochroną.

- Aha. - Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, co sądzi o tej różnicy. - Proszę uprzejmie, rób to, co uważasz za najlepsze. - Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi. Tuż przed wyjściem przystanęła, rękę wsparła o framugę i obróciła się, by spojrzeć na Wilsona: - Przy okazji. Przykro mi z powodu pustej dyskietki. Powinnam była ją sprawdzić przed oddaniem. Przypuszczam, że zawinił pośpiech w przygotowaniu się do lotu.

Wilson machnięciem dłoni odsunął jej usprawiedliwienia.

- Nie twoja wina. Jeżeli na plikach niczego nie było, nie mogło też znaleźć się na dyskietce. Wezwę Michaela, by od razu się tym zajął. Chcemy ci dać nowy komputer. Zachodzi możliwość, że ktokolwiek dokonuje tych sztuczek, zaprogramował twój komputer tak, by źle funkcjonował. Wymienimy go więc na inny, a tym zajmie się Michael. Kiwnęła głową.

- Dziękuję. Lepiej pojedę po Annie, nim burza rozpęta się na dobre.

Nie obejrzała się, opuszczając gabinet Wilsona. Na dworze wiatr zaczął wyć, przypominając, w jak trudnej znaleźli się sytuacji. Wzdłuż całego wybrzeża właściciele zabijali deskami swoje domy i zabezpieczali majątki przed nawałnicą, jaka z pewnością nastąpi.

Ona sama czuła się tak, jakby i przez nią przeszła nawałnica. Ruszyła do damskiej szatni, żeby obmyć twarz zimną wodą. Lecz nawet to nie ochłodziło jej

palących policzków. Cholera! Wściekła była, że okazała swoje emocje. Ale była tak wstrząśnięta, że Ross trzymał coś przed nią w tajemnicy. W tej chwili nie liczył się fakt, że jest to tajne z profesjonalnego punktu widzenia. Nie mogła pohamować złości. I spodziewała się, że Wilson jest na nią równie zły.

Kiedy wróciła do biurka, nie odezwała się do nikogo. Koledzy najwyraźniej odczytali jej nastrój i zostawili ją w spokoju.

Godzinę później Kelly wykręciła numer telefonu niani.

- Pani Watson? Tu Kelly. Ja zabiorę Annie. Nie, nie musi pani jechać. Słyszała pani prognozy pogody? Dobrze. Proszę zachować ostrożność. Znosi się na ciężkie chwile.

Odłożyła słuchawkę, narzuciła pelerynę i skierowała się do windy. Kroki za plecami zdradziły jej, że Ross zamierza ją złapać. Pragnęła, by drzwi windy zamknęły mu się przed nosem, zdążył jednak wśliznąć się do środka.

Usiłowała się odsunąć, jednak ciasnota windy sprawiła, że znalazł się tuż przy niej. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem ze względu na obecność innych pasażerów i jak tylko drzwi rozsunęły się i wysiedli na parterze, ona pierwsza ruszyła do przodu.

- Kelly, poczekaj. Idę z tobą.
- Po co? - Nie przystanęła, nie Spojrzała też na niego.
- Bo chcę. Na dworze jest piekło. Pozwól mi prowadzić.
- Chcę pojechać po Annie i kupić coś do jedzenia.
- Wiem. Przynajmniej pozwól mi sięść za kierownicą.

Zawahała się. W godzinach szczytu podczas deszczu ruch będzie paskudny. Nie podobało się jej, że odda kontrolę w ręce Rossa, ale przecież musiała szybko dostać się do szkoły. Jej samochód nie zachowywał się najlepiej podczas takiej pogody. BMW Rossa jest bezpieczniejsze.

- W porządku - zgodziła się. - Weźmiemy twój wóz.

Ruszyła za nim przez ulewę do jego auta, wśliznęła się do środka. Ross nie tracił czasu i ruszając nie odezwał się. Wyjaśniła mu, jak jedzie się do szkoły, potem kurczowo chwyciła się rączki nad drzwiami po swojej stronie.

Gdy tylko zajechali pod niski, różowy betonowy blok, wyskoczyła z samochodu na deszcz. Annie wraz z innymi dziećmi czekała już przy drzwiach na swojego kierowcę. Kelly wypatrzyła siostrzenicę obok małego chłopca, jej równolatka. Ta dwójka siedziała po turecku, pochylona nad rozłożoną między nimi książką. Kelly poczuła, jak ogarnia ją ciepłe uczucie. To miło widzieć, że Annie znalazła sobie przyjaciela. Teraz tylko musi dowiedzieć się, kim on jest.

- Witaj, Kelly. - To Sylvia Black, nauczycielka Annie. Była to frapująca młoda kobieta o krótko obciętych, ciemnych włosach, w luźnej fioletowej sukience,

przepasanej powiewającymi wstążkami.

- Annie - zawołała. - Przyjechała ciocia. Sylvia uśmiechnęła się do Kelly.

- A to Jonathan Whitaker. Bawili się dzisiaj razem, na przerwach. Mam wrażenie, że rozkwita między nimi przyjaźń.

- Jak miło - ucieszyła się Kelly.

I pomyślała smętnie, że Annie lepiej jednak niż jej ciotka dobiera sobie przyjaciół. Sięgnęła po rączkę dziewczynki.

- Dobry miałaś dzisiaj dzień w szkole?

Annie uśmiechnęła się porozumiewawczo do Sylvii i kiwnęła głową.

- Tak. Dostałam szóstkę z ortografii. Kelly rozpromieniła się.

- Wspaniale. Zerknęła na Sylwię.

- Obawiam się, że cię zatrzymaliśmy. Są straszne korki.

- Żaden kłopot. I tak zostanę, póki nie odjadą ostatnie dzieci. - Sylvia wyjrzała na niskie, ciemne chmury. - Znosi się na coś poważnego? Słyszałam, że ewakuowano Keys.

Kelly postarała się, by jej głos nie zabrzmiał alarmująco.

- Trudno powiedzieć. Jeżeli burza natknie się na chłodne powietrze nad lądem, osłabnie. Należy jednak się przygotować. Czy mieszkasz w głębi lądu?

Sylvia kiwnęła potakująco głową.

- To dobrze. Tam jest mniejsze zagrożenie powodziowe.

Nie powiedziała nic więcej, nazbyt zdenerwowana mylnymi prognozami, jakie ostatnio sporządzali, i jej własną, upokarzającą w tym rolę.

Sylvia pomachała im na pożegnanie i wróciła do reszty czekających dzieciaków. Kiedy odchodziły, Kelly odwróciła się i dobrze przyjrzała budynkowi szkoły. Solidne betonowe mury wyglądały tak, jakby mogły się oprzeć naporowi burzy.

Ross trzymał otwarty samochód, Annie usiadła z tyłu. Jak tylko zamknęły się za nią drzwiczki, Kelly wśliznęła się na przednie siedzenie.

- Cześć, Annie - odezwał się Ross.

- Dzień dobry.

- Zapnij pas, kochanie.

Zaczął nachylać się między siedzeniami, by pomóc dziewczynce, lecz Kelly powstrzymała go.

- Ja się tym zajmę.

Wtedy uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Żeby dostać się między siedzenia, musiała przybliżyć się do Rossa. On wciąż siedział bokiem i ani myślał się uchylić. Usiłowała zlekceważyć wzbudzoną przez jego bliskość falę pożądania. Jej ciało staczało ciągną walkę z umysłem, w którym aż wirowało od rewelacji postyszanych w bazie. Wciąż czuła palącą niechęć do Rossa za to, że zataił przed nią swoją misję.

Jak mogłaby zaufać powodom, dla których się do niej zbliżył? Jak mogłaby zrozumieć kierujące nim motywy? Ross włączył wolny bieg i najwyraźniej pograżył się w zadumie. Potem głośno wypowiedział nurtujące go myśli.

- Plaże już odczuwają ataki huraganu - stwierdził, mówiąc o wysokich falach, które do tej pory pochłonęły ochronne wydmy i zalały ląd za nimi. - Wzdłuż całego wybrzeża podnosi się poziom wody. A twój apartament znajduje się zbyt blisko brzegu.

Kelly zapięła pas i spojrzała przelotnie na Rossa.

- Mieszkamy na pierwszym piętrze - przypomniała, zdając sobie sprawę, że to słaby argument.

- Bezpieczniejsze byłobyście w bazie - stwierdził, sygnalizując kierunkowskazem włączenie się w ruch uliczny.

- Tam również może dotrzeć woda - zauważyła Kelly.

- Wiem. Ale baza jest lepiej przygotowana. A budynki są solidniejsze niż twój ze stiuku. Zabieram was tam.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie. Kelly wiedziała, że Ross troszczy się o jej bezpieczeństwo, lecz mimo to złościł ją.

- Tak czy siak, będziemy potrzebni Wilsonowi - dodał, postępując się i tym argumentem. - Musimy mieć oko na drogę obu huraganów.

Wilson mnie nie potrzebuje, chciała powiedzieć Kelly. Sprowadzam jedynie kłopoty. Ale musiała myśleć o Annie. Jeżeli ma być powódź, wolała mieć dziewczynkę przy sobie, nawet jeśli oznaczałoby to noc spędzoną gdzieś w bazie w śpiworze na łożku polowym. Obróciła się ku siedzącej z tyłu siostrzenicy.

- A co ty na to, Annie? Chciałabyś pojechać z nami do bazy?

Złote oczy dziewczynki stały się okrągłe jak talerzyki.

- Mogę? Mogę obejrzeć zdjęcia huraganu?

Ross zwrócił się do niej z uśmiechem:

- Pokażę ci, jak tworzy się jego model na komputerze. - Spojrzał pytająco na Kelly. - Oczywiście za zgodą twojej cioci.

Surowa, wymagająca ciotka, z którą nie ma żadnej zabawy, pomyślała z niechęcią Kelly. Ross teraz starał się oczarować Annie. Poczwała, jak zaciska szczękę. Jeżeli sądzi, że trafi do niej za pośrednictwem Annie, to grubo się myli, jednak rozluźniła mięśnie twarzy i uśmiechnęła się do siostrzenicy.

- Zgoda. Możesz obejrzeć komputerową symulację. Ale musisz też odrobić lekcje na jutro.

Uszczęśliwiona Annie podskakiwała na siedzeniu.

- Jak nadejdzie huragan, to szkoła i tak będzie jutro zamknięta. Zdążę więc odrobić lekcje.

Siła złego na jednego, pomyślała Kelly.

Scandalous

Rozdział 11

Wilson stał pośrodku ich przypominającego kształtem końską podkowę stanowiska pracy.

- Spodziewamy się, że huragan Joseph uderzy w głąb lądu o dwudziestej pierwszej zero zero.

Członkowie zespołu wymienili spojrzenia. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że oznacza to, iż będą tu biwakować przez resztę nocy.

- Żaden kłopot, szefie - odezwał się Neil. - A co z żarciem? Można mieć nadzieję, że w kafeterii dostaniemy parę sandwiczów?

- Posłałam Jean, aby się tym zajęła. Wszystkim posiadającym rodziny, które potrzebują ich w domu, pozwalam na opuszczenie bazy. Wolałbym jednak mieć tutaj jak najwięcej rąk do pomocy.

Nikt się nie odezwał.

- Świetnie - powiedział Wilson, obrzucając ich pełnym aprobaty spojrzeniem. - Na piętrze zostaną posłane łózka polowe. Będziemy pracować na zmianę. Potem, jak Jean przyniesie już wam kanapki, dopilnuje wszystkiego.

Kiedy reszta ekipy rozproszyła się, by porozumieć się z rodzinami, Kelly podeszła do Wilsona.

- Może mogłabym pomóc Jean? - spytała cicho. Nie chciała przyznać się do szaleńczego podejrzenia, że wszystko, czego się dotknie, obraca się w perzynę. Wywodziła się ze zdrowej, praktycznej rodziny. Zamierzała więc iść tam, gdzie naprawdę mogłaby okazać się pomocna.

Wilson najwyraźniej podążył za tokiem jej rozumowania. Ujrzała pośpenny, przeprasający wyraz jego oczu, jak gdyby żałował, że ma to przybrać taki obrót.

- Zgoda. Idź pomóc Jean. Zajmę się Annie. Lekcje może odrobić na moim stole. Przy takim nawale roboty Michael prawdopodobnie aż do jutra nie znajdzie czasu, by przetączyć komputery.

- W takim razie zajmę się czymś pożytecznym - stwierdziła.

Wyczuła, że Wilson jest zadowolony z jej decyzji. Położył dłoń na jej ramieniu i lekko je uściśnął.

- Doceniam takie stanowisko.

Przystanąła przy komputerze Rossa, by powiedzieć Annie, gdzie idzie. Dziewczynka siedziała w fotelu przed ekranem, pochłonięta przesuwanym się na nim kolorowym modelem huraganu. Uczcie ich od małego, pomyślała. Było i

dobre, i pożyteczne, że pokolenie Annie od dziecka oswajało się z komputerami. Jednak Kelly zależało również na tym, by nauczyć Annie innych umiejętności przetrwania. Na przykład, jak radzić sobie z aroganckimi, butnymi samcami.

- Annie, chcę pomóc asystentce Wilsona, Jean, w przygotowaniach do wieczoru. Możesz zostać tutaj i przez chwilę towarzyszyć Rossowi. Potem chcę, żebyś poszła do biura Wilsona i tam odrobiła lekcje. Pozwoli ci uczyć się przy dużym stole. Czy to nie miłe z jego strony?

Annie oderwała wzrok od kręcącego się, wirującego modelu.

- Dobrze. Jak długo cię nie będzie?

- Zajrzę tutaj za pół godziny.

Annie znowu skupiła się na monitorze komputera.

- Skąd wiesz, jaki jest kolor burzy? - spytała Rossa.

Kelly odwróciła się, kiedy aksamitnie modulowanym głosem wyjaśniał, w jaki sposób dane ze stacji na oceanie przekazywane są do komputera, i ruszyła na poszukiwanie Jean. Wpadła na Neila wychodzącego z windy.

- Jeżeli szukasz Jean, to właśnie poszła na dół. Kelly spojrzała na guziki windy i spostrzegła, że ta, do której musiała wsiąść Jean, zjeżdża do sutereny. Pozostałe były na pierwszym piętrze.

- Dzięki, szybciej będzie schodami. Pociągnęła drzwi prowadzące na klatkę schodową, która służyła za drogę ewakuacyjną, potem puściła je, by się zamknęły. Echo, rozlegające się na schodach, było nieco niesamowite. Nie daj się zwariować, zbesztaj siebie. Chwyciwszy się metalowej poręczy, pospieszyła w dół. Kiedy zakręciła na kolejnym podejściu, usłyszała nad sobą czyjeś kroki. Zdumiona, podniosła głowę, by sprawdzić, kogo jeszcze znudziło czekanie na windę i wybrał schody. Jednak kroki umilkły. Poczekała, aż otworzą się drzwi i osoba ta pozwoli, by się zatrzasnęły.

Żadnego dźwięku. Wstrzymała oddech. Potem wypuściła powietrze i ruszyła dalej, teraz ciszej, mocno chwytając się poręczy. I znowu usłyszała kroki.

Obchodząc podest między parterem a suteroną drugi raz przystanąła. Podobnie kroki na górze.

Już prawie była gotowa zawrócić i wejść na górę, by stawić czoło temu, kto tak się z nią zabawia. Jednak lęk przed znalezieniem się w pułapce z nieznanym prześladowcą sprawił, że spotniały jej dłonie. Bez tchu, ze stukotem pokonała ostatnie schody i z ulgą otworzyła drzwi na dole. Kiedy stanęła w ich progu, wróciła jej odwaga. Zatrzasnęła je, nie wchodząc do środka, potem przykucnęła za schodami, czekając na tego, kto za nią podążył, by znalazł się tutaj i wszedł przez drzwi.

Wstrzymała oddech. Gdy natężyła słuch, dotarł do niej dźwięk czyjegoś

oddechu. Krok. Dwa kroki. Przyłgnęła plecami do betonowych schodów, modląc się, by ta osoba nie odwróciła się i nie spostrzegła jej.

Mijały sekundy i nikt się nie pojawiał. Kelly zeszywniała, w tej skulonej pozycji zaczęły boleć ją mięśnie. Powoli podniosła głowę, starając się coś zobaczyć. Ledwie pochwyciła wzrokiem zarys czyjejś dłoni zaciśniętej na poręczy. Potem jakiś szmer. Ten ktoś wcale nie starał się zachowywać cicho. Jednak kroki oddalały się.

Prześladowca nie wpadł w pułapkę. Albo nie chciał przechodzić drzwiami na korytarz w suterenie, żeby go ktoś nie zobaczył. Gdy kroki zadźwięczały na górze, wstała. Usłyszała, jak ze skrzypieniem otwierają się i zamykają drzwi na parterze.

Była sama.

Ostrożnie uczyniła krok w stronę drzwi, które, jak wiedziała, były otwarte. Wciąż zerknęła w górę na wypadek, gdyby prześladowca miał igrać z nią w ten sam sposób, w jaki ona chciała go przechytrzyć.

Jednak nikt nie zbiegł po schodach. W ciągu następnej minuty przemknęła przez drzwi i korytarz suterenu. Z kafeterii dobiegały czyjeś głosy i w następnej sekundzie przez korytarz przeszła dwójka ludzi.

Kelly uświadomiła sobie, że się trzęsie. Ktoś śledził ją na klatce schodowej - tego była pewna. Objęła się ramionami, by powstrzymać drżenie, i ruszyła w stronę kojącego gwaru i ruchu, starając się domyślić, kogo widziała na schodach.

Neila! Niektóre osoby słyszały, jak mówiła, że idzie poszukać Jean, ale tylko jeden Neil był przy windach, kiedy ona poszła schodami.

To nie miało sensu. Cóż Neil mógłby mieć przeciwko- niej? Zaczęła rozmyślać o życiorysach sprawdzanych przez Rossa. Kiedy znajdą chwilę na osobności, musi koniecznie dowiedzieć się, czy w biografii tego niewinnie wyglądającego specjalisty od radarów jest coś pokrętnego.

Znalazła Jean w kuchni. Pakowała kanapki przygotowane przez szefa kuchni. Zwykle kafeteria nie wydaje kolacji, musiała więc poszukać do pomocy kogoś, kto jeszcze pracował nad przygotowaniem jutrzejszego lunchu.

- Cześć - zagadnęła Jean, opierając rękę o kuchenny stół z nierdzewnej stali.
- Cześć - uśmiechnęła się Jean. - Przyszłaś pomóc?
- Tak, pomyślałam, że mogę zrobić coś pożytecznego. - Dla odmiany, niemal dodała, ale ugryzła się w język. - Pomogę ci to zanieść.
- Świetnie. Kuchmistrz Jeremiaś przygotował po dwa sandwicze dla każdego. Na górze czekają głodni mężczyźni. - Jean cicho jęknęła.

Kelly zdobyła się na uśmiech z tego żartu, choć podejrzewała, że to narzeczony Jean usiłował przed chwilą napędzić jej potężnego stracha na schodach. Wzięła pudełko z sandwiczami, Jean zaś wielkie, kwadratowe pudło pełne jabłek oraz ziemniaczanych i kukurydzianych chrupek.

- Wrócimy po napoje i ciasteczka - powiedziała Jean Jeremiahowi, kiedy obie ruszyły z jedzeniem.

Zaniósł swój ciężar do wind. Kelly podejrzliwym wzrokiem zajrzała na klatkę schodową. Łokciem nacisnęła guzik, potem oparła pudło o ścianę.

- Ty też zostajesz? - spytała Jean. Asystentka wzruszyła krągłymi ramionami.
- Straciłam lekcję ćwiczeń gimnastycznych. Ale szef potrzebuje mnie tutaj.
- Aha, powiedziałam Wilsonowi, że pomogę ci także z łózkami. Jeżeli nie masz

nic przeciwko temu.

Jean szerzej otworzyła piwne oczy. - Jasne, jeśli nie jesteś zajęta.

- Żaden problem.

Nie chciała wyjaśniać plotkarskiej asystentce, dlaczego zajmuje się pracą fizyczną, zamiast oglądać zdjęcia satelitarne.

Wsiadły do windy, która z piskiem ruszyła w górę. Nadarzała się idealna okazja do wypytania Jean o Neila. Już formowała w głowie pytanie, kiedy Jean zerknęła na guziki windy.

- Oho, zapomnieliśmy nacisnąć jedynekę. No tak, przypuszczam, że trochę pojeździmy.

Świetnie, pomyślała Kelly, balansując pudłem z sandwiczami na poręczy przy ścianie. Więcej czasu, by wykombinować, jak naprowadzić Jean na Neila. Od jak dawna się znają? Jak dobrze go zna?

Uśmiechnęły się do siebie z Jean uprzejmie, Kelly zmagając się z sobą, by nie mieć takiej napiętej miny.

Już otworzyła usta, żeby się odezwać, kiedy nagle winda zaczęła się pod nimi zapadać, a potem zatrzymała się ze wstrząsem.

- Co...? - prychnęła zniecierpliwiona Jean.

Obie zerknęły na tabliczkę. Palił się guzik trzeciego piętra, ale drzwi pozostały zamknięte.

Jean naciskała guziki. Kilkanaście. Potem wszystkie jednocześnie. Winda ani drgnęła.

Kelly odstawiła pudło z kanapkami na podłogę.

- Uwięźliśmy?
- Na to wygląda - potwierdziła Jean.

Starła się nie okazywać paniki, ale Kelly mogła dostrzec przestrach w jej oczach. Podeszła do tabliczki z przyciskami. Kiedy nacisnęła czerwony alarm, usłyszały nad sobą i poniżej dźwięk ręcznego dzwonka.

- Ktoś się pojawi - orzekła Kelly. Próbowwała uśmiechnąć się do Jean uspokajająco.

Sama jednak wcale nie czuła się spokojniejsza. Narastający strach stłumiła

logicznym tłumaczeniem, że to po prostu awaria mechanizmu. Albo to, albo w budynku wysiadła elektryczność. W tej malej skrzynce wciąż paliło się światło, zasilane z awaryjnej baterii w suficie. Ale fluorescencyjna lampa przestała oblewać je jasnym światłem.

Raz po raz przyciskały alarm.

- Może spróbujemy krzyczeć - zaproponowała Jean. Kelly kiwnęła głową.
- Raz, dwa, trzy.

Jednocześnie zaczęły krzyczeć w górę.

- Hej, pomocy. Uwięźliśmy tutaj...

Kiedy zabrakło im tchu, umilkły. Usłyszały, jak ktoś wali w zewnętrzne drzwi nad ich głowami. Odkrzyknął im czyjś przytłumiony głos.

- Jesteśmy tu, na dole - zawołała Kelly.

Potem od spodu rozległo się bębnienie. Krzyczały po kolei z Jean, aż wydało się im, że ktoś ustalił ich położenie. Potem głosy na zewnątrz zamilkły, lecz Kelly poczuła się odrobinę pewniej. Pomoc jest w drodze.

Obie kobiety usiadły na podłodze.

- Jesteś głodna? - spytała Kelly, usiłując żartem rozładować napięcie.

Przebywanie w tym zamknięciu mogło przyprawić o klaustrofobię, lecz przecież szybko się stąd wydostaną.

- Od jak dawna znasz Neila? - spytała.

Wiedziała, że to pytanie zadziwi Jean, zdawała sobie sprawę, że ją zaskoczy. Miała więc czas, by przyrzeć się reakcji dziewczyny.

Lecz jeśli spodziewała się nerwowego rumieńca, miny winowajczynie czy delikatnej urazy, nic takiego się nie zdarzyło. Jean zamruwała oczami, patrząc na nią, jak gdyby próbowała się odprężyć.

- Hm, chyba od jakiegoś roku. Poznałam go, kiedy podjął tutaj pracę. A dlaczego pytasz?

- Z ciekawości - odparła Kelly. - Żeby o czymś pogadać i zabić czas, póki nas stąd nie wydostaną.

- Aha.

Wzrok Jean poszybował w stronę sufitu, jakby rozważała, czy nie powinny spróbować się tam wspiąć.

Kelly dalej zagadywała ją o Neila.

- Czy ma jakąś rodzinę?

Jean ponownie na nią spojrzała. Potem jej wzrok zmiękł, jak gdyby ucieszyło ją to, że rozmawia o ukochanym mężczyźnie.

- Ma małego synka i była żoną. Nigdy ich nie poznałam, chociaż tego chciałam.

Kelly zdumiała się.

- Nie wiedziałam, że ma dziecko.

- Aha, nie jest to dla niego łatwe, musi płacić alimenty i utrzymywać dzieciaka.

- Czy jego była pracuje?

- Tak. Ale podejrzewam, że jako małżeństwo mieli kłopoty finansowe. Sądzę, że dlatego rozpadł się ich związek. - Utopili forszę w zwariowanym interesie.

Dokładnie tak, zainwestowali w statek wycieczkowy, który zatonał. Namówili do tego przedsięwzięcia również przyjaciół. Neil stara się ich spłacić. Dlatego zawsze rozgląda się za dodatkową robotą, żeby zdobyć ekstra pieniądze.

- Przykro to słyszeć. Nie wiedziałam. Jean wzruszyła ramionami.

- Wszyscy mamy swoje kłopoty, prawda?

Kelly przetrawiała te nowiny w głowie. Człowieka, który ma finansowe kłopoty, może podkupić ktoś, kto zażąda od niego, by dokonał jakiegoś aktu sabotażu. A może miał jakieś inne, bardziej szalone plany, by zapewnić sobie dodatkowe dochody? Musiała dowiedzieć się, jakiej „dodatkowej roboty” miał się Neil.

Dudnienie w podłogę przerwało im rozmowę. Po kilku minutach drzwi otworzono siłą, wpuszczając błogostawione powietrze. Serce Kelly zaczęło mocniej uderzać, kiedy Ross wychylił się, by po nią sięgnąć.

- Nic ci się nie stało?

Na twarzy miał wyraz groźnej determinacji, jak gdyby zamierzał stoczyć bitwę z osobą za to odpowiedzialną.

- Nic - zapewniła, puls bił jej szybciej na myśl, że zostaną uwolnione. - Ale jeszcze kilka minut i sandwicze przeszłyby do historii.

Ross chwycił ją w ramiona i pomógł zejść, z całych sił obejmując. Ponad jego ramieniem dostrzegła robotnika «w kombinezonie, który miał pomóc Jean. Gdzie się podział Neil?

Jean przepchnęła się na zewnątrz, potem wskazała na pudełko z jedzeniem. Robotnik ściągnął je na dół. Wreszcie Ross puścił Kelly.

- Co się stało? - zażądał wyjaśnień. Wzruszyła ramionami, schylając się po pudełko z sandwiczami. Jednak Ross powstrzymał ją i sam je podniósł.

- Nie mam pojęcia. Zapomnialiśmy z Jean nacisnąć na właściwe piętro. Więc winda ruszyła aż na trzecie. Jakby usunęła się nam spod stóp, potem stanęła.

Ross wodził wściekłym, chmurnym spojrzeniem. Potem odezwał się do mężczyzny w kombinezonie, który pomagał Jean z jej pudełkiem pełnym owoców i chrupek.

- Kiedy po raz ostatni konserwowano te dźwigi? - warknął.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Konserwuje się je co trzy tygodnie - wyjaśnił bez pośpiechu. - Ale pan wie, są przestarzałe. Czasami wysiadają. To się zdarza.

- Cóż, proszę wobec tego dać nam znać, co spowodowało awarię mechanizmu. Pan Quindry chce wiedzieć. Zrozumiał pan?

- Tak, sir. Poinformuję pana Quindry'ego, jak coś znajdę.

Ruszyli korytarzem. Kelly odezwała się przyciszonym głosem:

- Nie sądzisz, że ktoś celowo zatrzymał nas między piętrami? Jak mu się to udało? I z jakiego powodu?

Kiedy weszli do pokoju operacyjnego, był wciąż zamyślony.

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Zawahała się. Pomyślała, czy nie powiedzieć mu o intruzie na klatce schodowej, ale mogła usłyszeć ją Jean, ta zaś pewnie pobiegłaby do Neila i przekazała mu, że Kelly go podejrzewa. Poza tym, wołała nie kapitulować przed Rossem w ten sposób, przed nim i jego śledztwem. Na razie przekona się, co zdoła odnaleźć na własną rękę.

Ale nawet teraz doświadczała jeszcze ulgi, jak wówczas, gdy ściągał ją w dół w swoich ramionach. Wciąż drżała, czuła absurdalną chęć, by odwrócić się i znowu ją objąć. Czyżby postradała zmysły? Jak mogła wspominać jego żarliwe pocałunki i siłę, która przenikała w nią z jego mocnego, sprawnego ciała? Musi nad sobą zapanować.

- Gdzie Annie? - spytała, celowo przerywając tok swoich myśli.

- Odrabia lekcje. Ma się świetnie.

Kelly odstawiła pudełko i pospieszyła do gabinetu Wilsona. Annie podniosła głowę i zobaczywszy ją, ześliznęła się z krzesła. Podbiegła, by ciocia ją przytuliła.

- Powiedziano mi, że utknęłyście w windzie - powiedziała.

Kelly uściskała dziewczynkę.

- Tak, ale wyciągnięto nas. Już wszystko w porządku.

- Bałaś się? - Annie spojrzała na Kelly rozszerzonymi, zaniepokojonymi oczami.

Kelly uśmiechnęła się.

- Odrobinę. Ale naciśnięliśmy alarm i głośny dzwonek sprowadził konserwatora.

Annie popukała się w głowę, jakby wiedziała swoje.

- Ross przyrzekł, że was wyciągnie. Czy cię ocalił? Kelly westchnęła z rozpaczą.

- Tak, pomógł nam. Annie kiwnęła głową.

- Tak myślałam.

Kelly nie wiedziała, czy cieszyć się, czy złościć, że Ross owinął sobie jej siostrzenicę wokół palca.

- Przyniosłyśmy coś do jedzenia. Idź wziąć kanapkę.

Praca ustała na kilka minut, kiedy członkowie ekipy zajęli się zawartością pudełek. Potem wszyscy stanęli, jedząc i jednym okiem kontrolując przekaz satelitarny. Neil usiadł koło Jean, słuchając jej relacji o przerożeniu w windzie. Kelly zmrużyła oczy. Na twarzy Neila odmalowała się troska, dłoń trzymał na kolanie dziewczyny, ścisnął je. Jeżeli maczał w tym zajściu palce, to bez wątplenia musi być świetnym aktorem.

Po kolacji Kelly zajęła się pomaganiem Jean. Wyciągnęły połowe łóżka, koce i posłały je w miejscu, gdzie każdy mógłby uciąć sobie drzemkę, bo zapowiadało się, że będą pracować całą noc. Chociaż Kelly pilnowała się, by nigdzie nie znaleźć się sama, przytapywała się na tym, że co chwila ogląda się przez ramię, oceniając spojrzenia kolegów.

Śledzili huragan, kiedy przesuwiał się nad Kubą.

Nawet jeśli nie zbliżał się bezpośrednio do Gulf Coast na Florydzie, poziom wód oceanu podniósł się tak, że wraz z idącym na północ sztormem zagrażał wybrzeżom stanu. Napływające co pół godziny nowe dane o wiatrach, ciśnieniu i temperaturze pomagały przewidzieć, czy huragan rzeczywiście tutaj uderzy. Z napiętej twarzy Wilsona Kelly mogła wyczytać, że tym razem lepiej będzie, jeśli nie popełnią omyłki.

Przez chwilę zajęła się prostym zadaniem pilnowania wydruków z raportami. Oddzierała je z drukarki i podawała innym do analizy. W końcu przyptłw złości pchnął ją do bardziej pożytecznych zadań. Była świetnym naukowcem-meteorologiem i nikt nie powstrzyma jej przed wykonywaniem swojego zawodu. Zaczęła podsuwać własne analizy zdjęć satelitarnych, przeprowadzać matematyczne obliczenia, pomocne w oszacowaniu, jak szybko i jak daleko przemieszcza się huragan.

O dziewiątej Annie zaczęły się kleić oczy, Kelly położyła ją na kanapie i przykryła kocami w gabinecie Wilsona, gdzie mogła mieć na nią oko. Przy zgiełku trwającym przez całą noc w sąsiednim pomieszczeniu, dziewczynka będzie bezpieczna.

Kelly przetarła oczy i postanowiła się napić kawy. Ruszyła ku damskiej szatni, by wziąć z torby kilka ćwierćdolarówek. Wykręcała właśnie szyfr w zamku szafki, kiedy usłyszała swoje imię.

- Kelly.

Ten głos sprawił, że serce skoczyło jej do gardła.

Ale to tylko Ross, stojący po przeciwnym krańcu rzędu szafek.

- Och, przestraszyłeś mnie - powiedziała przyciskając dłoń do piersi.

Jedną rękę wsparł o szafkę, uniósł ciemne brwi.

- Dlaczego, co się stało, że jesteś taka spłoszona? Wyprostowała się i potrząsnęła głową.

- Cóż, utknięcie w windzie potrafi przyprawić o klaustrofobię.

Powoli ruszył w jej stronę sprawiając, że zadrgał w niej każdy nerw. Chwyliła torebkę, zatrzasnęła drzwiczki i oparła się o nie, pragnąc, by nie podchodził bliżej.

Najwyraźniej wyczuł jej nastrój i zatrzymał się kilka kroków dalej, jedną stopę postawił na ławce.

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. Zauważyła, że i on wygląda na zmęczonego. Miał przekrwione oczy, na podbródku cień zarostu. Niespodziewanie zaczęła sobie wyobrazać, jak by mu było z brodą, i uznała, że wyglądałby chmurnie, lecz niesamowicie przystojnie.

- Zawsze rozmawiasz z kobietami w damskiej szatni? - zakpiła.

- Poza nami nikogo tu nie ma.

- Skąd wiesz? Sprawdziłeś wszystkie szafki?

- Kelly - odezwał się, potrząsając głową. - Przykro mi, że dowiedziałaś się o mojej pracy w ten właśnie sposób. Chciałem powiedzieć ci o tym we właściwym czasie i miejscu, kiedy mogłabyś mnie zrozumieć.

- Och, na przykład w mojej sypialni.

Jego przenikliwe oczy wytrzymały jej wyzywające spojrzenie.

- To nie fair. - Kąciki jego warg uniosły się w zmysłowym uśmiechu. - Ale skoro o tym wspomniałaś...

- Och - westchnęła zrozpaczona. Miała ochotę cisnąć w Rossa torebką.

Wtedy podszedł bliżej, jak gdyby nie potrafił utrzymać rąk z dala od jej kibici. Pochylił głowę ku jej twarzy, zmusił ją, by spojrzała mu w oczy. Ujrzała w nich błyski namiętności.

- Kelly, wysłuchaj mnie. Potrzebna mi twoja pomoc. Musimy nawzajem sobie pomóc. Ja...

Zaszczo jej w gardle, czekała, co dalej powie. Niemal widziała, jak słowa formują się w jego głowie. Widziała, że zmaga się, jak to powiedzieć.

Odetchnął głęboko.

- Niepokoję się o ciebie, Kelly. Bardziej niż sobie uzmysławiasz.

- Uhm. - Zmiękczył ją, ale nie do końca.

Lecz czego nie dokonały jego słowa, dokonały palce. Przesuwały się w dół od szyi, przez obojczyki ku delikatnej szparce między piersiami. Z trudem złapała oddech.

- Ross, nie.

Jęknął i przygarnął ją bliżej.

- Nie chcesz, bym to robił? - szepnął jej do ucha. - Nie chcesz, bym dał ci rozkosz, na którą zasługujesz? Nie potrafię zapanować nad tym, co dzieje się między nami. Zupełnie jakbyśmy byli dla siebie stworzeni.

Przymknęła oczy, zmęczenie i napięcie tego dnia sprawiło, że pragnęła do niego przylgnąć. Oto znajdowali się w jasno oświetlonej szatni, wdychając zapachy środków odkażających, używanych do czyszczenia pryszniców, a jej umysł zasnuwała romantyczna mgiełka.

Stworzeni dla siebie? Jak gdyby zaplanowali to bogowie? W niesamowity sposób miało to sens. Połączyła ich przeszłość, teraźniejszość rzuciła ich sobie w objęcia. Czy ktoś usiłował jej coś powiedzieć? Może ich namiętność jest wyrazem wspólnych emocji, powstałych pod wpływem śmierci jej ojca? Ale jak kochanie się z Rossem mogłoby odpędzić poczucie winy i żalu, które dzień w dzień pielęgnowała od sześciu lat?

Scandalous

Rozdział 12

Nie odpowiedziała mu, a on jakby wcale tego nie oczekiwał. Jego wargi już całowały wrażliwe miejsce na szyi tuż pod brodą dziewczyny, zmuszając ją do podniesienia głowy. Skąd wiedział, jak tak zmysłowo naciskać, że zapragnęła czegoś więcej? To nie fair, dał słyszeć się słaby protest, mgliste wspomnienie o tkwiącym w niej gdzieś głęboko gniewie, który zawsze palił się na przekór razem, jakie zadawało jej życie.

Jednakże Ross wcale nie zamierzał jej zranić. On tylko pragnął ją kochać. Koehać? Zachnęła się na samą tę zdumiewającą myśl. Wszakże coś się między nimi zrodziło, jakaś więź, której za wszelką cenę starała się zaprzeczyć. Uczucia wyrażają się w miłości fizycznej. Jej myśli wirowały, gdy dłonie Rossa odnalazły pod jej bluzką drogę ku ciepłej skórze brzucha. W przeszłości zawsze fizyczna strona miłości wydawała się jedynie substytutem nieobecnych uczuć. Czy tym razem miało stać się inaczej? Czy była to więź dusz i ciał tak potężna, że spełnić ją mogło jedynie kochanie?

Kierowała się nie tyle rozsądkiem, co intuicją, która rozptłomiła jej duszę, tak jak Ross rozpałał jej ciało. Odgadywała już w sobie szum pożądania, gdy przyciskał ją do szafki. Jednak nie czuła metalu, czuła Rossa.

- Ross - odezwała się bez tchu. - Ktoś może nadejść.

Jedyną odpowiedzią był pełen pasji jęk.

Nie odrywał warg od wgłębienia jej szyi, ona zaś zaczęła tracić rozsądek, kiedy uprzytomniła sobie, że ma odpięte kilka guzików bluzki. Doświadczonym ruchem rozpiął jej stanik, wciągnęła głęboko oddech, kiedy zmysłowo, zaborczo nakrył dłonią jej pierś.

Jej ręce też nie traciły czasu, wyciągnęła koszulę ze spodni Rossa, pieściła twarde, muskularny tors, obejmowała go ramionami. Pragnęła, by ją pochłonął.

Jego dłoń zsunęła się z jej brzucha ku wnętrzu uda, jednocześnie ręka Kelly przesunęła się z jego twardej pośladków na przód spodni; tuż przy suwaku wyczuła twardość. Nakrył jej dłoń swoją, przyciskając ją, przesuwał ją w górę i w dół.

- Ach - jęknął przeciągle, zmysłowo, wargi wtulił w ramię dziewczyn. - Tego pragnąłem.

I ona pragnęła wszystkiego, nie tutaj jednak było po temu miejsce. Chociaż roznamiętnieni, wciąż mogli natychmiast doprowadzić się do porządku, gdyby ktoś

wszedł. A jednak Kelly zdawała sobie sprawę, że ma rozpaloną twarz. Krew pulsowała jej w żyłach. Kiedy wsunął dłoń między jej nogi, i ona jęknęła. Och, Boże, jak go pragnęła.

- Kelly, dotykaj mnie - szepnął.

Musiał wiedzieć, że tutaj nie dopełnią aktu miłości. Lecz nie byłby usatysfakcjonowany, gdyby nie zaczęła go zmysłowo pieścić. Aż zawłasczy go dla siebie, podniecając dotykiem.

Pasek rozluźnił się, spodnie zostały rozpięte. Nie potrzebowała dalszej zachęty, by wsunąć dłoń do środka i sięgnąć po twardy, wilgotny znak namiętności, który istniał dla niej i tylko dla niej. Poczwała, jak pod wpływem jej pieszczot Ross zaczyna drzeć.

- Pragnę cię, Kelly. Do diabła, gdzieś to się musi stać. Miał ochrypty, sfrustrowany głos. Gdyby nie lękała

się, że ktoś ich może przytapać, zdartaby z niego ubranie tu i teraz, by zaspokoić ich wspólną namiętność.

Jakąś ekstatyczną cząstką zastanawiała się, jak będą się tłumaczyć reszcie zespołu, kiedy nieuchronnie ktoś na nich się natknie.

Ross przycisnął się jeszcze mocniej do jej łona, po czym odsunął dłoń dziewczyny.

- Przestań - poprosił bez tchu. - To jeszcze pogarsza sprawę.

Wciąż jednak, kiedy bezpiecznie otaczała go w pasie ramionami, nie potrafił powstrzymać się od rozsunienia jej bluzki i stanika. Zniżył głowę i wargami drażnił jej pierś, drugim ramieniem podtrzymując plecy.

Drżała pod pieszczotami, czując delikatne wargi, pulsowanie, podała naprzód ramiona.

- O tak, tak - szepnęła.

Wreszcie podniósł głowę, obciągnął w dół jej bluzkę. Pocałował ją rozwartymi ustami, jego język sięgał głęboko, splatał się z jej językiem. Gwałtowność, z jaką ją obejmował, natarczywość warg i języka starały się zaspokoić to, czego nie mogła dać reszta jego ciała.

W końcu położyli sobie na ramionach głowy, z trudem łapali oddech.

- Kocham cię, Kelly - mruknął jej do ucha.

Odrzuciła w tył głowę, by spojrzeć na niego, ujrzała półprzymknięte powieki, przepełnione namiętnością oczy.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć - szepnęła. Powoli pożądanie na jego twarzy zastąpiła rezygnacja. Szeroko otworzył oczy.

- Na razie to musi nam wystarczyć. Rozumiem twoje uczucia i chętnie zgodzę się poczekać.

Zalało ją poczucie wstydu.

- Chodzi mi o to, że po prostu nie jestem przygotowana. - Wciąż nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Uśmiechnął się zakłopotany, lecz ze zrozumieniem.

- Widzę.

Uścisnął ją delikatnie, przygładził jej włosy, odsunął się, by zapiąć pasek.

A ona tylko potrafiła na niego patrzeć. Nie odrywała wzroku od jego pięknej, przystojnej twarzy, zdecydowanego i mocnego podbródka, zastanawiała się, czy ma uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Kocha ją? Czy to prawda? Czy rzeczywiście jest tak, jak mówi? Powoli pokręciła głową.

Nachylił się, by ucałować jej pełne, spąsowiałe wargi.

- Kelly, jesteś taka piękna. Uwielbiam, jak tak wyglądasz.

Wchłonęła to, spróbowała się uśmiechnąć, potem spróbowała stanąć pewnie na obu nogach.

- Lepiej się stąd zabiorę - mruknął. - Tak.

- Dopilnuj, żeby twoje łóżko znalazło się obok mojego - powiedział robiąc krok w przód i unosząc jej brodę, by złożyć na niej ostatni pocałunek.

Szeroko otworzyła oczy.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Zdaje się, że minie od diabła czasu, nim zyskamy trochę prywatności.

Potem odszedł, skręcając przy końcu rzędu szafek.

Kelly stała przez chwilę nieruchomo i wpatrywała się w miejsce, w którym był przed sekundą, potem nachyliła się nad szafem, zamykającym szafkę. Musiała wziąć prysznic. Natychmiast.

Reszta wieczoru upłynęła na wytężonej pracy. Kelly współdziałała z całym zespołem, lecz jedynie oczami i palcami, automatycznie. W środku czuła, jak część jej umysłu i duszy wiruje w słodkiej burzy nowo odkrytych doznań. Silnych, mrujących, pulsujących wyczekiwaniem. Jak gdyby składała się z dwóch osób - na zewnątrz wykonywała to, czego się po niej spodziewano, była czujna i skupiona jak zwykle. A w środku wiedziała, że coś się zmieniło.

Kiedy dalej na południe sztormową falą uderzała w plażę, zaczęły napływać raporty o podnoszącym się poziomie wody. Kelly cieszyła się, że mimo wszystko przyjechały do bazy, choć żałowała, że nie ma wolnej chwili, by przejrzeć papiery ojca i odnaleźć jakiś klucz do tego, co się tutaj dzieje.

Ubiegłego wieczoru znalazła plik listów taty i zamierzała je przeczytać, lecz między telefonem od Helen, zaniepokojonej prognozami pogody, i upewnieniem się, że Annie ma wszystko gotowe na poniedziałek do szkoły, nie znalazła czasu. Posłała również po parę skrzyń z rzeczami ojca, które zostawiła w magazynie w

Boulder.

O wpół do dwunastej poprosiła Rossa, by przeniósł Annie z kanapy Wilsona na jedno z łóżek w zaimprovizowanej sypialni na drugim piętrze. Po otuleniu Annie jej pluszowymi zwierzątkami, Ross nalegał, że także otuli Kelly.

Położyła koc na łóżku i wyciągnęła się na nim w ubraniu. Ross nachylił się, drugi koc podciągnął jej pod brodę. Potem przykucnął, by pocałować ją w usta. Czule. Przymknęła oczy i pozwoliła, by ogarnęło ją ciepło. Sposób, w jaki potarł policzkiem o jej policzek, i pocałunek, jaki wycisnął na jej zamkniętych oczach, były pełne obietnicy, nadziei i wybawienia od przeszłości.

- Hm - westchnęła z zadowoleniem. Nieczęsto mogła pozwolić sobie na takie błogie uczucie. Sennie dumiała, czy to możliwe, aby naprawdę coś takiego się jej przydarzyło.

- Śpij dobrze - szepnął.

- Obudź mnie, kiedy nadejdzie moja zmiana - wymamrotała, już zapadając w pierwsze stadium snu.

Słyszała, jak Ross przechodzi na drugą stronę, gdzie planował rozstawić łóżko dla siebie. Nie dotykał jej, lecz był na tyle blisko, by ogarnął ją spokój.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób sześć i pół godziny mogło minąć niczym z bicza strzeł. Ale kiedy otworzyła oczy, przez okna przesączało się światło. Ross pochylał nad nią nieogoloną twarz, delikatnie nią potrząsał.

- Dzień dobry - mruknęła.

- Przykro mi, że cię budzę, kochanie, lecz sądziłem, że chciałabyś wiedzieć, że wychodzę.

Otworzyła szeroko oczy, dźwignęła się na łokciu.

- Dokąd idziesz?

Na jego twarzy malowało się skupienie.

- Nie ulega wątpliwości, że huragan zmierza prosto w tę stronę. Załogom ratowniczym brakuje rąk do pracy. Zgłosiłem się na ochotnika do pomocy.

Usiadła czujna, przywołując wszystkie swoje zmysły.

- Teraz zaraz?

- Wilson poradził biuru gubernatora, by ewakuować rejon wypoczynkowe wzdłuż plaży. Pozostało niewiele czasu. Sądzę, że mogę tam pomóc, upewnić się, że wezwanie do wszystkich dotarło.

Odrzuciła koc, opuściła stopy na ziemię.

- A co z policją i strażą portową? Sami sobie nie poradzą?

Ross spojrział posępnie.

- Mamy taką nadzieję. Ale dyspozytorzy mówią, że brakuje im ludzi. Wiele z ich załóg pojechało dalej na południe, aby tam pomóc. A teraz, kiedy huragan

szybko nadciąga, nie są pewni, czy ratownicy zdążą wrócić na czas. Piątego potrzebują wykwalifikowanych ochotników.

- Niech zgodnę - powiedziała ze sztuczną wesołością. - Ty jesteś wykwalifikowany?

- Tak, w udzielaniu pierwszej pomocy i w podstawowych technikach ratowniczych.

Potrząsnęła głową, mrużąc bardziej do siebie niż do niego.

- Czy mogę się na coś przydać?

Annie zaczęła się kręcić, więc Kelly ucałowała ją mocno na dzień dobry i razem ruszyły do szatni, by się odświeżyć. Przy windach Kelly ostrożnie zerknęła na drzwi prowadzące na klatkę schodową. Mocniej chwyciła rączkę dziewczynki, kiedy wsiadały do windy, mając nadzieję, że w czasie tej jazdy nie zdarzy się nic niezwykłego.

I nie zdarzyło. Umyły się, korzystając z przyborów toaletowych, które Kelly trzymała tutaj, aby służyły po każdym locie.

Kiedy wróciły do sali prognozowania pogody, wszyscy pochylali się nad zdjęciami i mapami Ross właśnie opuścił gabinet Wilsona, miał już na sobie ciężki kombinezon przeciwdeszczowy. Podeszła do niego, serce ścisnęło się jej na myśl, że wyjdzie tam, na nawałnicę.

- Przyjąłem - usłyszała głos Wilsona, mówiącego do telefonu. - Hangar dwunasty. Posyłam tam jednego człowieka ze swojego zespołu. Może pojechać samochodem.

Kelly zerknęła na Wilsona, który odłożył słuchawkę, potem na Rossa. Nagły ucisk w piersiach towarzyszył dudnieniu w głowie. W wychodzeniu naprzeciw niebezpieczeństwu zawsze było coś znajomego. Coś skręcało się w niej. Nie mogła mu powiedzieć, by nie jechał. Ale mogła pojechać razem z nim.

Weszła do gabinetu Wilsona.

- Wilson, czy zajmiesz się Annie? Chcę pojechać z Rossem.

Wilson przyjrzał się jej badawczo, potem spojrzął na dziewczuszkę, wciąż trzymającą ciotkę za rękę.

- A czemu sądzisz, że powinnaś jechać? - spytał spokojnie.

- Mogłabym tam się na coś przydać. Jeżeli potrzebna jest każda para rąk, pozwól mi pomóc.

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że rozważy jej prośbę. Wiedziała, o czym myśli. Że odkąd tu przyjechała, stała się celem czyichś złowrogich ataków. Ale, na zewnątrz Kelly stanie tylko naprzeciw natury. Będzie musiała zmagać się jedynie z przesładującymi ją cieniami przeszłości.

Kiwnął głową.

- Możesz jechać, jeśli jesteś pewna, że chcesz. Ross, który słyszał tę rozmowę, wszedł do biura.

- Kelly, na zewnątrz nie jest bezpiecznie. - Z uporem zacisnęła szczękę.

Jednak spojrzała w jego ciemne, błyszczące oczy.

- Nigdzie nie jest całkiem bezpiecznie. Nachyliła się, by porozmawiać z Annie.

- Jadę z Rossem, by pomóc ludziom mieszkającym przy plaży. Będziesz tutaj bezpieczna z Wilsonem, zgoda?

Annie wzruszyła ramionami i kiwnęła głową.

- Dobrze, zostanę tutaj. Uściskała dziewczynkę.

- Moja dziewczuszka. Masz opowiedzieć się Wilsonowi, jeśli będziesz chciała gdzieś pójść z kimkolwiek, dobrze?

Annie znowu kiwnęła główką, a jej oczy stały się okrągłe jak spodki.

- A czy ty też będziesz bezpieczna?

- Nic mi się nie stanie.

- Oczywiście, że będzie - zapewnił Ross. - Będzie ze mną. - Potem mrugnął do Annie.

Coś drgnęło w Kelly. Zdawała sobie sprawę, że Ross po prostu chce uspokoić Annie, że będzie chronił jej ciotkę. Uświadomiła sobie jednak, iż w sercu wierzy, że to prawda.

Wstała i obróciła się do Rossa.

- Daj mi płaszcz przeciwdeszczowy.

Po paru minutach miała już na sobie cieplejsze ubranie i ochronny kombinezon. Zaciśnięty tasiemkami pod brodą kaptur chronił jej głowę.

Kiedy spieszyli pasem startowym do dwunastego hangaru, w głowie przesuwający się jej obrazy ojca przemierzającego równiny ku innym kłębiącym się, wirującym burzom. Czuła jednak mocną dłoń Rossa w swojej i wiedziała, że dlatego poszła. Nie mogła znieść myśli, że Ross ruszy bez niej naprzeciw niebezpieczeństwu. Tym razem i ona znajdzie się na miejscu.

Furgonetka ratunkowa Sił Powietrznych, wypożyczona na tę okazję, wyposażona była w sprzęt niezbędny do udzielenia pierwszej pomocy, w łopaty, latarki i nosze. Niebieski kogut na dachu zostanie włączony, kiedy będą przedzierać się przez ruch uliczny.

Szosa Courtney Campbell już była zapakowana samochodami, opuszczającymi Clearwater, leżące po drugiej stronie Zatoki Old Tampa. Przystanęli, zatrzymani do kontroli przez stanowy patrol, który dyrygował ewakuacją. Ross pokazał policjantowi swoje i Kelly dokumenty identyfikacyjne.

Przekazaliśmy wiadomość wszystkim właścicielom domów przy plaży - powiedział posterunkowy, nachylając się ku nim. - Ale trudno przesądzić, czy

dotarła ona do wszystkich turystów. Rozumiecie, maruderzy, wędkarze, którzy nie wyjadą bez względu na pogodę, aż będzie za późno. Czerwony Krzyż zorganizował kwatery w Centrum Martina Luthera Kinga. Tylko na pewno opuście rejon plaży w ciągu paru godzin. Wtedy właśnie, jak nam powiedziano, ma nastąpić uderzenie.

- Nie martwcie się - odezwał się Ross. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wydostać, stamtąd wszystkich, którzy nie mają radia lub telewizji.

Zerknął szybko w stronę Kelly, potem znowu zwrócił się do policjanta:

- Nie będziemy niepotrzebnie ryzykować. Czterdzieści pięć minut powolnej jazdy zajęło im pokonanie półwyspu, minęli miasteczko Clearwater. Widoczność była kiepska, nawet przy wycieraczkach, które zgarniały bijące w szybę strugi deszczu. Przy zwodzonym moście Memoriał Causeway ponownie ich zatrzymano.

- Skorzystamy z każdej pomocy, jaką zdołamy uzyskać - powiedział im policjant. - Jeżeli uda się wam przedostać do Sand Key, upewnijcie się, czy wszystkie łodzie wpłynęły do portu. Stamtąd na południe mieszkańcy ewakuują się przez szosę Belleair. Będzie wam łatwiej wracać tą drogą.

Kelly studiowała mapę we wskazanym miejscu.-

- W porządku - powiedział Ross. - Nie powinniśmy napotkać większych problemów.

Mając w furgonetce CB radio, mogli utrzymywać stały kontakt z dyspozytornią.

Teraz burzowe niebo, ulewny deszcz i woda pod mostem zwodzonym zlały się w jedną szarą masę, toczącą przed siebie białe grzywy fal. Kelly zorientowała się, że wstrzymuje oddech, kiedy minęli zaporę i wjechali na most. Ogromny ruch zmierzał w drugą stronę, a w tej nawałnicy Ross jechał powoli, z włączonymi światłami.

Zza okna po prawej stronie Kelly ledwie rozróżniała wieżowce mieszkalne i niskie centrum handlowe Island Estates. Przed nimi szosę omiały liściaste korony palm. Kelly, oceniając warunki atmosferyczne, miała okropne przeczucie, że skrzydło huraganu jest tuż, tuż. Wzdłuż plaży sztormowa fala zaczęła zalewać szosę równo z poziomem morza. Ale Kelly przygryzła wargę i zachowała milczenie.

Ross skupił się na kierownicy i kiedy dotarli do Clearwater Beach i skręcili w lewo w Gulfview Boulevard, dostrzegła, że w kilku miejscach woda przedarła się przez drogę. Uchwyciła się klamki drzwi i wbiła wzrok w nabrzeże, wypatrując osób, które okazałyby się na tyle głupie, aby tutaj pozostać.

Przez chwilę nikogo nie dostrzegła. Potem skręcili w rejon willowy, przylegający do śródlądowego kanału.

- Tam - wskazała.

W domu, w którym paliły się światła, najwyraźniej ktoś przebywał. Ross zajechał na podjazd, Kelly pchnęła drzwiczki i wyskoczyła na zewnątrz. Podbiegła

do frontowych drzwi, bębniła w nie, póki nie wyrzwał jakiś mężczyzną.

- Musi się pan ewakuować! - krzyknęła do niego przez siatkowe drzwi. -

Nadciąga huragan. Niebawem uderzy.

Mężczyzna niespokojnie kiwnął głową.

- Słyszałem komunikaty. Przyjechałem tutaj po matkę. Zaraz wyjeżdżamy.

Tam stoi mój wóz.

Wskazał na samochód o napędzie na cztery koła, zaparkowany przy krawężniku.

- Czy potrzebuje pan pomocy? - spytała Kelly, usiłując rozejrzeć się dokoła.

- Nie, dziękuję. Ona już jest gotowa.

Pojawiła się szczupła starsza kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym.

Mężczyzna pchnął siatkowe drzwi. Kelly odstąpiła w tył, zadowolona, że nic im nie jest. Pobieła z powrotem do furgonetki.

Ross wycofał się z podjazdu, ruszyli dalej ulicą. Nie zobaczyli już nikogo więcej, toteż wrócili tą samą drogą. Mężczyzna zapakował matkę do samochodu i włączył silnik. Kiedy powoli odjeżdżali przed furgonetką, wyglądało na to, że naprawdę się ewakuują.

Dostrzegli jeszcze dwójkę ludzi na drodze do Sand Key i upewnili się, że zmierzają w stronę szosy. W hotelu w Sand Key było pusto.

- Dobra robota - orzekł Ross, szacując położenie hotelu na niewielkim skrawku plaży.

Teraz deszcz padał tak mocno, że trudno było dostrzec nawet pobocze drogi. Przed nimi przez szosę przelewała się woda. Kelly zaczynała wątpić, czy dotrą aż do Belleair Shore. Jednak gorzej było zawrócić i zmierzać niczym nie osłoniętym odcinkiem plaży, który zostawili za sobą.

Serce uwięzło jej w gardle, adrenalina wyczuliła ją na wszelkie oznaki zagrożenia. Jeżeli w tym rejonie przebywają jeszcze jacyś ludzie, nie będą w stanie ich dostrzec. Wiedziała jednak, że Ross nie spocznie, póki nie upewni się, że ostrzeżenie dotarło do każdego.

- Myślisz, że nam się uda? - spytała, kiedy Ross mocniej nacisnął gaz, pokonując strumień wody na drodze przed nimi.

- Nie wiem - odparł. - Szosa powinna być o milę stąd. Nie dodawało to otuchy. Przypomniała sobie, że sama tego chciała, bo mogła zostać w bazie, lecz nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej miejsce jest tutaj, przy Rossie. Ukłucie przerażenia ostrzegło ją, że jeśli cokolwiek jej się stanie, Annie zostanie sama jak palec. Ale wołała się nad tym nie zastanawiać. Nic im się złego nie stanie. Ona i Ross mają umiejętność przetrwania. Wygrzebią się z tego.

Furgonetka walczyła z wodą i wiatrem, mimo to ponownie zdołali dotrzeć do

dzielnicy willowej. Domy po wschodniej stronie drogi stały za solidnym betonowym ekranem. Jeśli jednak nadejdzie tutaj fala sztormowa, woda pokona mury. Kelly usiłowała odepchnąć od siebie obraz zmiażdżonych domów, porywanych przez wodę niczym zapałki.

Myśląc o tym, wyrzała przez okno na pusty kawałek plaży. To, co ujrzała, sprawiło, że przerażenie ścisnęło jej gardło. Jakies sto jardów dalej, na morzu, formowała się gigantyczna fala, jej spieniony szczyt przewyższał wieżowce, które mijali w Clearwater Beach. Fala sztormowa. Zbliżała się złowieszczo. Zamiast się załamać na brzegu, fala zdawała się wyprostowana maszerować w przód. Mieli ledwie parę sekund na próbę ucieczki, a nie było gdzie uciekać. Kiedy fala uderzy w ląd, pochłonie wszystko w zasięgu wzroku, zatopi półwysep.

- Ross - zdołała wyjąkać, kurczowo chwytając go za ramię.

Ale on też. to zobaczył.

- Wyciągaj kamizelki ratunkowe.

Woda już wypełniła drogę za nimi i przed nimi. Musieli błyskawicznie znaleźć się gdzieś wyżej, choć to pasmo lądu było akurat prawie zupełnie płaskie. Kilka przecnic dalej Ross skręcił w boczną uliczkę, która wznosiła się ku kompleksowi apartamentów. Kelly przedarła się na tył samochodu, szukając kamizelek. Każdy nerw miała napięty jak struna. Włożyła kamizelkę, potem przywarła oczami do tylnej szyby, żeby sprawdzić, czy może wypatrzeć sztormową falę.

Ross, naciskając gaz do dechy, pędził w stronę wzgórza. Nieco dalej dostrzegli solidnie wyglądający magazyn materiałów budowlanych ze składem na tyłach i zajechali tam, gdyż tutaj mogli znaleźć minimum schronienia przed smagnięciami wiatru. Ross zameldował się przez CB.

- Nasza pozycja jest gdzieś w Belleair Beach - poinformował dyspozytora. - Tuż za Gulf Boulevard. Jesteśmy w składzie budowlanym, kilkanaście przecnic od szosy. Wysoki poziom wody uniemożliwia dalszą jazdę.

- Przyjąłem - odezwał się dyspozytor. - Poszukajcie schronienia. W Belleair podnosi się woda. Jeżeli jesteście w jakimś wyższym miejscu, nie opuszczajcie go. Znajdźcie jak najsolidniejszy budynek.

Ross umilkł i rozejrzał się, jakie warunki oferuje im to miejsce. Jego ciemne oczy napotkały wzrok Kelly tuż przed tym, jak po raz drugi przydusił przycisk nadajnika.

- Wygląda na to, że skrzydło huraganu już tutaj dotarło - powiadomił dyspozytora. - Chowamy się.

Odłożył nadajnik, potem wpatrzył się w budynek przed nimi. Wokół, jak okiem sięgnąć, widzieli jedynie bungalowy i nieco dalej luksusowy blok mieszkalny. Magazyn był przestronny, niski, wzniesiony z betonu. Był ich jedyną nadzieją i Kelly zdała sobie sprawę z tego, nim Ross zdążył wypowiedzieć to na głos.

- Musimy znaleźć sposób, aby się tam przedostać.

Scandalous

Rozdział 13

Serce Kelly biło jak oszalałe. Ten skład wydawał się najbezpieczniejszym miejscem. Gdzieś w zakamarku jej głowy czała się gorzka świadomość, że jeśli huragan uderzy w ład, to przynajmniej będą razem.

Odsunęła te myśli na bok i otworzyła drzwiczki od swojej strony. Potem pomknęli co sił pod okap bocznych, zamkniętych drzwi.

Ross popędził wzdłuż budynku, wyjrzał za róg. Za chwilę wrócił.

- Tam z tyłu jest rampa bagażowa. Może tamtędy da się wejść. Jesteś gotowa do biegu?

Kiwnęła głową. Wyciągnął z furgonetki łom, co tchu ruszyli chodnikiem. Potem, skręcając za róg, zwolnili, żeby się nie pośliznąć. Kolejny sprint i wspięli się na rampę. Położoną wyżej niż parking. Następne błogosławieństwo. Kelly nie mogła już dostrzec plaży, jednak na widok wody, biegnącej poniżej ulicy, ogarnął ją paniczny strach. Fala przedarła się na brzeg. Nie zdołali przewidzieć, jak daleko sięgnie.

Potężne drzwi były zamknięte na kłódkę, lecz Ross zaatakował ją łomem i wreszcie zerwał. Weszli do mrocznego magazynu, Ross zasunął za nimi ogromne skrzypiące drzwi. Potem zabezpieczył je sztabą.

W ciemnościach mrugali oczami. Kelly niemal słyszała, jak myśli Rossa są wiernym odbiciem jej własnych. Jeżeli budynek wytrzyma, przeżyją. W razie gdyby woda podniosła się zbyt wysoko, wciąż zagrażało im jednak niebezpieczeństwo. Wtedy jako droga ucieczki pozostawał wyłącznie dach.

- Ostrożnie - powiedział Ross, kiedy ruszyli naprzód. - Wolałbym, żebyśmy nie zrobili sobie jakiejś krzywdy.

Poczuła zapach drewna.

- Pachnie tu jak w tartaku.

W ułamku sekundy, kiedy szare światło przeniknęło do wnętrza, nim Ross zamknął drzwi, zobaczyła sterczące belki, ustawione w coś, co wyglądało na sięgające od podłogi do sufitu kratownice.

Ross ujął ją za rękę.

- Trzymaj się mnie.

Po omacku przesuwali się po niezajętej przestrzeni. Potem, kiedy ich wzrok przywykł do mroku, Kelly zaczęła rozróżniać kształty. Podeszli do jakiejś monstrualnej maszyny na potężnych kołach.

- Podnośnik widłowy - stwierdził Ross. - Chodź, obejdziemy go.

Dalej ostrożnie wybierali drogę, aż wreszcie znaleźli się przy końcu działu z drewnem. Kelly wyętyżyła słuch, chcąc sprawdzić, czy dobiegające z zewnątrz dźwięki nie wskazują, że woda już dotarła aż tutaj. Poczła lekki przewiew, trafili na podwójne przeszklone drzwi. Nie były zamknięte.

- Tędy pójdziemy - orzekł Ross.

Otworzył drzwi i Kelly zorientowała się, że trafili na pomieszczenie z materiałami budowlanymi.

Przesączało się szare światło, bez wątpienia przez drzwi znajdujące się bliżej frontu budynku. Szli wzdłuż rzędu zwiniętych wykładzin podłogowych, aż znaleźli się w centralnym przejściu, które poprzecznie przecięło im drogę.

Mimo strachu o własne bezpieczeństwo, Kelly uznała, że sytuacja jest raczej zabawna. Wokół nich domostwom groził huragan Joseph, oni zaś znaleźli schronienie wśród stert materiałów do wyposażenia domów. Powędrowała oczami w górę, rozejrzała się wokół, zastanawiając się, jak wytrzymałe jest to miejsce.

- Chodź - powiedział jej Ross prosto w ucho. - Poszukajmy miejsca, w którym moglibyśmy się osuszyć i rozgościć.

Ściągnęli przemoczone płaszcze i zawiesili je na szczycie stojaka.

- A co ze światłem? - spytała Kelly. Potrząsnął głową.

- W tej nawałnicy wysiądzie elektryczność. Bezpieczniej więc będzie nie włączać światła, póki nie znajdziemy jakiegoś zasilania z baterii.

- Gdzieś tutaj powinny być lampy na baterie. A może nawet lampy sztormowe?

- Dobry pomysł.

Wciąż było zbyt ciemno, by z daleka przeczytać oznakowania, co znajduje się na półkach, jednak szli korytarzem, aż wreszcie trafili na półki z tym, czego im było potrzeba. Lampy sztormowe i nafta.

- Co z zapałkami? - zadumała się Kelly.

- Są w moim wodoszczelnym chlebaku - odparł Ross, biorąc drugą lampę.

- Zawsze przygotowany - zakpiła usiłując rozładować napięcie, jakie oboje odczuwali.

- Staram się.

Przeszli do centrum budynku, tam Kelly zatrzymała się, zdumiona tym, co widzi.

- Łazienki - stwierdziła kręcąc głową.

Naprzeciwko znajdowała się ekspozycja kompletów łazienkowych z wannami, biczami wodnymi, umywalkami, zlewami, kabinami prysznicowymi w rozmaitych wariantach. Kelly kilka chwil pokręciła się między nimi, czuła się trochę jak Dorota,

która wylądowała w Krainie Oz.

- Ciekawe, czy mają też kuchnie - powiedziała, próbując obrócić wszystko w żart.

- Trochę dalej - wyjaśnił jej Ross, kiedy ruszyli na przód składu.

Wichura wciąż szalała, uderzała w budynek, Kelly z niepokojem spojrzała na przeszklony front magazynu.

- Wytrzyma? - spytała.

Ross zerknął na szybę i wydawało się, że za pomocą jakiejś wewnętrznej anteny ocenia stan huraganu.

- Trudno powiedzieć. Lepiej zastawmy ją albo na wszelki wypadek oklejmy taśmą.

Zdawała sobie sprawę z tego, czego nie wypowiedział na głos. To na wypadek gdyby poziom wody wzrósł tak bardzo, że wypchnąłby szybę. Niezbyt przyjemna perspektywa.

Działanie było najskuteczniejszym sposobem na utrzymanie w ryzach niepokoju. Znaleźli na półkach magazynu wszelkie potrzebne im materiały, potem zabrali się do zabezpieczania frontu drewnianymi panelami.

Panele nie sięgały sufitu, lecz były najlepszym, na co trafili. Umocnili je klamrami i linami. W środku zrobiło się jeszcze ciemniej.

- Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak czekać - stwierdził Ross.

Chwycił Kelly za rękę i poprowadził w tę część magazynu, gdzie znajdowały się komplety łazienkowe i mięsiste dywany.

Ross rozejrzał się.

- Tu zostaniemy.

Popatrzyła mu w ledwie widoczne w mroku oczy.

- Tutaj?

Zaczął rozpinąć kurtkę, którą miał pod płaszczem przeciwdeszczowym. Ściągnął ją.

- Dlaczego nie? Mamy tu wszystko, czego potrzeba. Jeśli dopisze szczęście, huragan przesunie się dalej, a nam pozostanie tylko poczekać na opadnięcie wody.

Kelly zadrżała. Mieli szczęście, że trafili na tak dobre miejsce schronienia, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nic tu nie jest pewne. Huragan wciąż szalał, a ponieważ nie mogli tego obserwować, jedynie deszcz i wichura przewalające się nad ich głowami, zdradzały, co dzieje się na dworze. GB radio było zamontowane na stałe w furgonetce, toteż nie mieli sposobu porozumieć się z zewnętrznym światem. Byli sami i odizolowani, tylko sobie nawzajem mogli dodawać otuchy.

Ross ściągnął gruby, puszysty ręcznik z wieszaka, przytwierdzonego do ścianki modelu łazienki, w której się znajdowali.

- Chcesz się wytrzeć?

Wzięła ręcznik, już przeczuwając, jak miło będzie nim osuszyć mokre ciało. W ślad za Rossem rozebrała się aż do bielizny. Miała właśnie skorzystać z ręcznika, kiedy Ross, owinąwszy się wokół bioder ręcznikiem kąpielowym, wyjął go jej z ręki. Otulił nim ramiona Kelly, potem przygarnął dziewczynę do swojego nagiego torsu.

- Nie jest ci zimno? - spytała rozkoszując się komfortem, jaki zapewniał jej miękki, mocny, aksamitny materiał.

- Nie mam zamiaru trwać tak bez końca. Obróciła się w jego ramionach, przymknęła oczy, podczas gdy on wciąż owijał ją ręcznikiem. Objęła go ramionami, ich lędźwie stykały się, przedzielone jedynie materiałem. Krew w niej zawrzała, pomyślała, że wcale nie potrzebują puszystego ręcznika, by było im ciepło.

- Ross - szepnęła ochryplym głosem. Pocałował ją żarliwie, palił ją jego ciało.
- Wiem - odszepnął obsypując teraz pocałunkami jej ucho.

Dłonie, ramiona, ręcznik splątały się, kiedy sięgnęli ku sobie w żarliwym pożądaniu. Położył ją na mięsistym dywanie, stos miękkich ręczników postłużył im za poduszkę. Potem poczuła tuż przy sobie jego nagie ciało. Tak nagie, jak marzyła o nim w snach, a przecież dotąd lękała się tego. Pragnęła, by był jej i tylko jej.

- Ross - szepnęła znowu bez tchu, wyginając szyję ku jego ustom. - Kochaj mnie.

Już zaczął zajmować się jej ciałem. Każdy dotyk, każdy pocałunek były doskonałe. Wtulił w nią swoją twardą męskość, oplótł nogami. Kelly przywarła ustami do jego silnej szczęki, pieściła językiem uszy. Ogarniało ich coraz większe szaleństwo, aż wreszcie Ross nie mógł już dłużej wytrzymać. Otworzyła się dla niego, a kiedy w nią wszedł, zrozumiała, że i na ziemi może istnieć niebo.

Nie mieli żadnego zabezpieczenia, wcale ją jednak to nie martwiło. Wiedziała, że Ross jest zdrowy, a jeśli ten akt miłości zaowocuje ciążą, to przecież wiedziała, że tego właśnie też pragnie.

Nie panowali nad swoimi jękami. W głowie Kelly wirowało od zmysłowych doznań. Ledwie zdawała sobie sprawę, że wbija palce w plecy Rossa, kiedy powiódł ich oboje ku ekstazie i ujrzeli rozpalające się gwiazdy. Nawet gdy zaczęli się uspokajać, wciąż z trudem łąpała oddech, stopiła usta z jego ustami, nagłaco, mocno, żądając więcej. Pragnąc raz jeszcze.

Po długich minutach ekstaza przemieniła się w jej ciele w pulsowanie miłości, kończąc się na wrażliwych piersiach, które Ross czule pieścił i całował. Wreszcie wtuliła głowę w jego tors, on silnie ją przygarnął, ramieniem nakrył jej talię, nogi przytykały do nóg.

O Boże, wreszcie to zrobiliśmy, pomyślała. I nie będziemy tego żałować. Cokolwiek się stało, ostatecznie dali wyraz najgłębszym uczuciom. A ona za-

pamięta tę chwilę po kres swoich dni.

Ross uniósł się na łokciu i spoglądał na nią ciepłymi, błyszczącymi oczami,

- Kocham cię, Kelly.
- Ja też... kocham cię, Ross.

Łzy ścisnęły jej gardło. Nie mogła zrozumieć, jak mogli pokochać się, mimo tego wszystkiego, co ich rozdzielało. Jednak nie dało się temu zaprzeczyć. Kochała go.

Dalej wpatrywał się w jej twarz, ramiona, piersi, dłońią pieszcząc jej ciało.

- Chcę, żebyśmy byli razem - powiedział poważnym tonem.
- To znaczy tak jak teraz - udało się jej parsknąć ochryptym śmiechem.
- Bardziej niż teraz. Na całe życie.

Gdyby nie leżała na podłodze, to by upadła. A tak mocno oparła głowę i miała wrażenie, że jeszcze głębiej zapada się w dywan.

- Na zawsze?
- Na zawsze.
- Dlaczego? - szepnęła.

Ze znużonym uśmiechem odsunął usta.

- Bo cię kocham. Wcale nie potrzeba jeszcze innych powodów.
- Ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Ale nie musiała, gdyż nachylił twarz i

kiedy ponownie ją zaczął całować, przymknęła powieki.

Tym razem kochał ją niespiesznie, powoli pieszcząc i odkrywając w zmysłowy, zaspokajający sposób, aż wreszcie w obojgu zrodziła się bezkresna namiętność.

Gdy znowu sięgnęli szczytu, miłośnie zaspokoili pożądanie, a Kelly wsparła głowę na ramieniu Rossa. On przyniósł duże, miękkie ręczniki, otulił ich, potem trzymali się w ramionach, cicho rozmawiając.

Wreszcie nałożyli wyschnięte ubrania. Kelly oparła się o ściankę działową, przytuliła kolana do piersi. Ross usiadł obok, jedną nogę wyprostował, drugą podciągnął tak, że mógł się oprzeć o nią łokciem. W ich małym schronieniu zrobiło się przytulnie. Ekspozycja wydawała się im ich wymarzonym domem. Ross trzymał Kelly za rękę, przez jakiś czas milczeli, wsłuchani w szalejący wokół huragan. Kelly nie chciała jeszcze zastanawiać się nad przyszłością, nad tym, co mogła im przynieść. Jeżeli czekała ich jakakolwiek przyszłość. Częścią myśli wciąż była zanadto związana z przeszłością.

- Niesamowite, co? - odezwał się wreszcie Ross.
- Tak - odpowiedziała miękko. - Podejrzewam, że nigdy do tego nie

przywyknę.

Patrzyła mu prosto w oczy, zastanawiając się, czy rozumie, jak sprzeczne targają nią uczucia. Jednak było tak, jakby mogli porozumiewać się bez słów. Wiedział, że ona myśli właśnie o swoim ojcu, że przypomina go jej każdy huragan.

Westchnął.

- Nie masz pojęcia, ile razy odtwarzałem sobie na nowo ten dzień, w którym zginął twój ojciec, rozmyślałem, czy mógłbym wtedy postąpić inaczej. Ale nawet nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć tamtych wydarzeń.

- Wiem, o co ci chodzi. - Oparła głowę o ścianę. - Pamięć zaczyna zawodzić. Tak bardzo chcesz zmienić to, co się zdarzyło, że niemal staje się to dla ciebie realne. A jednocześnie nie możesz dokładnie odtworzyć wszystkich szczegółów.

Potrząsnęła głową.

- Niekiedy czuję, że zapamiętujemy to, co najgorsze, a nie to, co najlepsze. Tak nie powinno być.

Mocniej uściśnęła jej dłoń.

- Nie, nie powinno. Ale wygląda na to, że tak jest. W jej piersiach rozpałił się potężny płomień wzruszenia, podpłynął jej do gardła.

- Przepraszam cię, Ross. Chciałam kogoś oskarżyć. Chciałam, żeby śmierć taty nastąpiła za sprawą czyjejś winy. Mam wrażenie, że po prostu byłam na niego wściekła, że nas zostawił.

Szlochając mówiła dalej:

- Nie chciałam przyznać, że jestem na niego zła. Powinien być bardziej ostrożny. Potrzebowaliśmy go z Annie. Jak mógł postąpić tak lekkomyślnie, kiedy wiedział, że ludzie go potrzebują?

Otoczył ją ramionami, przygarnął bliżej.

- Wiem, wiem - powiedział kojąco. - W złości nie ma nic złego. Oboje żałujemy tego, co się stało. Ale on poszedł za jakąś nową przygodą. Może nadszedł już czas, byśmy pogodzili się z tym, co zrobił, i wybaczyli mu, że podjął takie ryzyko.

Kiwnęła głową, czując piekące łzy, teraz jednak były to łzy ulgi. Już więcej nie oskarżała Rossa. A w sercu wiedziała, że zaczęła także wybaczać ojcu.

Cztery godziny później huragan zelżał do tego stopnia, że Ross zdecydował się pójść do furgonetki i porozumieć się przez CB radio. Ekipy ratownicze miały mnóstwo pracy, toteż z zadowoleniem przyjęto wieść, że Rossowi i Kelly nic się nie stało. Kelly porozmawiała ze znajdującym się w kwaterze głównej Wilsonem, a ten zapewnił ją, że Annie świetnie się miewa. Nikt nie musiał wiedzieć, że niedawno znajdowali się w niebezpieczeństwie.

Kiedy okazało się, że woda opadła na tyle, by można się było wydostać na szosę, ruszyli.

- Ruch w głębi łądu jest nieco zakorkowany - oznajmił głos dyspozytora. - Ale na mostach jest w porządku. Huragan zaskoczył na Belleair Beach trochę osób, tak że ewakuacja odbywała się w pośpiechu w ostatniej chwili. Teraz ci, którzy zostali,

jadą na oślep, przerażeni, że ta cisza to tylko oko cyklonu.

- Przyjąłem. Pojedziemy szosą Belleair.

Ross odłożył mikrofon i zawrócił furgonetkę. Kelly przez siąpiący deszczyk wypatrywała, czy nie przeoczyli kogoś, komu przydałaby się ich pomoc. Woda wciąż zalewała Gulf Boulevard, jednak na tyle płytko, by dało się przez nią przejechać.

W drodze powrotnej zatrzymywali się, by kilku osobom udzielić pomocy. Kierowcę, któremu zgasł silnik, podrzucili furgonetką. Uratowali dziecko i kotkę, chroniące się na dachu garażu. Już w głębi ładu przystanęli, by pomóc starszej pani, która wywędrowała w świat z domu spokojnej starości. Przeważnie jednak zatrzymywali się, żeby porozmawiać z przerażonymi ludźmi, za pomocą CB radia kontaktowali się z dyspozytornią, która informowała ich, gdzie znajdują się pracownicy Czerwonego Krzyża i jak długo potrwa, nim przywrócona zostanie elektryczność.

Reszta dnia okazała się wyczerpująca, ale warta tego. Kiedy zajechali z powrotem do Centrum Huraganów wieczorem tuż przed kolacją, Kelly miała wrażenie, że padnie na łóżko i prześpi dobrych parę godzin. Jednak na widok Annie, bezpiecznej, choć nieco już znudzonej, natychmiast poczuła przyływ sił.

Jak tylko zdjęła przemoczony kombinezon i kurtkę, mocno uściskała dziewczynkę.

- Cieszę się, że cię widzę - zawołała.

- Wilson mówił, że pojechaliście z misją ratowniczą. Uratowaliście kogoś? - dopytywała się Annie.

Kelly uśmiechnęła się, odgarniając z twarzy wilgotne włosy.

- Tak, uratowaliśmy. Nawet kotkę. Orzechowe oczy dziewczynki stały się okrągłe jak spodki.

- Kotkę?

- Tak, już wszystko z nią w porządku. Odstawiliśmy kotkę i jej małego pana z powrotem do domu.

Kelly w szatni rozebrała się do rosołu i weszła pod gorący prysznic. Nigdy dotąd nie czuła się tak dobrze. Może była to sprawa żarliwej namiętności, jaka połączyła ich z Rossem. Przymknęła oczy i pozwoliła, by woda spływała jej z włosów, miała głębokie poczucie spełnienia. Dzisiaj przy Rossie czuła się pewna siebie. Rozradowana, owszem, wystawiona na próbę przez zew natury, owszem. Jednak zdumiała ją, że mimo wszystko potrafiła nad tym zapanować.

Czy właśnie coś takiego czuł również Sherman? Który nie bał się stawić czoła żywiołom, gdyż robił to, co sam sobie wybrał?

Wytarła się i włożyła czyste, suche ubranie. Miała wrażenie, że doświadcza

czegoś w rodzaju objawienia. Jakież to dziwne, że nikt nie potrafi powiedzieć drugiej osobie, co naprawdę się liczy. Każdy musi odnaleźć to na własną rękę. Czekać na objawienia, które nadchodzą w chwilach cudu.

Jej rozmyślenia nie trwały długo. Kiedy wróciła na stanowisko pracy, szybko zrozumiała, że nie wszystko idzie pomyślnie. Jean wyjawiała jej, że Wilson przez cały dzień był zdenerwowany. Wiele spraw szło jak po grudzie. Niektóre z prognoz ponownie okazały się błędne, więc Wilson znalazł się w kropce.

- Jeżeli tak dalej potrwa, utną nam wszystkie dotacje - Enrico wyjaśniał Kelly i Rossowi. - Martwię się o naszego szefa. Tak, to drobne pomyłki, ale jeśli nie zostaną naprawione, może stracić pracę.

Kelly popatrzyła na niego zaniepokojona.

- Aż tak źle? Enrico kiwnął głową.

- Na to wygląda. Musimy coś wymyślić. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś, kto tutaj pracuje, chce, żeby Centrum Huraganów fatalnie wypadło. I jego kariera, jego reputacja ucierpi podobnie jak nasza. Mam wrażenie, że ten człowiek dąży do samozagłady.

Kelly nic nie odpowiedziała, tylko odepchnęła od siebie tę myśl. Kiedy wreszcie Wilson puścił ich do domu, poszła po Annie. Rzeczywiście, Wilson wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego bardziej niż zwykle. Nie wiedziała, jak go pocieszyć, toteż niewiele się odzywała.

Gdy Ross poszedł z nimi do jej samochodu, czuła się przygnębiona.

- Ja jeszcze tutaj chwilę zostanę - poinformował ją. - Ale później podjadę do ciebie.

- Nie musisz - powiedziała ze zmęczonym uśmiechem. - Naprawdę. Poradzimy sobie. - Była tak wyczerpana, że miała wrażenie, iż uśnie na stojąco.

Popatrzył na jej zamykające się oczy i najwyraźniej wszystko zrozumiał.

- Nie wołałabyś, żebym was odwiózł do domu?

- Nie, mogę prowadzić. Po prostu nie obiecuję nic potem.

Pozwolił im odjechać, ale stał na parkingu patrząc za nimi.

Dopiero wtedy Kelly zaczęła się zastanawiać nad słowami Enrica. Że jeśli ktoś celowo chce wyrządzić szkodę, to taki sabotażysta musi uważać, że nie rysuje się przed nim nazbyt świetlana przyszłość. Z jakiego powodu ktoś, kogo czeka obiecująca kariera, pragnąłby zaszkodzić Centrum Huraganów?

Rozdział 14

W domu Kelly nakarmiła Annie i przebrała ją w piżamkę. Potem sama wyciągnęła się na sofie i przy zapalonym świetle zapadła w sen.

Koło północy z trudem wstała, zgasiła lampę i na wpół przytomna poszła do sypialni, gdzie zasnęła kamiennym snem. Jednak przez całą noc dręczące ją obrazy pojawiały się we śnie. Mimo to, kiedy obudziła się o świcie, wcale nie czuła się zmęczona. Prawdę powiedziawszy, nocne przemyślenia musiały okazać się owocne. Obudziła się przytomna, wypoczęta. Czuła, że może działać dalej.

W ciągu kilku następnych dni Kelly oswoiła się z myślą, że ona i Ross zostali kochankami. W pracy udawało się im zachowywać kontakty wyłącznie służbowe, jednak co wieczór Ross odwiedzał ją w domu. Po cichym obiedzie, przygotowanym przez panią Wilson, Ross spędzał czas z Kelly i Annie, potem czekał, aż Kelly odprawi Annie do krainy snów.

Wtedy oboje pieścili się w mroku sypialni Kelly, za oknem widać było promienie księżycy lśniące na wodach Zatoki Old Tampa. Kochali się, jakby poznawali się na nowo, odkrywali nowe pokłady namiętności i rozkoszy. Następnie Kelly związała się w kłębek przy jego boku i odprężona zapadała w drzemkę.

Czasami budziła się, przerażona złowieszczym snem. Był to znak, że drążące ją koszmary nie zniknęły jeszcze całkowicie. Może prześladowca jest ostrożniejszy teraz, kiedy ochrania ją Ross. A może tylko na coś czeka.

Cały czas była wyczulona na jakiegokolwiek poszlaki w Centrum Huraganów, więc gdy Wilson wezwał ją do swojego gabinetu, Kelly przygotowała się na najgorsze wiadomości. U Wilsona zastała Michaela Palio, dyrektor zamknął drzwi. Komputerowiec był poważnym młodym człowiekiem. Kelly nie znała go zbyt dobrze. Miał przereźdzone jasnobrązowe włosy, okrągłą twarz, za ucho jak zawsze zatknął ołówek. Kiedy usiedli, czekał, aż Wilson zacznie rozmowę.

Ten okręcił się na fotelu za biurkiem.

- Michael na coś natrafił, ale chcę zachować to w tajemnicy. Niech to zostanie między nami trojgiem w tym pokoju.

Kelly uniosła brwi. Nie obraziłaby Wilsona pytaniem, czy jest absolutnie pewny, że w gabinecie nie zainstalowano jakichś elektronicznych podsłuchów. Jednak oczywiście, Ross pewnie się tym zajął, prowadząc swoje oficjalne dochodzenie.

- Co takiego? - spytała.

- Michael, wytłumacz - odezwał się Wilson. Komputerowiec nachylił się na

krześle, z namyśłem ściągnął cienkie brwi.

- Hasło.
- O? - Kiwnął głową.
- Ktokolwiek w ubiegłym tygodniu przesłał do twojego komputera komunikat o błędzie, musiał się wpierw zalogować. Skorzystał z hasła. Mam dostęp do wszystkich haseł, jednak użytkownik może w każdej chwili zmienić własne. Tak czy owak, zdołałem odszukać hasło stworzone dla tego pliku. Kelly szybciej zaczął bić puls.

- Jakie ono było?
- Windman - wyjaśnił Michael.

Windman. W jakiś sposób to pasowało. Zwróciła się do Wilsona:

- A do kogo to hasło należało?

Wilson w grymasie niezadowolenia ściągnął wargi.

- Nie wiemy. Michael mówi, że to hasło już nie istnieje. Ktokolwiek z niego korzystał, natychmiast je wymazał, żebyśmy nie mogli go wytropić.

- Czy możecie stwierdzić, w którym komputerze powstał ten plik?

- W twoim - odparł Michael bez wahania. Oczywiście. Ta osoba chciała rzucić oskarżenie na

Kelly, że niby ona sama to wszystko spreparowała.

- Mogłam się domyślić.
- On albo ona musiał podejrzeć, jak wstukujesz swoje hasło, żeby zyskać dostęp do komputera, kiedy ciebie nie będzie w pobliżu.

Pokonana pokręciła głową.

- Więc w dalszym ciągu nie wiadomo, czyja to sprawka.

- Nie - potwierdził Michael. - Nie wiadomo. To wszystko, co mogłem stwierdzić. Przykro mi.

Pod Wilsonem skrzywnął fotel.

- Dziękuję, Michael. Bardzo nam pomogłeś. Jak powiedziałem, zachowaj tę sprawę w tajemnicy.

Młody człowiek skinął głową.

- Nie ma problemu.

Wychodząc, obrzucił Kelly współczującym spojrzeniem.

- Windman - powiedziała, zastanawiając się nad tym hasłem.

Wilson popatrzył na nią znad okularów, które zsunęły mu się po nosie.

- Tak właśnie musi siebie nazywać. Czy to ci cokolwiek mówi?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie. Ale teraz, kiedy wiem, będę mieć oczy szeroko otwarte. Może się w jakiś sposób zdradzi.

Wilson odchrząknął.

- Ja też będę bacznie obserwował - dodał. - Podobnie Ross. Wciąż zajmuje się tą sprawą.

Nie mogła spojrzeć Wilsonowi w oczy.

- Wiem.

Wróciła do swojego biurka, ostrożna i czujna. Kiedy tylko miała sposobność, przeglądała skrawki papieru i podarte koperty na wypadek, gdyby Windman miał skłonność do zapisywania na czymś swojego przezwiska. Jednak nie udało się jej trafić na inne ślady.

Środowy wieczór Kelly spędziła sama, gdyż Ross poszedł na siłownię poćwiczyć. Z firmy magazynowej w Boulder dostarczono skrzynie. Przerzucała papiery, starannie czytając podania o dotacje i listy, utknięte wśród innych dokumentów i raportów. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Folder zatytułowany „Zachodnie Kansas”.

Rozpoczął się od artykułu na temat agencji zarządzania zasobami wodnymi w zachodnim Kansas, która wynajęła specjalistów od sztucznego oddziaływania na warunki atmosferyczne, aby wywołali deszcz konieczny dla upraw. Prawie wszyscy zgodzili się, że w pewnych warunkach z chmur można uzyskać opady. Lecz prognozowanie pogody było złożonym procesem, w którym, niewiele udawało się przewidzieć jedynie za pomocą uczonych domysłów, ponadto farmerzy znad granicy z Kolorado traktowali samoloty wynajęte do zaszczepiania chmur jako coś grzesznego. Twierdzili, że taka chmura przyniesie grad, który zrujnuje uprawy zboża warte tysiące dolarów. Rozgorzała zażarta dyskusja. Sherman zwrócił się o dotację na przeprowadzenie badań nad tym zagadnieniem.

Kelly, zrozumiałszy to, poczuła dreszczyk. A więc tata interesował się modyfikacją pogody i zamierzał osiągnąć coś w tej dziedzinie. Może więc tutaj, pod samym ich nosem, dokonywane są również próby wpływania na warunki atmosferyczne? Jeżeli tak, sabotażysta, o którym teraz myślała jako o Windmanie, musiał wiedzieć, że wpadnie na jego trop. Ona lub on musi być przekonany, że Kelly wie to, co wiedział jej ojciec, i znakomicie zna ten problem.

Kilkakrotnie przeczytała notatki ojca. Najwyraźniej wierzył, że zaszczepianie chmur pomoże farmerom w uprawach. Wierzył, że skutecznie i prawidłowo wykorzystywane wysoko podniesie wydajność.

Lecz jeśli owa metoda jest odpowiednio stosowana, to dlaczego ktoś lęka się tego, co Kelly mogłaby odkryć? Odpowiedź brzmiała, że ktokolwiek zaangażował się w taką działalność, nie gra zgodnie z regułami. Nie robi tego oficjalnie, opłacany przez miejscową agencję.

Zatem jego celem musi być destrukcja, a nie pomoc.

Włosy stanęły jej dęba, kiedy starannie odłożyła dokumenty do foldera i zabezpieczyła go w dolnej szufladzie biurka. Potem z godzinę nerwowo przemierzała salon, podejmując decyzję. Prześladowca jedynie ją usiłował stąd wypłoszyć, to jej chciał w jakiś sposób zagrozić. W takim razie tylko ona sama jest w stanie zmusić go, żeby się zdemaskował. Rossowi nie spodobałoby się takie stanowisko, ale ona musi przecież wprowadzić swój plan w życie. Musi stawić czoło temu, kto depta jej po piętach. Człowiek ten nie ujawni się, póki będzie wiedział, że Ross ją ochrania.

Nie, musi zaplanować to tak, aby prześladowca sądził, że jest sama. Wykorzysta siebie w charakterze przynęty. Nie jest jednak na tyle głupia, by stawiać się w sytuacji, z której nie potrafiłaby się wykaraskać. Musi zatem w jakiś sposób zabezpieczyć sobie tyły. Musi dla dobra Annie zachować bezpieczeństwo. Rodzice dziecka zginęli, toteż jej życie jest zbyt cenne. Nie może na resztę dni zostawić Annie samej. Gdyż poza nią wszyscy już opuścili dziewczynkę.

Wie, że musi zapewnić przyszłość sobie i siostrzenicy, ale musi też zagrozić drogę prześladowcy. Musi dowiedzieć się, kto kryje się w cieniu, starając się przemienić naukową wiedzę w coś złowrogiego. Groźby w jednym względzie osiągnęły zamierzony cel. Wciągnęły Kelly w ryzykowną grę, w której, jak dziewczyna sądziła, to ona musi zwyciężyć.

Podstawowy problem tkwił w tym, żeby, gdy tylko ona zacznie działać, Annie miała już zapewnioną opiekę. Okazja się nadarzyła, kiedy zatelefonowała Nina Quindry. Chciała zaprosić dziewczynkę na przyjęcie urodzinowe wydawane dla dziecka sąsiadów. Rodzina z sąsiedztwa przeprowadziła się tutaj stosunkowo niedawno, toteż Nina przedstawiała ją przyjaciółom. Annie zaś poznała już ich małą córeczkę, no i sama powinna znaleźć sobie przyjaciół, może więc zechciałaby przyjść?

- Jak miło z twojej strony, Nino - ucieszyła się Kelly, wystuchawszy słów tamtej.
- O której mogłabym ją przywieźć w niedzielne popołudnie?
 - Mniej więcej o wpół do czwartej - odparła Nina. - Wolałabym, żeby dzieciaki nie straciły apetytu na obiad, kiedy wcześniej objedzą się u mnie ciastem.
 - Mam coś przynieść?
 - Nie planujemy niczego wystawnego - roześmiała się Nina. - To nie takie proste, kiedy jest mnóstwo dzieciaków.
 - Poszukam prezentu. Chyba mówiłaś, że Katy kończy pięć latek?
 - Zgadza się. Ale nie wybieraj niczego wyszukanego. Ta mała ma wszystkiego pod dostatkiem.
- Dobrze - przyrzekła Kelly. - Mimo wszystko jednak, urodziny powinny zapisywać się w dziecięcej pamięci..

Kiedy się rozłączyły, przypomniała sobie, że Johann ma synka. Ciekawe, czy i on został zaproszony. Jeżeli tak, Johann zyska idealną okazję, by dostosować się do jej planu - jeśli to on jest tajemniczym sabotażystą, na którego zastawiała pułapkę.

Następny wieczór po pracy poświęciła na sprawunki. Kupiła prezent urodzinowy i potrzebne produkty dla domu. Żałowała, że nie może wtajemniczyć Rossa, ale nie była gotowa dać odporu jego nieuniknionym sprzeciwom. Powie mu o wszystkim, kiedy nadejdzie stosowna pora.

W piątek w pracy Kelly wspomniła obojętnie, że planuje tu spędzić niedzielne popołudnie, oglądając odczyty radarowe.

- Muszę poćwiczyć przechwytywanie tych obrazów - wyznała Enricowi, upewniając się jednocześnie, że Johann dobrze słyszy jej słowa. - Ostatnim razem skończyło się na tym, że miałam puste pliki. Powinnam chyba raz jeszcze przetrenować całą procedurę i chcę mieć możliwość lepszej koncentracji.

- W niedzielę? - zdziwił się Enrico, unosząc brwi. - A mała Annie nie wolałaby wyjść na słońce i pobawić się? W ciągu kilku, następnych dni nie spodziewamy się huraganu.

- Och, wszystko załatwione. Nina wydaje przyjęcie urodzinowe dla córeczki sąsiadów. Odstawię więc tam wcześniej Annie, a sama przyjadę tutaj.

- Jesteś bardzo obowiązkowa - stwierdził Enrico, obrzucając ją uważnym spojrzeniem.

Zaniechała na chwilę tego tematu, jednak poruszyła go znowu, kiedy w kafeterii jadła lunch z Jean i Neilem.

- Annie wybiera się w niedzielę na przyjęcie urodzinowe - powiedziała im z ożywieniem. - Cieszę się, że jest zapraszana. Pozwoli jej to nawiązać przyjaźnie.

- Kim jest przyjaciółka? - spytała Jean, przeżuując marchewkę.

- Dziewuszka, która mieszka obok Quindrych. Pamiętasz, była u nich w ubiegły piątek?

- Och, tak - zamyśliła się Jean. - Mała blondyneczka.

- Zgadza się. Będę mogła tam podrzucić Annie, a sama zyskam okazję, by wpaść do biura i popracować parę godzin, nim ją odbiorę.

- Kelly - zbesztła ją Jean. - Już i tak wyrabiasz nadgodziny, kiedy ogłaszają alarm. "Nie powinnaś pracować w weekendy, gdy nie przewidujemy huraganu.

Kelly wzruszyła ramionami.

- Och, mnie to nie przeszkadza. Rozumiesz, dla mnie naprawdę to nie jest praca, robię to, bo lubię. Poza tym, Wilson będzie zadowolony, jeżeli zdołam opanować całą procedurę wyłapywania zdjęć satelitarnych.

- Uhm - zgodziła się Jean.

Kelly dopilnowała, aby wszyscy z zespołu dowiedzieli się, że w niedzielę będzie

sama w biurze. Wszyscy, oprócz Rossa. Toteż kiedy w piątkowe popołudnie wychodzili z pracy, była zadowolona, że udało się jej zastawić pułapkę. Windman z pewnością chwyci przynętę.

Tego popołudnia Kelly, Ross i Annie wybrali się na spacer po plaży. Wiał lekki, odświeżający wietrzyk. Kelly i Annie chichotały, kiedy chłodna fala zasypywała im piaskiem stopy. Ross i Annie rzucali kółkiem, a potem usiedli we trójkę, otulając się plażowym ręcznikiem i podziwiając, jak ostatnie światło gości za purpurowym horyzontem.

- Czerwone niebo o wieczorze... - zaczął Ross stare, żeglarskie porzekadło.

- ...Możemy wyruszać na morze - dokończyła Kelly. Wtuliła się w jego silne ramiona, Annie trzymała na kolanach. Jak rodzina, pomyślała. Kiedy odwróciła się, by popatrzeć na profil Rossa, przeszło ją poruszające, głębokie wzruszenie. Był taki przystojny, miał mocno zarysowaną szczękę, oceaniczną bryza delikatnie rozwiewała jego ciemne włosy. Wydawało się, że ciemnymi oczami wpatruje się w niebo i plażę. Jednak Kelly potrafiła odgadnąć, że naprawdę jest pogrążony w głębokich, osobistych rozmyślaniach.

Później, kiedy wrócili do mieszkania Kelly, a Annie poszła spać, Ross pociągnął ją na sofę i gładził jej długie włosy, delikatnie rozczesując je palcami. Myślami jednak najwyraźniej błądził gdzie indziej.

- Jakie masz plany? - spytała go.

Ross nie musiał pytać, o co jej chodzi. Wyprostował się, odsunął dłoń z jej włosów.

- W ten weekend sprawdzam „Herculesa”. Osoba, którą ścigamy, musi dokonywać sabotażu, kiedy odbywamy lot. Zakłóca nasze transmisje albo uniemożliwia odczyt prawidłowych danych. Wezwałem niezależnego eksperta od elektroniki, który testuje cały sprzęt.

- I?

- Jak do tej pory nie trafiliśmy na nic podejrzanego, ale jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Będę więc znowu z nim współpracował podczas weekendu.

Kelly poczuła przyływ adrenaliny.

- Dobrze - powiedziała.

Taki układ idealnie pasował do jej planów. Teraz nadeszła pora, by przygotować Rossa na resztę wiadomości.

- Wczoraj natrafiłam na parę ciekawych artykułów i ofertę przyznania dotacji. Na badania nad sztucznym oddziaływaniem na warunki atmosferyczne.

Ross szerzej otworzył senne oczy i błyskawicznie oprzytomniał.

- Gdzie są?

- Przyniosę je.

Zaparzyła kojącą herbatę w czasie, kiedy Ross przeglądał dokumenty. Gdy wróciła z tacą, ujrzała, jak zmarszczony pociera palcem brodę. Przeszył ją dreszcz.

- A więc to spowodowało szaleństwo naszego sabotażysty. - Spojrzał jej w oczy. - Cały czas to podejrzewałem. Kolejny powód, by przeczesać „Herculesa”.

Kelly usiadła i nalata sobie herbaty. Upiwszy tyk, odezwała się spokojnie:

- Sądzisz zatem, że ktoś usiłuje modyfikować pogodę, kiedy lecimy samolotem w chmurach.

- Możliwe. Jeżeli znalazł sposób, by zaszczerpić w chmury jodek srebrowy w nadziei, że zwiększy opady. .

Kelly znała tę teorię. Chmury zawierają wilgoć, lecz większość z niej nigdy nie sięgnie ziemi. Niczym perły, krople deszczu gromadzą się wokół mikroskopijnych cząstek elementarnych. Jednak wiele chmur nie ma ich dostatecznie dużo, by spadł deszcz. Tak więc meteorolodzy wszczepiają dodatkowe cząsteczki w formie jodku srebrowego, by dzięki temu zgromadzona wokół nich wilgoć skropliła się.

- Sądzisz zatem, że Windman znalazł na to sposób, kiedy byliśmy na „Herculesie”. Czyżby naprawdę chciał, aby huragan stał się jeszcze groźniejszy niż jest pierwotnie?

Ross westchnął. Nie zareagował na dźwięk pseudonimu Windman, co potwierdzało podejrzenia Kelly, że Wilson o wszystkim go poinformował.

- Problem z modyfikacją pogody polega na tym, że po długotrwałych badaniach nie można udowodnić teorii o wpływaniu na warunki atmosferyczne. Naukowcy zaszczerpiają chmury. Spada deszcz. Może i bez tego by spadł. Nikt nie jest w stanie z całą pewnością tego udowodnić. Ten problem przeniknął nawet w sferę polityki i emocji.

- Tak - potwierdziła Kelly, myśląc o Windmanie. - Najwyraźniej wzbudził wiele emocji.

- Zatem, nie ma znaczenia to, że Windman powoduje spustoszenie w naszych prognozach pogody. Problem w tym, iż uważa, że może to zrobić.

- I przekonał do tego jeszcze inne osoby? - podekscytowana Kelly wpadła mu w słowo.

- Może. Kogoś, kto mu za to płaci.

Odstawił kubek na boczny stolik, potem sięgnął po rękę dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, aż oboje wyciągnęli się na sofie. Ułożył ją w ramionach i oparł brodę o jej głowę.

- Kochanie, pragnę, aby już było po wszystkim. Potem zaplanujemy naszą przyszłość. - Delikatnie pocałował ją w skroń. - Powinniśmy założyć rodzinę - szepnął na ucho.

Właśnie o tym rozmyślała na plaży. Może, mimo wszystko, to było nieuniknione.

- Ja też tego pragnę - przyznała. - Jak tylko...

- Tak - powiedział lakonicznie Ross. - Jak tylko przyszpilimy sukinsyna, który przysporzył nam kłopotów.

W niedzielę Kelly wcześniej odwiozła Annie na przyjęcie do Niny, a sama pojechała do bazy. Ross powiedział jej, że będzie pracował nad „Herculesem” wraz z załogą naziemną, toteż postanowiła uruchomić dwustronne połączenie radiowe między nimi a centrum pogodowym. Wtedy będzie w stanie w razie potrzeby wezwać go drogą radiową.

Drżała, przemierzając wietrzny parking i podpisując listę na biurku ochroniarza. Kiedy winda ze świstem ruszyła w górę, nerwy miała już napięte do ostatnich granic. Na piętrze panowała cisza, jej kroki towarzyszyły echem biciu jej serca. Włączyła komputer, czujna na każde skrzypnięcie w budynku, nasłuchująca, czy ktoś się nie porusza.

Uruchomiła przy komputerze magnetofon z taśmą -starczającą na dwie godziny, kawałkiem czarnej taśmy izolacyjnej zakryła czerwone światełko, wskazujące nagrywanie. Potem zamaskowała urządzenie jakimiś papierami. Po odcięciu taśmy zamknęła mały szwajcarski wojskowy scyzoryk, który składał się z nożyka, miniaturowych nożyczek, pilnika i pincety i wsunęła go do kieszeni dzinsów. Sprawdziła połączenie z załogą naziemną, choć nie poprosiła Rossa. Położyła jednak słuchawki w zasięgu ręki.

Potem czekała. W laboratorium panowała taka cisza, że szum komputera brzmiał jej w uszach niczym głośny warkot. Serce dudniło jej w piersiach. Załóżmy, że coś pójdzie nie tak? Załóżmy, że przestępca jest kimś więcej, niż tylko chorym, spiskującym człowiekiem bez zasad? Załóżmy, że pojawi się tutaj z bronią?

Właśnie kiedy zaczęła się trząść z napięcia, coś usłyszała. Zachowywał się cicho, musiała wstrzymać oddech, by się upewnić. Jednak nie ulegało wątpliwości, że ktoś stanął za jej plecami po drugiej stronie pomieszczenia. Nim się odwróciła, włączyła radionadajnik, modląc się, by ktoś na „Herculesie” był na nasłuchu.

Obróciła się powoli i napotkała Maxa Omariego, celującego do niej z rewolweru. Przełknęła ślinę i głośno wymówiła jego pseudonim.

- Windman.

Max szerzej otworzył małe szare oczy, przeszywał ją spojrzeniem zza okularów w drucianych oprawkach. Musiała przywołać całą odwagę, by zostać tutaj i modlić się, żeby nie strzelił, nim zdoła go zmusić do mówienia. Postąpił krok bliżej, zadowolony, że prócz nich nie ma nikogo w tym wielkim, przestronnym pomieszczeniu.

- Jesteśmy tylko my, Max - odezwała się drżącym głosem. - Tylko ja.

Podszedł bliżej, zerknięcie w jego rozszerzone oczy dało jej nadzieję, że nakłoni go, by mówił o sobie, by pochwalił się swoimi dokonaniem. Przewornie stanęła przed magnetofonem, wiedząc, że każde słowo Maxa zostanie utrwalone.

- Chcę znać powody, Max. Dlaczego mnie prześladujesz? Z pewnością nie mogę pokrzyżować twoich planów.

Machał bronią w tył i w przód, ale nie trzymał jej na muszce. Teraz zyskała szansę, by skłonić go do mówienia.

- Co chcesz przez to zyskać, Max? Zamierzasz zdobyć uznanie? Tak?

- Milcz - wreszcie wypluł te słowa. Sięgnął za jej plecy i wyłączył nadajnik.

- Zbyt wiele gadasz. Jak twój ojciec. Nie jesteś taka genialna. On też nie był.

Oczywiście, zostałem pominięty przy awansie. Nikomu się nie spieszyło, żeby wydziałem kierował imigrant z Niemiec. Zawsze tak się dzieje. Możesz wyczytać to w ich wzroku. Nie powiedzą tego wprost, ale tak jest. Cóż, teraz zaczną żałować. W końcu to moje będzie na wierzchu.

Kelly strasznie się bała, jednak twardo nie zamierzała się poddawać. Musiała zrozumieć, co on robił i w jaki sposób.

- Czy to zaszczepianie chmur, Max? Czy masz kontrolę nad huraganami?

Sprawiasz, że stają się jeszcze groźniejsze? Dlaczego?

Miał złowrogi, niesamowity uśmiech.

- Bardzo bystra córka łowcy burz. Przecież każdy tego pragnie, nie tak?

Kontrolować pogodę? Cóż, umiemy zaszczepić chmury i wywołać deszcz, sprawić, by chmury niosły zagładę.

- Skrzywiła się.

- Dlaczego pragniesz tego wszystkiego?

- Oczywiście dla forsy. Mój klient już teraz szanuje Maxa Omariego. Mój klient płaci Windmanowi, by posiał ziarna zniszczenia.

Przez myśl przemknęła jej wizja niewiarygodnych strat materialnych wyrządzonych przez huragan. Zaczynała wszystko pojmować.

- Dążysz do zniszczeń materialnych. I to tylko dlatego, że ktoś, kto zyskuje kontrakt na odbudowę, płaci ci łapówkę? Jakiś potężny przedsiębiorca chce, by wypłacono mu odszkodowanie za odbudowę dróg, mostów, budynków. A ty dostaniesz od tego procent. Mam rację? - Było to szalone i przerażające.

- To moja sprawa, co i z jakiego powodu robię. Nie zrozumiesz, co znaczy konieczność zgromadzenia pieniędzy, zapewniających bezpieczną przyszłość.

- Max, w istocie nie różnisz się tak bardzo od mojego ojca i ode mnie. - Starła się, by głos jej brzmiał spokojnie, rozsądnie. - Wszyscy chcemy zrozumieć pogodę. Ojciec doceniał twoje zdolności. Gdyby dożył chwili, w której zostałyby

szefem wydziału, na pewno by cię awansował.

Omari muszką rewolweru odgonił tę sugestię.

- Bzdura. On myślał wyłącznie o swoim własnym awansie. A ty jesteś taka jak on. Zbyt przebiegła.

- Ojciec był tylko źle opłacanym profesorem uniwersyteckim. Nie robił niczego dla pieniędzy. Przeprowadzał badania, bo, je uwielbiał. Za każdym razem, kiedy ścigał tornado, ryzykował życiem. Popełniasz błąd, sądząc, że aż tak bardzo cię okpił.

Zaniechała jednak bronienia tej sprawy, gdyż uświadomiła sobie, że sprowokowany Max może użyć broni. Wymachiwał rewolwerem.

- Siadaj na krześle i trzymaj ręce z daleka od ciała. Wypełniła polecenie, do oczu napłynęły jej łzy.

Straciła szansę na skontaktowanie się z Rossem przez radio. Jakże pragnęła, aby mogła sprawić siłą woli, że wtargnąłby przez drzwi.

- Zatem, jak tego dokonujesz, Max? - Jej głos drżał, mimo to naciskała dalej. - Jak przesyłasz jodek srebrowy z „Herculesa” w chmury?

Odchrząknął.

- To moja mała tajemnica. Nie ma potrzeby, abyś ją poznawała.

Za plecami usłyszała jakieś poruszenie i czyjeś kroki. Wciągnęła oddech. Ktoś przybył jej na pomoc? Lecz kiedy zerknęła przez ramię, ujrzała nieznanego sobie, potężnego, muskularnego mężczyznę, który wynurzył się z cienia i okrążył ustawione w podkowę stanowiska meteorologów. Panika ścisnęła jej gardło. Kto to?

- Zwiąż ją - warknął Max. - Najwyższa pora pozbyć się jej na dobre.

Otworzyła usta do krzyku, ale zbir o nikczemnych, wąskich, ciemnych oczach sięgnął po nią. Krzyk „ratunku” zamarł jej w gardle, kiedy zaczęła się z nim szarpać. Potem potężne łapsko przytknęło jej ostro cuchnącą szmatę do warg i nosa.

Chloroform, uświadomiła sobie i zaczęło jej wirować w głowie. Walczyła, krztusiła się, niewiele jednak mogła zdziałać siłą przy tym mężczyźnie. Spętał ją linami, przywiązał ramiona do ciała, unieruchomił jej stopy, tak że nawet nie mogła kopać.

Ross! - krzyczała w myślach, kiedy traciła już przytomność. - Na pomoc!

Rozdział 15

Ross przeszedł asfaltowym pasem do kwatery głównej, by sprawdzić, czy Kelly już przyjechała. Kiedy przesunął kartę przez elektroniczny czytnik i następnie podpisał się, poczuł na ciele gęsią skórę.

Korytarze były puste. Jednak coś czaiło się w cieniu. Coś złowieszczonego. Nie przystanął, żeby sprawdzić, co to takiego, tylko przyspieszył kroku. Gdy na tabliczce zobaczył światełko, wskazujące, że winda stoi w suterenie, nie chcąc tracić czasu na jej przywołanie, ruszył schodami.

Nina Quindry przypadkiem wspomniała, że Kelly miała przyjechać do bazy. Popatrzył na zegarek i pomyślał, że Kelly jeszcze nie powinno tu być. Dziecięce przyjęcie u Wilsonów dopiero się rozpoczynało.

Chyba że podzuciła tam Annie wcześniej. Nie miało to sensu, ale przecież Kelly nawet nie przyznała mu się, że zamierza być w pracy, co go niepomiarnie zdziwiło. Do diabła, Kelly, w co ty grasz?

Wpadł do dużej sali i stanął jak wryty. Nie było tutaj nikogo. Niczego.

Zaczął ponownie równo oddychać. Wiedział, że jest zdenerwowany, choć nie było powodu.

Kiedy jednak obszedł wkoło stół z wielkimi mapami i dotarł do monitorów komputera, znowu zdjął go dreszcz. Coś usłyszał. Co to było? Prawie niedo-słyszalny dźwięk, jakby coś się przesuwalo.

Zatrzymał się przy stanowisku Kelly. Jeden rzut oka zdradził mu, że ona tam była. Odgarnął na bok papiery i ujrzał magnetofon. Przycisnął guzik przewijania, wpatrywał się niecierpliwie, cały czas szukając innych znaków, innych wskazówek.

Coś się tutaj zdarzyło. Coś złego się stało.

Taśma zatrzymała się z trzaskiem. Nacisnął przycisk PLAY. Natychmiast usłyszał głos Kelly wymawiający pseudonim Windman. Krew zakrzepła mu w żyłach. Podkreślił głośność, usłyszał, jak rozmawia z Maxem Omarirn. Usłyszał, jak tamten jej odpowiada.

Cholera jasna. Co się stało? Z większą cierpliwością, niż podejrzewał, że go stać, przestuchał całe nagranie, aż wreszcie usłyszał, jak Max nakazuje komuś zwiazać Kelly. Nie zatrzymując taśmy, chwycił słuchawkę telefonu. W domu Wilsona odebrała Nina.

- Nina, tu Ross. Daj mi Wilsona. To pilne. Człowieku, pospiesz się, myślał, czekając niemal

wieczność, aż Wilson wreszcie się zgłosi.

- Ross?

- Jestem w bazie. To Omari. Dopadł Kelly. Kazał jakiemuś zbirowi ją zwięzać. Cholera! Gdzie mógł ją zabrać?

Usłyszał napięty oddech człowieka po drugiej stronie słuchawki. Potem niedowierzanie w jego głosie.

- Skąd wiesz?

- Włączyła magnetofon, wszystko się nagrało. Prócz tego, gdzie pojechali. - Teraz w głosie Rossa dały się słyszeć mordercze nuty.

- Obserwowała ją moja ekipa nadzoru. Widzieli, jak wchodziła do budynku. Wobec tego musieliby też zauważyć, jak wychodzi. Nikt się ze mną nie skontaktował.

- Czy zabezpieczali wszystkie wyjścia?

Tym razem w odpowiedzi Wilsona zabrzmiało mniej pewności siebie.

- Od frontu i od tyłu. Lepiej zaalarmuj ochronę i znajdź moich ludzi. Beżowe Subaru, dwie furgonetki o przyciemnionych szybkach. Po obu stronach budynku. Po drodze skontaktuję się z nimi za pomocą pagera.

- Gdybyś był na miejscu Omariego - odezwał się Ross - to gdzie byś pojechał? Wilson milczał chwilę.

- Nie do bungalowu, to zbyt oczywiste. Poczekaj sekundę.

Ross usłyszał dźwięk odkładanej na stolik słuchawki i ścisnął mikrofon, czuł, jak pot płynie mu ciurkiem za uszami. Wilson wrócił po upływie pół minuty.

- „Angelina”. Nie stoi na przystani. Musiał zabrać ją na jacht.

- Szlag by to trafił - mruknął Ross. - Lepiej zawiadom straż portową. Znasz cechy charakterystyczne jachtu. Nie mamy czasu do stracenia.

- Załatwione. Przyjadę, jak najszybciej zdołam. I Ross - dodał Wilson - nie martw się o Annie. Powiem Ninie, co się zdarzyło. Dziewczynka będzie bezpieczna.

- Trzymam cię za słowo.

Ross z hukiem odłożył słuchawkę i pobiegł z powrotem w stronę schodów, trzaskając za sobą drzwiami. Biegł za szybko, by usłyszeć za plecami czyjeś kroki, zorientował się dopiero w ostatniej chwili. Jakiś ciężki przedmiot uderzył go w podstawę czaszki, posyłając głowę w dół schodów. Usiłował zwinąć się w kłębek, jedną ręką chwycił się poręczy, żeby wyhamować upadek. Potem poczuł potężny cios pięścią w żołądek, aż zaparło mu dech. Jak przez mgłę ujrzał potężną postać w prochowcu. Niemożliwą do zidentyfikowania. Następnie osunął się w ciemność.

Kelly powoli, z trudem odzyskiwała przytomność, najpierw uświadomiła sobie drobne rzeczy. Że nie może poruszyć ani dłońmi, ani ramionami. Że zbiera się jej na mdłości, że chce, aby podłoga przestała się pod nią kołysać. Potem, kiedy ostry

ból głowy zaczął ustępować, wróciła jej pamięć. Z wysiłkiem próbowała otworzyć oczy i rozejrzeć się. Gdzie się znajduje?

Gdziekolwiek to było, panowała tu ciemność. Próbowała głęboko oddychać, potrząsać głową, nie wpadać w panikę. Powoli wróciły jej zmysły, więc była w stanie dokładniej obejrzeć otoczenie. Gdy wzrok się przyzwyczaił, dostrzegła wreszcie małe, okrągłe otwory, przez które przeświecało blade światło. Iluminatory. To wyjaśniało kołysanie. Była na łodzi.

Gdzie? Ogarnęła ją nowa fala paniki, gdy próbowała obliczyć, jak długo była nieprzytomna. Z wysiłkiem zmuszając się do zachowania spokoju, próbowała pomyśleć. Max miał łódź. Czy zawłókł ją na jej pokład? Próbowała odtworzyć sobie w wyobraźni „Angelinę” i przeniknąć ciemności, by sprawdzić, czy znalazła się w kabinie właściciela. Z niewyraźnych kształtów, jakie zdołała rozróżnić, było to prawdopodobne.

Usłyszała nad sobą kroki i wstrzymała oddech. Potem głosy, które zdawały się dobiegać z prawej strony. Natężyła słuch. Nie mogła rozróżnić słów, ale z intonacji wywnioskowała, że wydawano rozkazy. Zawładnęło nią śmiertelne przerażenie. Jeżeli pozostanie w więzach, będą w stanie wyrzucić ją za burtę i wtedy utonie. Musi się oswobodzić.

Zduśiła krzyk desperacji za kneblem i spróbowała wydostać się z pęt. Jak tylko mogła, przechyliła się na bok, krzesło, do którego była przywiązana, zaczęło się pod nią chwiać. Aha, nie jest zatem przysrubowane do podłogi.

Szybko zorientowała się, co powinna uczynić, i usiłowała przeniknąć ciemności wzrokiem, czy po drodze nie natrafi na jakieś przeszkody. Jej oczy coraz bardziej przyzwyczajały się do panującego w kabinie mroku, miała wrażenie, że po prawej stronie, pod iluminatorem, znajduje się wyściełany tapczan. Musiała spróbować przesunąć się w tamtą stronę.

Nadludzkim wysiłkiem pchnęła krzesło ku tapczanowi, jej ramię prześliznęło się po tapicerce. Przy tej operacji wyrwała sobie parę włosów, jednak nawet nie pisnęła. Potem z całej siły runęła na dół, ale tapczan nieco zamortyzował upadek i choć trochę stłumił łomot.

Serce Kelly wciąż biło z wysiłku, gdy manewrowała niczym foka. I ze strachu, że ktoś może ją usłyszeć i nadejść w każdej chwili. A ona musiała zyskać więcej czasu.

Na pokładzie powyżej ponownie rozległy się ciężkie kroki. Następnie dał się słyszeć warkot silnika. Ruszyli. Poczekaście, chciała krzyknąć. Dokąd płyniemy?

Przez iluminator widać było teraz księżyc, starała się myśleć o niebie, gdzie w październiku powinien się znajdować. Ale w ten sposób zorientowała się jedynie, w jakim kierunku zmierza jacht. A nie, jak daleko. Wstrzymując oddech, wykręcała i przebiegała rękoma wzdłuż boków, aż wreszcie wyczuła kieszeń. Dzięki Bogu, nie

zrewidowali jej dokładnie lub nie trafili na jej mały szwajcarski scyzoryk. Gdyby tylko zdołała go wyjąć.

Odczekała kolejną chwilę, by bicie serca przestało dźwięczeć echem w jej uszach. A biło tak głośno, że z pewnością ktoś mógłby je usłyszeć. Nie mogła pozwolić, by usłyszano, jak wydobywa z kieszeni scyzoryk i jak upada jej na podłogę. Nikt jednak się nie pojawił, prawdopodobnie wszyscy byli nazbyt zajęci sterowaniem jachtu w stronę kryjówki. Gdyż na pewno do tej pory wszczęto już poszukiwania. Prawda?

Max musiał podpisać się na liście w Centrum Huraganów. Nie dopuszczała do siebie wątpliwości, że zrobił coś szczególnego, na przykład znalazł drogę, by zmylić strażę. Albo że przy ostatnim wyjściu podpisał się za niego ktoś inny, a on spędził noc ukryty w bazie. I czekał.

Człowiek zdolny do modyfikowania pogody musiał podjąć wszelkie środki ostrożności, żeby nikt go nie przytapał, kiedy ją będzie porywał. Tak zakładała. Wynajął nawet zbirów, choć mogli też pracować dla klienta, który go przekupił. I gdzie nauczył się władać bronią?

Przestań, nakazała cisnącym się jak szalone myślom.

Przesunęła się odrobinę, modląc się, aby warkot silnika zagłuszył jej wysiłki. Musi potem wyrzucić scyzoryk z kieszeni na podłogę. Jak zdoła otworzyć go palcami jednej dłoni, to zupełnie inny problem. Jeśli tylko dożyje tej chwili.

Ross ocknął się z dotkliwym, pulsującym bólem głowy. Kilka cennych minut stracił na to, by usiąść i mrugając powiekami odzyskać ostrość widzenia. Jak tylko zdołał, wstał. Nic sobie nie złamał, więc pokuśtykał w dół po schodach, potem przyspieszył. Z konieczności zdusił ból, co tchu wybiegając na dwór. Ubiegłej nocy cofnięto o godzinę czas, toteż wcześniej robiło się ciemno. Wczesny zmrok sprzyjał porywaczom Kelly.

Nie rzucające się w oczy pięcioletnie Subaru znalazł na skraju parkingu. Kierowca, muskularny, o kwadratowej szczęce, gęstych ciemnych włosach, mamrotał przekleństwa w języku, którego Ross nie rozpoznał. Mężczyzna był potężny. Kiedy kopał sflaczałą oponę, cały samochód się trząsał.

- Dostałeś wiadomość od Quindry'ego? - spytał Ross. Ogarnięty złymi przeczuciami patrzył na przebite koło.

Mężczyzna zaklął pod nosem, potem zanurkował do samochodu i chwycił telefon komórkowy. Wystukał numer, prawdopodobnie Wilsona. Kiedy uzyskał połączenie, ponownie zaklął.

- Poszedłem tylko do jednego z hangarów do kibla - tłumaczył się do słuchawki, ignorując Rossa. - Kiedy wróciłem, miałem przebite opony. - Milczał chwilę. - Nie. Tak, w porządku.

Rozłączył się, zwrócił ku Rossowi ciemne oczy i kciukiem wskazał budynek.

- Jesteś Ross King?

Ross kiwnął głową.

- Idziemy.

Nie ulegało wątpliwości, dokąd mają iść. Drugi z mężczyzn wynajętych do pilnowania Kelly miał posterunek po przeciwnej stronie bazy. Ross nie mógł dotrzeć tam dostatecznie szybko.

Skręcili pospiesznie za ostatni róg i z trudem łapiąc oddech stanęli jak wryci. Ani śladu Subaru, w ogóle żadnego samochodu.

- Cholera - zaklął Ross. - Gdzie on się podział?

- Spróbuję złapać go pagerem.

- Zrób to - poradził Ross. Następnie popędził do swojego samochodu.

Do komendanta bazy szybciej było dotrzeć autem. Stracił cenne minuty przekonując pełniących służbę, że musi skontaktować się z sierżantem, dowodzącym tu podczas weekendu. Dopiero jednak kiedy pokazał swoją kartę identyfikacyjną i wyjaśnił, jak nie cierpiącą zwłoki ma sprawę, sierżant skontaktował się z szefem bezpieczeństwa. Gdy dobił się wreszcie do niego, dołączył do nich wyglądający na udręczonego Wilson.

- W porządku - odezwał się szef bezpieczeństwa, olbrzym mierzący sześć stóp siedem cali wzrostu, o twarzy, która nie zachęcała do żartów. - Podajcie sierżantowi rysopis tego Omariego. Przeszukamy bazę i skontaktujemy się z miejscowymi władzami. Gdzie, waszym zdaniem, mógł ją wywieźć?

- Powiadomiłem już straż portową - wyjaśnił Wilson. - Jego jacht, „Angelina”, cumowała w jacht-klubie na Davis Islands. Jest tam zarejestrowana.

- Świetnie - stwierdził ochroniarz. Miał między oczami głęboką zmarszczkę. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Jeżeli zdołacie wymyślić coś innego, natychmiast dajcie mi znać.

Ross zostawił Wilsona, by poinformował personel bezpieczeństwa o paru jeszcze szczegółach. Sam nerwowo przemierzał poczekalnię. Kelly znalazła się w niebezpieczeństwie. Na tę myśl przeszył go dreszcz rozpacz. Potarł kark, nie rozumiejąc, co poszło nie tak. Gdzie podziewa się Jean? Powinna być w biurze. Dlaczego Kelly pojawiła się tutaj tak wcześnie?

Nie miało to znaczenia. Rzucanie na kogoś oskarżeń nie ocali Kelly. Tylko on może to zrobić.

Te słowa dzwięczały mu w głowie i jak tylko pojawił się Wilson, wybuchnął:

- Jeżeli ona jest na jachcie, musimy dowiedzieć się, dokąd popłynęli.

Wilson potężną dłoń mocno chwycił Rossa za ramię:

- Rozumiem, co czujesz. Zrobię wszystko, by do nas wróciła. Po prostu nie

mam pojęcia, gdzie ją zabrał. Możemy przeszukać jego bungalow. Może tam trafimy na jakieś wskazówki.

Ross rozważył tę możliwość. Tracili cenne minuty, jednak taka decyzja wydawała się najrozsądniejsza. Straż przybrzeżna przeczesywała wody. Dzięki Bogu, na morzu było spokojnie. Wszystkie siły porządkowe w promieniu stu mil będą szukać Kelly. Może warto więc sięgnąć po logikę. Szukanie na ślepo nigdzie ich nie zaprowadzi.

- Zgoda - odezwał się. - Idziemy.

Kiedy Kelly zdołała już wydostać z kieszeni szwajcarski scyzoryk, postarała się zrobić z niego jakiś pożytek. Więcej niż raz ogarniało ją poczucie beznadziei. Gdyby oni tutaj teraz weszli, oznaczałoby to kres wszystkiego. Jednak instynkt samozachowawczy, potrzeba ratunku, nie tylko dla niej samej, ale dla Annie i Rossa, sprawiały, że walczyła, nawet jeśli łzy moczyły jej wpadające do oczu włosy.

Do tej pory Ross już na pewno wiedział o jej zniknięciu. Może rozpoczęto nawet poszukiwania. Ale nim wyniesiono ją z bazy, straciła przytomność, nie orientowała się więc, gdzie ją wywieziono, ani w jaki sposób tego dokonano.

Coraz lepiej radziła sobie, operując ostrzem przy wrzynających się pętach. Ręce miała otarte do żywego ciała, ale przecież nie miało to większego znaczenia, jeśli tylko zdoła się oswobodzić. I nagle poczuła, że więzy poluźniły się. Już na wpół przecięła jeden z suptów. Zaczęła jej świtać słaba nadzieja, przygłuszając nieco konieczność oswobodzenia się, nim jacht rzuci kotwicę i tamci po nią przyjdą.

Wykręcała się i cięła linę, skupiając cały wysiłek na pozostałych pętach. I kiedy wreszcie puścił ostatni węzeł, jacht nagle uderzył o drewniany pomost mola. Krępowato ją jeszcze parę luźnych powrozów, lecz skoro jeden został przecięty, z tamtych mogła bez trudu się wyswobodzić. Podwoiła wysiłki, szarpiąc je i rozplątując.

Cudem uwolniła jedną rękę, nią zdarta pęta z drugiej. Potem wsparła czubki pantofli o drewniany pokład i podciągnęła się na ramionach, wciąż siedząc na krześle. Jeszcze nie całkiem była wolna.

Mając swobodę ruchów i możliwość szarpania i przecinania suptów, podważała je scyzorykiem, aż wreszcie pozbyła się okowów. Lecz teraz usłyszała głosy i ogarnęła ją nowa fala przerażenia. Nie ma ani chwili do stracenia. Jediną jej szansą jest działanie przez zaskoczenie.

Kryjąc się w ciemnościach, poczołgała się w przód i wyjrzała ze schodków przez otwarty luk. Sądząc z odgłosów na pokładzie, rzucali cumy. Teraz, kiedy pochłaniało ich kotwiczenie jachtu, nadarzała się okazja. Z iluminatora wychodzącego na sterburtę dostrzegła zarys jakby gęstego listowia. W takim razie otwarta woda powinna być albo z lewej burty, albo za rufą.

Puls dudnił jej w uszach, podczołgała się jeszcze wyżej, gotowa czmychnąć w razie wpadki. Ci ludzie zamierzali ją skrzywdzić. Max powiedział, że już czas pozbyć się jej na dobre. Prawdopodobnie zamysłał ją utopić i dopilnować, aby jej ciało wylądowało na dnie morza. W tej sytuacji nie może już sobie bardziej zaszkodzić, próbując się obronić i uciec. Ale wciąż musiała zwalczyć chęć zaszycia się w mysiej dziurze. Tutaj jednak nie znalazłaby żadnej kryjówki. Zatem teraz albo nigdy.

Usłyszała czyjeś kroki na molo i wołanie kogoś z pokładu.

Teraz, rozkazała sobie, potem wyskoczyła z luku i popędziła na lewo.

Nikt nie odciął jej drogi, lecz gdy tylko okrążyła kabinę i pomknęła wzdłuż nadburcia, rozległ się krzyk. Nie miała pojęcia, jak jest w tym miejscu głęboko. Za sterburtą dostrzegła pasmo otwartej wody i ruszyła w tamtym kierunku. Zdając sobie sprawę, że w każdej sekundzie bandyci mogą wynurzyć się z przeciwnej strony kabiny i pogonić za nią, wspięła się na burtę i przygotowała do skoku.

Ujrzała jednego ze zbirów nadchodzącego ze strony dziobu. W świetle księżyca w jego dłoni błyskała metalicznie broń. Skoczyła w wodę głową naprzód. Kiedy zanurkowała głębiej, wyciągając ręce, rozległ się stłumiony strzał. Cały wysiłek wkładała w to, żeby się jak najszybciej oddalić. Kolejne kule rozbryzgiwały wodę. I chociaż Kelly wzięta głęboki oddech, nie zdołałaby długo zostać pod powierzchnią. Jediną nadzieją było oddalenie się na tyle od łodzi, by skryły ją ciemności.

Kiedy wypląnęła, młóciła nogami i z trudem łapała powietrze. Mężczyźni na jachcie krzyczeli i kłócili się, ich głosy dobiegały z oddali. Kelly ponownie zanurkowała i zaczęła odpływać na oślep.

Gdy znowu się wynurzyła, by zaczerpnąć oddechu, potrząsnęła głową i rozejrzała się za łądem. Ciężar ubrania ściągał ją w dół, nie potrafiła też pływać na długich dystansach. Musi jak najszybciej dostać się na plażę.

Widziała już, że brzeg porasta gęsta roślinność. Nie znajdzie więc tam nikogo, kto mógłby udzielić jej pomocy, lecz jeśli zdoła się dostać niezauważona na plażę, będzie mogła odbiec i ukryć się. Przestali już strzelać, pewnie zmylił ich kierunek, jaki obrała. Oddychając głęboko, ruszyła czołkiem coraz dalej od jachtu. Miała nadzieję, że ląd znajduje się w bezpiecznej odległości od jej prześladowców.

W połowie drogi do kamienistej plaży nad wodą pochylały się gałęzie. Usłyszała, jak coś plusnęło o wodę, potem szmer niewielkiego motorka. Dłuższą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, co to jest, wtedy ogarnęła ją panika. Jacht musiał być wyposażony w motorową dinghy. Puścili się za nią w pogoń.

Rozdział 16

Policja, dysponując taśmą z nagraniem głosem Omariego, który groził Kelly, szybko uzyskała nakaz przeszukania bungalowu Maxa, Ross i Wilson spotkali się ze szcziptym, wymizerowanym detektywem w średnim wieku. Miał kręcone, brązowe włosy. Pojawił się wraz z sierżantem. Detektyw nie tracąc czasu wyważył okno, by przez nie mogli dostać się do środka domu.

Depcząc policji po piętach, zajechali Jean z Neilem. Jean wyskoczyła z samochodu i podbiegła brukowaną alejką.

- Przyjechaliśmy natychmiast, jak tylko usłyszeliśmy, co się stało - powiedziała z wyraźnym niepokojem na twarzy. - Jak możemy pomóc?

- Straż przybrzeżna i helikoptery wyruszyły na poszukiwania - wyjaśnił Ross. - Jednak dzięki za przybycie. Póki jej nie znajdę, kamień nie zostanie na kamieniu.

- Biedna Kelly - jęknęła Jean. - Zawaliłam sprawę. Nie pojechałam do biura, choć przyrzekłam, że tam się zjawię.

Podszedł Neil, objął Jean ramieniem. Miał twarz ściągniętą ze zmartwienia.

- Powiedz nam tylko, co możemy zrobić.

- Dzięki. - Ross poważnie pokiwał głową. - Wasza pomoc może się nam przydać.

Dwaj policjanci wdarli się przez drzwi. Detektyw obrócił się, by przestrzec Rossa:

- Musi pan poczekać na zewnątrz - powiedział. - Jeżeli ten człowiek robił coś bezprawnie, nie możemy zacierać śladów.

Ross nie miał wcale zamiaru trzymać się na uboczu, nawet jeśli musiałby pozostać tylko biernym obserwatorem. Pokazał swoją legitymację detektywa Biura Zarządu Własnością Ziemską. Policjant zmarszczył brwi, ale wpuścił go do środka, a wraz z nim Wilsona. Ponownie ostrzegł, aby niczego nie dotykali. Obaj policjanci szybko przeszukiwali niewielki bungalow, rozglądając się za jakimiś dowodami wskazującymi, że Max Omari postępował wbrew prawu.

Ross, rozglądając się po niewielkich pokojach, pomyślał, że Omari musi być pedantem. Wszędzie było schludnie i czysto, wszystko leżało na swoim miejscu. W barku stały wyśmienity koniak i lśniące koniakówki. Nigdzie śladu bałaganiarstwa. Miejsce to było tak zorganizowane, że Rossowi ciarki przeszły po grzbiecie. Starannie przemyślane, zaplanowane w najdrobniejszym szczególe.

Obserwował, jak policjanci przerzucają papiery na biurku. Wreszcie trafili na

coś interesującego. Był to mały, nie oznaczony klucz

- Wygląda na klucz do skrytki bankowej - stwierdził detektyw. Nie dotknął go, tylko za pomocą małej koperty przesunął na bibułę. - Sprawdzimy to.

Ross niecierpliwił się, usiłował znaleźć jakieś przeoczone przez policjantów ślady. Sam nie był pewien, czego właściwie szuka. Czegoś mniej oczywistego. Jeżeli Max zajmował się nielegalną działalnością, prawdopodobnie otrzymywał za to pieniądze. Policja później sprawdzi stan jego konta w banku. Klucz mógł zamykać skrytkę, na przykład z fałszywymi dokumentami

Jeżeli Ross zamierza odnaleźć Kelly, a na pewno tak się stanie, musi kierować się instynktem. Musi poszukać czegoś bardziej osobistego. Musi zastanowić się nad tym, jakiego typu człowiekiem jest Max Omari i jaką zostawił w tym domu część swojej osobowości, która mogłaby im wskazać, dokąd porwał dziewczynę.

Max oczywiście zdawał sobie sprawę, że policja poszukuje jego jachtu. W tej sytuacji popłynie na silniku szybko w takie miejsce, w którym będzie go w stanie ukryć. Płynięcie na żaglach byłoby zbyt wolne, a nie może zawinąć do portu, gdyż tam bez trudu rozpoznano by łódź.

- Wilson! - zawołał Ross przez ramię. Wbił wzrok w oprawioną, ilustrowaną mapę wybrzeża, zawieszoną przez Maxa na ścianie gabinetu.

Wilson podszedł, stanął obok i przyjrzał się mapie w pozłacanych ramach. Była to reprodukcja starej ryciny z wykaligrafowanymi nazwami wysp i szlaków wodnych. Bardziej dekoracyjna niż przydatna w nawigacji. Coś, co każdy żeglarz z radością zawiesiłby u siebie na ścianie.

- Jaką prędkość rozwija „Angelina”? - spytał Ross.

- Ma dwa bliźniacze silniki o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, wyciąga trzynaście węzłów. Musi znajdować się gdzieś w tym promieniu. - Wilson wskazującym palcem zakreślił łuk na mapie.

Ross podszedł bliżej. Obejrzał otwarte wody, wcale nie zachwycony tym, co przychodzi mu do głowy. Jednak ratownicy w helikopterze musieli już przeczesać ten rejon. Obrzucił wzrokiem resztę gabinetu, zatrzymał się na przeszklonej szafce. Zbliżył się do niej i spostrzegł, że Omari zgromadził tam okazy roślin, opatrzywszy je naukowymi -nazwami.

- Wiesz, skąd one pochodzą? - spytał Wilsona.

- Z wyspy Caladesi - wyjaśnił tamten. - Tam właśnie Omari zbiera okazy.

Ross odwrócił się do mapy. Długie, szerokie pasmo wyspy było parkiem stanowym i rezerwatem przyrody. Nikt tam nie mieszkał. Park zamykano na noc. Idealna kryjówka. Obrócił się na pięcie.

- Idziemy.

Jean i Neil ruszyli za Rossem do karetki ratunkowej, którą Wilson przywołał z

bazy. Ross usiadł za kierownicą i piskiem opon popędził ulicami na szosę Courtney Campbell. Naciskał pedał gazu i manewrował w ulicznym ruchu niczym rajdowiec. Gnał do Clearwater po drugiej stronie zatoki. Wilson pilotował ich przez główną szosę do przyległego miasteczka Dunedin. Gwałtownie zatrzymali się w porcie. Wcześniej przez radio powiadomili dyspozytornię, aby z włączonym silnikiem czekała na nich motorówka ratunkowa.

Nie zatrzymując się, wskoczyli na pracującego na jałowym biegu „Seahawka”. Jak tylko Ross i Wilson, a za nimi Jean z Neilem znaleźli się na pokładzie, ryknął silnik o mocy pięciuset koni. Właściciel i kapitan, Drake Howsan, był doświadczonym nurkiem, który swoją łódź wynajmował turystom na wycieczkowe rejsy. Z informacji, jaką otrzymał od dyspozytora, który wezwał go kwadrans wcześniej, zorientował się, że tym razem nie zanosi się na wycieczkę dla przyjemności

Wciągnęli na siebie kamizelki ratunkowe, potem Ross stanął na dziobie, kiedy Drake wykręcał łodzią na głębszą wodę. Następnie pomknęli ku znajdującej się nieopodal dłużej, ciemnej, bezludnej Caladesi Island.

Ross odpędzał od siebie myśl, że może już jest za późno. Że Kelly została związana, zakneblowana i wypchnięta za burtę. Nie może nie żyć. Gdyby tak było, czułby to sercem. Była waleczna i przebiegła. Nie pokochałby takiej, która nie miałaby ikry. Wiedział, że potrafi o siebie zadbać, oni jednak mogli mieć nad nią liczebną przewagę.

Lecz Ross głęboko wierzył, że odnajdą ją żywą i bezpieczną. W przeciwnym razie los spłatałby im tragicznego figła, a oni wcale na to nie zasługiwali.

On i Kelly zasługiwali na długie, owocne, szczęśliwe wspólne życie. O tym był przekonany. Że zaopiekują się wnuczką Shermana i urodzą im się własne dzieci. Taka wizja rysowała mu się w ciemnościach przed oczami, wiedział, że teraz się o to modli, jeśli w ogóle modlił się o cokolwiek. Kiedy zaciskał dłonie na barierce, a bryzgi fal uderzały go w twarz, znał swoje przeznaczenie z pewnością, która przepęłniała mu umysł i serce.

Trzymaj się, powtarzał jej w myślach, przekonany, iż dziewczyna czuje, że jest niej coraz bliżej. Wytrwaj jeszcze chwilę.

Kelly przedzierała się na brzeg przez splątane korzenie i pnie cyprysów, jej piersi rozdzierał ból po długim pływaniu. Gdy zagłębiła się w nieprzeniknioną, ciemną gęstwinę, zaczęły się jej czepiać kłujące pnącza. Nie chciała sobie wyobrazić, na jakie może się natknąć niebezpieczeństwa przyrody. Jeżeli ta wyspa jest bezludna, może tak być z tego właśnie powodu. Z zatoki mogą wychynąć na przykład aligatory. Za nią jednak podążali uzbrojeni mężczyźni. Dlatego też wołała stawić czoło naturalnym zagrożeniom.

Po omacku wybierając drogę na lądzie, wciąż z trudem łapiąc oddech, wcisnęła

się w gęste zarośla. Tak gęste, że pomyślała, czyby nie zawrócić i nie znaleźć łatwiejszego przejścia. Listowie mogłoby ją skryć, ale prześladowcy pewnie skorzystają z latarek, ona zaś nie ma czasu, by zatrzeć na brzegu ślady swoich stóp.

Zaczął wiać silniejszy wiatr, jej włosy zaplątywały się w gałęzie, spowalniając ucieczkę. Gdy usłyszała coraz bliższy warkot silnika, przerażenie i żałość utrudniły jej zmagania. Chwyciła zaplątaną we włosy gałąź i szarpnąwszy nią z całych sił, uwolniła się. Zdawała sobie sprawę, że jej jasne włosy mogą ją zdradzić, usiłowała więc odsuwać z gałęzi wyrwane pasma. Nie powinna jednak marnować na to zbyt wiele czasu.

Wciąż bolało ją serce, ale wilgotne, świeże powietrze pomagało odzyskać jej siły, gdy nie zważając na drapiące ją po ramionach gałęzie, przedzierała się przez chaszczę. Po chwili gęstwina przerzedziła się i Kelly wreszcie natrafiła na coś, co przypominało ścieżkę. W oddali, po prawej stronie, dostrzegła światło. Dzięki niemu zorientowała się, jaki obrać kierunek. Ruszyła w tamtą stronę. Gdzie były światła, mogli być i ludzie, ona zaś zdołałaby uzyskać pomoc.

Za plecami słyszała głosy, w panice uświadomiła sobie, że nie oddaliła się dostatecznie od brzegu. Długie przedzieranie się przez zarośla sprawiło, iż miała wrażenie, że jest dalej. Rzuciła się na oślep w przód, wyciągniętymi rękami wymacując przeszkody. Kiedy księżyc wyszedł zza chmur, poprawiła się widoczność. Przyspieszyła. Musi przebiec taki dystans, że kiedy mężczyźni znajdą się na ścieżce, będzie w stanie się ukryć. Gęstych zarośli najwyraźniej tutaj nie brakuje. Ale co potem? Nie może się po prostu schować. Wreszcie ją znajdą. Musi przedostać się na drugą stronę tego miejsca i tam znaleźć sposób na wydostanie się stąd.

- Tutaj - powiedział Ross. - Na wprost, jakieś sto jardów. Dziesięć stopni na sterburtę.

Wręczył Drake'owi noktowizor, ten chwycił go jedną dłonią.

- Widzę.

Oddał lornetkę Rossowi, który przekazał ją stojącemu za jego plecami Neilowi.

- To ten - zgodził się Neil, który kilkakrotnie widział „Angelinę”. - Ale nie wygląda, aby ktoś był na pokładzie.

Ross spojrział ponownie. Podpłynęli już bliżej i widział sam jacht. Na pokładzie nie było żywego ducha.

- Podpłyn do burty - poleciał Drake'owi. Potem skinął na Wilsona i Jean, stojących przy barierce na sterburcie.

Kiedy już wszyscy zobaczyli „Angelinę”, Drake wziął kurs, by znaleźć się przy niej. Ross pierwszy przeskoczył przez burtę, za nim Wilson, potem Neil, który pomógł Jean. Właściciel motorówki miał zostać na swojej łodzi, póki nie powiedzą

mu, co dalej ma robić.

Rozbiegli się po jachcie, szukając jakichś śladów. Neil trafiana miejsce, w którym przewożono dinghy. Ross wszedł pod pokład, znalazł tam przewrócone krzesło i pocięte liny.

- Tu ją trzymali - powiedział obracając się i niemal wpadając z rozpędu na Jean, która deptała mu po piętach.
- Musiała się jakoś wydostać - stwierdziła Jean, oglądając tę scenę.
- Miejmy nadzieję - westchnął Ross i przeskakując po dwa stopnie wrócił na pokład.

Usłyszeli warkot helikoptera, patrolującego morze. Ross zdawał sobie jednak sprawę, że Kelly nie mogła popłynąć na otwarte wody. Raczej musiała skierować się w stronę brzegu.

- Przeszukajmy brzeg - krzyknął do pozostałych.
- Wy troje koło cumowiska. Mnie Howsan zawiezie nieco dalej na północ. - Popukał w walkie-talkie, które każde z nich miało przypięte do paska. - Bądźmy w kontakcie.

Potem przeskoczył burtę z powrotem na „Seahawka”.

- Była tam, ale musiała uciec - poinformował Drake'a. - Ta linia brzegowa może wprowadzić nas w błąd, nie sądzę jednak, by zaszli zbyt daleko. Na jachcie była dinghy, która zniknęła. Musieli skorzystać z niej do pogoni za Kelly.

Silnik „Seahawka” mruczał cicho, kiedy płynęli wzdłuż brzegu, omiatając reflektorami gęste zarośla, rosnące przy samej krawędzi wody.

- Wiem, że ona jest tutaj - syknął Ross do siebie.
- W którą stronę poszła?

Wtedy dostrzegli dinghy, leżącą na kamienistej plaży.

- Jak blisko możesz mnie zawieźć? - spytał Drake'a. Howsan spojrzał na głębokościomierz.
- Jeszcze odrobinę dalej, lecz resztę drogi musisz przebrnąć wodą.
- Świetnie.

Ross odczekał, aż Howsan podprowadzi „Seahawka” jak najbliżej brzegu, nie ryzykując, że osiadzie na mieliźnie. Potem zszedł po drabince i wskoczył do lodowatej wody. Dotknął stopami dna i zaczął brnąć. Był przemoczony do suchej nitki, a chłodne podmuchy wiatru sprawiły, że ubranie przylepiło mu się do ciała. Ledwie zwrócił na to uwagę.

Obejrzał miejsce, w którym czekała dinghy. Nietrudno było odnaleźć ślady. Prowadziły wzdłuż zlewiska, gdzie ledwie dało się iść. Musiał się schylać i rozgarniać gałęzie. Jeden fałszywy krok, a potknie się o wystający korzeń i wylądować głową w mulistej wodzie. Po chwili przykucnął i zaczął nasłuchiwać.

Gdzieś przed nim rozlegały się głosy, przekleństwa i krzyki. Zobaczył strumień światła latarki. Na ścieżce z przodu rozległ się tupot biegnących kroków. Jak najszybciej i jak najciszej ruszył za nimi.

Kiedy usłyszał huk wystrzału, skoczył naprzód. Jak tylko przedostał się na ścieżkę, dostrzegł Wilsona, Neila i Jean biegnących przyległą dróżką z prawej strony. Oni także musieli słyszeć strzał.

- Tędy - szepnął, prowadząc ich w ciemnościach ku rozlegającym się przed nimi głosom.

Kiedy Omari krzyknął, Kelly oślepiło światło latarki. Tuż za jej plecami eksplodowała kula i odbiła się od betonowej ścieżki. Dziewczyna biegła dalej, lecz kroki z tyłu ją doganiały. Po maratonie pływackim nie miała dość sił, by im uciec.

Upadła pod ciężarem potężnego mężczyzny, który od tyłu szarpnął ją za ramiona. Jęknęła, próbowała głośno krzyknąć, ale dwóch zbirów poderwało ją na równe nogi.

- Wstawaj - warknął jeden z łotrów.

Chciała kopać, usiłowała znowu puścić się biegiem, lecz tamci trzymali ją w żelaznym uścisku, pchając przed sobą ku chacie na polanie.

Omari wyprzedził ich, kopniakiem otworzył drzwi, dwóch zbirów pchnęło ją na krzesło. Nie paliło się światło, teraz jednak potrafiła już rozróżnić, który z nich jest który. Omari stał z bronią w pobliżu drzwi. Wciąż czuła smród prochu kuli, którą do niej strzelił.

Warkot helikoptera przybliżył się, dając Kelly nową nadzieję. Mimo wszystko gdzieś tutaj jest ekipa ratownicza. Szansa na ocalenie, jeśli tylko uda się jej uniknąć zemsty Omariego.

- Tu straż przybrzeżna - odezwał się przez megafon czyjś głos. - Wychodźcie z bronią podniesioną do góry.

- Pozbądźcie się ich - rozkazał Omari swoim ludziom.

Kelly widziała teraz, że jeden z wynajętych zbirów ma w rękach karabin. W pojedynek wyszedł na dwór.

Chwilę później skrzywiła się na huk broni i mruganie rozbitego reflektora. Światło przenikające pod drzwiami i przez niewielkie okienko zniknęło.

- Chodź tutaj - odezwał się Omari.

Brutalnie chwycił Kelly i szarpnięciem postawił ją na nogi. Potem wypchnął z chaty na wąską dróżkę między jeszcze gęstszymi zaroślami. Wydawało się, że teraz kierują się na zachód. Helikopter wciąż warczał, jednak już pozbawiony reflektorów, więc prawdopodobnie załoga nie mogła nikogo dostrzec.

Łzy zapiekły ją pod powiekami, gdy zbliżyli się do piaszczystej wydmy na cyplu półwyspu.

Nagle z tyłu wyskoczyły jakieś postacie. Usłyszała chrząknięcie, kiedy Omari został powalony na ziemię. Kiedy się odwróciła, otworzyła szerzej oczy, widząc, jak Ross turla się po piachu, zmagając się z Omarim. Ku jeszcze większemu zdumieniu ujrzała Neila Devlina atakującego drugiego zbira i wyrrywającego mu karabin. Zareagowała niemal automatycznie i rzuciła się na pozostałego łotra, który usiłował wycelować w Rossa. Strzelił Panu Bogu w okno.

Wycelowała kopniakiem w krocze mężczyzny. Kiedy zwinął się wpół, kopnęła go w nadgarstek. Upuścił broń, ona zaś zanurkowała po nią w piach.

Ukazał się Wilson, chwycił karabin, wyrwany przez Neila tamtemu zbirowi.

- Ręce do góry - rozkazał, trzymając na muszce obu strażników.

Kelly wycelowała w Omariego. Nie ośmieliła się strzelić w obawie, że trafi w Rossa, kiedy obaj turlali się ku krawędzi wydmy.

Ross jęknął i znieruchomiał, podczas gdy Omari ciężko wspinał się w górę. Celując w głowę Omariego, Kelly krzyknęła:

- Nie ruszaj się, Max!

Ross uniósł nogę i kopniakiem sprowadził Omariego z powrotem. Starszy człowiek zsunął się w dół wydmy. Kelly potykając się podeszła do Rossa, ten jedną ręką ujął broń, drugą chwycił ją za ramiona.

- Nic ci się nie stało? - spytał, przygarniając dziewczynę do piersi.

Słyszała, jak mocno bije mu serce, w rytm jej własnego.

Z helikoptera zeskoczyło dwóch mężczyzn, teraz nadbiegali plażą. Kiedy zobaczyli, co się dzieje, karabinami zaszachowali bandytów. Kiedy zamieszanie wokół stopniowo ustawało, Kelly mogła już tylko oprzeć się o Rossa, dziękując Bogu, że jest cały i zdrowy. Dopiero po kilku chwilach uświadomiła sobie, że on również delikatnie bada jej ciało, czy nie odniosła obrażeń.

- Chwała Bogu - mruknął Ross, przekonawszy się, że nie jest ranna. - Jesteś pewna, że nic cię nie boli?

- Nic mi nie jest. A tobie?

- Też nic. Boże, bałem się, że cię stracę.

Pocałowali się i tulili z całych sił. Chłodziła ich lekka oceaniczna bryza. Straż przybrzeżna wyprowadziła bandytów na plażę, a stamtąd zabrała ich policyjna motorówka.

- Już po wszystkim, Kelly - powiedział Ross, całując ją w czoło i przeczesując palcami jej długie, splątane włosy. - Już po wszystkim.

- Czy z Annie wszystko w porządku? - spytała.

- Nie martw się. Wciąż jest u Niny. Jak tylko dowiedzieliśmy się o niebezpieczeństwie, pojechali tam Johann z Enrikiem, żeby jej strzec.

Parsknęła histerycznym, urywanym śmiechem.

- I pomyśleć, że ich także podejrzewałam.

- Nie mieliśmy pojęcia, kto w tym macza palce -przypomniał Ross. - Ale teraz już wiemy. Nie ma już powodu do niepokoju.

Podeszli do miejsca, w którym oczekiwali przyjaciele. Kelly uściskała ich wszystkich po kolei.

- Bogu dzięki, jesteś bezpieczna - odezwała się Jean.

Na twarzy miała łzy zmieszane z piachem.

- Tak się denerwowałam.

Wilson przygarnął Kelly i poklepał ją po plecach, ona zaś znowu poczuła, jak przenika ją nostalgiczny smutek. Kiedy odsunęła się, by popatrzeć na starego przyjaciela, wpatrywali się sobie w oczy, wiedząc, że zbędne są wszelkie słowa.

Podpłynął „Seahawk”, zabrał ich na łódź, gdzie kilka następnych godzin spędzili składając zeznania na policji. Na pogotowiu opatrzone im też niegroźne obrażenia. Tych kilka bandaży nie przeszkodziło czułym pocałunkom i delikatnym pieścizdom ze strony Rossa, kiedy czekali, aż wreszcie będą wolni.

Kiedy skończyła się straszliwa przygoda, Kelly drżała, zadowolona, że może siedzieć przy Rossie, który obejmował ją silnym ramieniem. Horror wydawał się jeszcze gorszy teraz, kiedy była bezpieczna i sucha. Jak niewiele brakowało. Mogła tam stracić życie.

- Ten rewolwerowiec - szepnęła do Rossa. - Ten w łodzi, który strzelał do mnie, gdy byłam w wodzie. Co by było, gdyby nie spudłował?

Ross mocniej i czule objął jej ramiona. Pocałował w czoło.

- Resztę życia spędzę, dziękując losowi, że mu się nie udało. Nie mógłbym znieść utraty ciebie, kochanie. Sam oddałbym życie za to, by cię odzyskać.

Może dlatego właśnie ocalałam, pomyślała mgliście. Miała tak silną wolę przeżycia, gdyż pragnęła znowu zobaczyć Rossa. Nie pozwoliłaby, żeby zniknął.

Było już bardzo późno, gdy wreszcie odjechali. Przystanęli u Wilsonów, by zabrać śpiącą Annie.

Ross zaniósł dziewczynkę do samochodu, potem zawiózł je obie do domu.

Szaleńca ujęto i stanie przed sądem. Kelly i Annie już nic nie groziło. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni, jednak Ross odniósł Annie do mieszkania i pomógł Kelly ułożyć ją w łóżku. Potem pociągnął Kelly korytarzem do jej sypialni i ostrożnie, ze względu na siniaki i zadrapania, rozebrał. Wreszcie sam zdjął ubranie i wśliznął się obok niej między prześcieradła;

- Kocham cię - szepnął jej do ucha, szczęśliwy, że może ją widzieć u swego boku. - Już po wszystkim, skarbie. Odpędziliśmy demony.

Odwróciła się do niego.

- Ja też cię kocham. I dziękuję, że pomogłeś mi je odpędzić. Wszystkie, co do

jednego.

- Byłaś bardzo dzielna - powiedział przesuwając palcem po jej twarzy.

- Bo zrozumiałam, że mam po co żyć. Zrozumiałam to wtedy, kiedy huragan niemal zmiotł nas z półwyspu. Wtedy pojęłam, że nie chcę umierać. I to nie tylko dla siebie. Ale dlatego, że mam kogo kochać.

Ogarnęła go nadzieja.

- Więc sądzisz, że jesteś już gotowa stawić czoło przyszłości?

Czytała w jego myślach.

- Przemyślałam sobie to i owo. Wiem już, że dobrze wykonana robota jest najlepszym sposobem odpłacenia się ojcu za to, co mu zawdzięczam, odwzięczenia się za to, co od niego dostałam. Przestałam oskarżać jego i wszystkich innych za to, co zrobił.

Uśmiechnął się do niej, w spojrzeniu jego piwnych oczu była miłość. W spojrzeniu, które, jak ufał, zdradza, że raczej nie oczekuje przeczącej odpowiedzi.

- Chcę, żebyś była u mego boku, cokolwiek zdecydujemy. Chcę cię poślubić i stworzyć Annie dom.

Zakrztusiła się łzami, oparła głowę o jego ramię. Objął ją, przygarnął bliżej.

- Od tej pory tylko pomyślne wiatry - powiedział. Pomyślne wiatry, rozmarzyła się Kelly, z przepętnionym sercem.

- Kocham cię, Ross - szepnęła szczęśliwa. Nadeszła pora, by stało się to, co musiało się stać.

Czas, żeby zrobić coś ze swoim życiem. Ale tym razem ona i Annie nie będą samotne. Tym razem będzie otoczona rodziną. Długie dni pracy, radości, dzielenia się wszystkim. A mieli czym się dzielić. Tak, miłość przegna wszystkie burze.